



Paulina
KUZAWIŃSKA

Stare rody i drogocenne
klejnoty kryją mroczne
tajemnice...

DAMA ZE SZMARAGDAMI

LIRA
WYDAWNICTWO

Paulina
KUZAWIŃSKA

DAMA
ZE SZMARAGDAMI

L i R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2020

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2020

© Copyright by Paulina Kuzawińska, 2020

Projekt okładki: Teresa Chylińska-Kur, KurkaStudio

Zdjęcia na okładce: © Raisa Kanareva/shutterstock.com,

© viktor kashin/istockphoto.com

Zdjęcie Pauliny Kuzawińskiej: © Maciej Zienkiewicz Photography

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Marek Kowalik

Skład: Klara Perepłyś-Pajak

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

Lira Publishing Sp. z o.o.


Wydanie pierwsze

Warszawa 2020

ISBN: 978-83-66503-19-9 (EPUB); 978-83-66503-20-5 (MOBI)



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na: 

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Prolog

1. Listy od przyjaciółki
2. Dwór pod Cisami
3. W zamkowym ogrodzie
4. Kolacja wśród świec
5. Piękna jak wiosna
6. Tajemnicza klątwa
7. Krok w ciemność
8. Korzenie drzewa
9. Milczące mury
10. Rodzinne sekrety
11. Legenda o klątwie
12. Duchy przeszłości
13. Oczekiwanie
14. Klątwa powraca
15. Kamienny anioł
16. Sekret zielonej sukni
17. Niespodziewany list
18. Spotkanie w Londynie
19. Zapomniany artysta

20. Pośmiertne odkrycie

21. Domysły i cienie

22. Umrzeć dla sztuki

23. Mroczny dwór

Epilog: Obietnica

Przypisy

PROLOG

Kopałam coraz głębiej – w jednostajnym, opętańczym rytmie. Rozmiękła od deszczu ziemia ustępowała stosunkowo łatwo pod naciskiem moich słabych rąk.

Aż nagle stawiała mi opór, w ciemności natrafiłam na gładki kamień.

Sięgnęłam po kasetkę z naszyjnikiem i uniosłam jej wieko. Pięć oprawionych w złoto klejnotów zaśniło w odblasku błyskawicy jak oczy wielkiego pająka. Miałam złożyć je do dołka w ziemi... ale wówczas na jego dnie dostrzegłam czaszkę.

Odsłoniłam tylko jej przednią część – leżała zwrócona twarzą ku mnie. Oczodoły były pełne ziemi – przez jeden z nich przerastał korzeń. Pozbawiona dziąseł szczęka szczyrzyła się drobnymi zębami, a wysklepione czoło, gładkie jak wielkie jajo, ukazywało nagą krzywiznę kości.

Odskoczyłam w tępym przerażeniu.

Poczułam, że ziemia osuwa mi się spod nóg – i to dosłownie...

1. LISTY OD PRZYJACIÓŁKI

10 marca 1898 roku, Dwór pod Cisami

Kochana Madeline!

Parę miesięcy minęło od mojego poprzedniego listu, a jeszcze więcej od naszego spotkania w Londynie tej zimy. Wiem, zaniedbywałam Cię ostatnio – ale wierzę, że wybaczysz mi przerwę w korespondencji, kiedy tylko podam Ci moje powody. Zresztą najważniejszy z nich już znasz: wychodzę za mąż!

Ludzie mówią, że wszystko przemija, ale ja wciąż jestem w Dereku zakochana tak samo jak w dniu naszego przyjęcia zaręczynowego, kiedy to widziałas mnie, najdroższa Madeline, po raz ostatni. Od zrękowin zaszło w moim życiu wiele zmian. Wszystkie wiążą się z przygotowaniem do ślubu i do mojej nowej roli jako żony sir Dereka Verindera, któremu przypadł po ojcu hrabiowski tytuł.

Waga i zakres tych zmian oraz obowiązków, które spadają na mnie jako przyszłą hrabinę Verinder, mogłyby przytłoczyć niejedną dziewczynę mniej zakochaną ode mnie. Nie piszę tego, kochana Madeline, aby narzekać – zwierzam Ci się jedynie jako przyjaciółce, której wiernemu przywiązaniu mogę powierzyć trapiące mnie troski. „Troski?” – zdziwisz się pewnie. „O jakie troski chodzi?”. Czy coś może spędzać sen z powiek dziewczynie, która mimo pośledniego majątku i braku wybitnej urody zaręczyła się z dziedzicem szlacheckiego tytułu i spadkobiercą jednego z największych rodów Anglii?

A jednak nadchodzący ślub, nawet z ukochaną osobą, to dla przyszłej panny młodej powód do stresu i przyczyna napiętych nerwów. Bardzo chcę zadowolić rodzinę Dereka, a w szczególności obecną hrabinę Verinder, czyli moją przyszłą teściową. Jest to osoba niezwykle wymagająca i zapatrzona w wielkie tradycje rodu, którego częścią jest przez większość życia. Wiem, Madeline, że nie lubisz plotek – ale może i Ty słyszałaś, co szeptano ukradkiem już na zaręczynowym przyjęciu, a co zawiera sporą dozę prawdy. Podobno to właśnie hrabina przyczyniła się do zerwania poprzednich zaręczyn Dereka kilka lat temu i nie dopuściła do zawarcia przez syna

małżeństwa. Nie wiem na pewno, jak duży był w tym jej udział, lecz taka sytuacja istotnie miała miejsce. Derek jest bardzo oddany matce i hrabina ma na niego duży wpływ. To jego poprzednia narzeczona zerwała ich związek, nie Derek, lecz podobno spełniła tym życzenie jego matki, której pieniądze posłużyły do zatuszowania skandalu... Spytasz, skąd to wiem. Od siostry narzeczonego, uroczego stworzenia imieniem Alice. Zresztą sam Derek uchylił mi rąbka tej smutnej tajemnicy – nie chciał, by jakiegokolwiek sekrety znalazły sobie miejsce między nami. Niestety tamtego pierwszego narzeczeństwa przyniosło jednak obecne moje szczęście... Dlaczego więc są chwile, kiedy lękam się, by historia z przeszłości się nie powtórzyła?

Być może podobne myśli wynikają z mojego braku pewności siebie. Jak wiesz, Madeline, nigdy nie brylowałam na londyńskich salonach ani nawet nie pragnęłam zwracać na siebie nadmiernej uwagi przez moją wrodzoną nieśmiałość. Teraz, kiedy do ślubu z Derekiem pozostały zaledwie dwa miesiące i moje szczęście zdaje się na wyciągnięcie ręki, pragnę uszczęśliwić ludzi wokół siebie i łatwo ulegam ich zachciankom. Dotyczy to w szczególności mojej przyszłej teściowej, którą jej pozycja, wiek i miejsce, jakie zajmuje w sercu syna, czynią obiektem mej troski jako przyszłej synowej. Jak już wspomniałam, z całego serca pragnę zaskarbić sobie jej przyjaźń i zyskać uznanie w jej oczach.

Za jej namową przeniosłam się do rodowej posiadłości Verinderów o nazwie Dwór pod Cisami. Dom mojej przyszłej teściowej to majestatyczna rezydencja licząca sobie ponad trzysta lat historii. Trudno wyrazić mi słowami piękno parku i przepych pałacowych wnętrz – a jednak, muszę to wyznać, jest w tym ogromnym domostwie coś, co niezmiernie mnie przytłacza. Czy chodzi o wyzywające wręcz bogactwo, do którego nie nawykłam, o portrety arystokratycznych przodków, którzy zdają się rzucać mi milczące wyzwanie, czy też o olbrzymie przestrzenie parku, które wzbudzają we mnie poczucie osamotnienia?

Do końca sama nie wiem, czemu tak się czuję. Derek wciąż jest przy mnie, czulszy niż kiedykolwiek, a jego młodsza siostra Alice okazuje mi sympatię i szacunek. Sądzę, że brakuje mi bratniej duszy, bardzo często myślę o Tobie, Madeline. Dlatego chciałabym spytać: czy nie zechciałabyś odwiedzić mnie tutaj, w Dworze pod Cisami? Do mojego ślubu z Derekiem zostały niecałe dwa miesiące i byłabym szczęśliwa, gdybyś do tego czasu mogła zamieszkać, jako mój gość, razem z nami. Oczywiście spytałam już o zgodę mojej przyszłej teściowej – wyraziła aprobatę, i to z radością! Zdaje mi się, że w ostatnich dniach jej zażyłość ze mną wzrasta. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy oznajmiła, że pragnie już teraz ofiarować mi mój prezent ślubny. Właściwie to

ma być prezent dla mnie i dla Dereka. „Co to takiego?” – zapytasz z pewnością z zaciekawieniem.

A więc... Chodzi o obraz. O olejny portret. Mój portret!

Hrabina Verinder postanowiła zatrudnić słynnego (podobno) malarza, żeby do czasu ślubu sporządził mój portret. Ale to nie wszystko! Hrabina jest bardzo ekscentryczna i... dość staromodna. Albo raczej przywiązana do dawnych tradycji. Bo co powiesz na to: mam pozować malarzowi w kosztownej sukni, którą matka Dereka sama nosiła za młodu. Moja przyszła teściowa przekazała mi również naszyjnik z oprawionych w złoto szmaragdów. Madeline, nigdy nie widziałam podobnych klejnotów! Powietrze skrzy się wokół nich, są takie piękne! Nie mogę się doczekać, żeby Ci je pokazać. Po ślubie, zgodnie z rodową tradycją Verinderów, szmaragdy mają stać się moją własnością. Tymczasem mam zakładać je na sesje z malarzem. Zapomniałam dodać, że szmaragdy idealnie pasują kolorem do sukni – cudownej, staromodnej kreacji w intensywnie zielonym kolorze. Pochlebiam sobie, że pasują też do moich oczu, które, jak wiesz, są szarozielone.

Pisz do mnie, kochana! I pamiętaj o moim zaproszeniu! Dotąd przypuszczałam, że spotkamy się dopiero na moim ślubie, lecz jeśli zechcesz przyjechać i towarzyszyć mi w przygotowaniach do niego, uczynisz mnie najszczęśliwszą dziewczyną w całej Anglii.

Pozdrawiam Cię najserdeczniej.

Twoja zawsze oddana przyjaciółka

Claire Evans

* * *

21 marca 1898 roku, Dwór pod Cisami

Kochana Madeline!

Nawet nie wiesz, ile radości sprawił mi Twój list, a zwłaszcza zawarta w nim zapowiedź Twojego rychłego przyjazdu. Rozumiem, że musiałaś wstrzymać się z nim z powodu choroby Twojej gospodyni, ale teraz... Błagam Cię, przyjeźdź!

Potrzebuję Twojego towarzystwa, Twojej przyjaźni i Twojej życzliwej obecności jak chyba nigdy dotąd. Czuję, że pobyt tutaj źle na mnie wpływa. A może to tylko stres w związku z nadchodzącym ślubem? Dziwne myśli krążą mi po głowie. Mam wrażenie, że każdy mój ruch jest bacznie śledzony i poddawany nieustannej ocenie. Służba przypatruje mi się i zapewne szepce

za moimi plecami: czy ta nowa, młodziutka narzeczona lorda Dereka nadaje się na przyszłą hrabinę? Czy jej maniery przy stole nie są zanadto pospolite? A jej wygląd, czy nie nazbyt tuzinkowy i nijaki? Czy jej portret w zielonej sukni będzie prezentował się dość godnie w długim rzędzie podobizn kobiet noszących stare nazwisko Verinder i rodowy naszyjnik ze szmaragdami?

Pierwsze pozowanie malarzowi już za mną – jest to milczący, siwobrody jegomość, który wymaga ode mnie siedzenia w jednej pozycji przez długie chwile, w całkowitym bezruchu. Pozowanie męczy mnie i nuży – lecz czyż nie jest to niewielka niedogodność w zamian za uszczęśliwienie narzeczonego i jego matki?

Ach, Madeline, to napięcie związane ze ślubem niechybnie daje mi się we znaki! Jak wiesz, zawsze pragnęłam cichej ceremonii, skromnego kościoła i nielicznych gości drogich memu sercu, a także sercu mojego przyszłego małżonka. Wychodząc za Dereka, muszę nie tyle pójść na ustępstwa, co całkowicie pożegnać się z tą wizją... Jego matka nalega na ceremonię godną przyszłej hrabiowskiej pary. W trakcie posiłków przy stole toczą się rozmowy o każdym szczególe ślubu... Derek nie przejmuje się tym zanadto i radzi, bym postępowała tak samo – pobłażliwie traktując wszystkie ustalenia. Ja jednak nie jestem tak odporna jak on, nie mam równie silnego charakteru. Nerwowe napięcie, które nieustannie mi ostatnio towarzyszy, zdaje się mieć negatywny wpływ na moje zdrowie. Coraz częściej męczą mnie migreny, miewam też silne zawroty głowy. Nie mam apetytu – jak gdyby mój żołądek zmienił się w ołowianą kulę.

Przybywaj, kochana Madeline, zanim popadnę w obłąd! Wiem, że przy Tobie niechybnie odzyskam spokój i znów będę cieszyć się niezmqconą radością z bycia żoną Dereka Verindera, co już za krótki czas ma się stać moim udziałem!

Wyczekuję Cię z niecierpliwością.

Twoja zawsze oddana przyjaciółka

Claire Evans

* * *

Pociąg turkotał po torach w jednostajnym rytmie, a cichy głosik w mojej głowie powtarzał słowa skreślone na czerpanym papierze przez moją drogą przyjaciółkę z dzieciństwa. Kolejne linijki tekstu przewijały się przed moimi oczyma jak lekko pofalowane tereny hrabstwa Surrey, które w tej chwili przypominały ciąg ruchomych obrazów, ożywionych za pomocą niezwykłego

wynalazku ostatnich lat – kinematografu.

Mój wzrok, przez chwilę zwrócony za okno, spoczął znów na wypełnionych drobnym pismem kartach. Nawet bez przypatrywania się kształtowi liter zauważyłam wyraźną zmianę w sposobie, w jaki pisała Claire. Ruch pióra znamionował narastającą nerwowość, na którą skarżyła mi się w listach. Cieszyłam się, że wreszcie ją odwiedzę, gdyż naprawdę zaczynałam się o nią martwić. Lęki, obawy – cały ten niepokój, który tchnął ku mnie z zapisanych stron, niezauważalnie mi się udzielał.

Każdy kolejny list był krótszy i coraz bardziej niepodobny do nieśmiałej, lecz radosnej i zawsze szczerzej Claire Evans, z którą przyjaźniłam się od dziecka. Ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymałam, nadeszła na dzień przed moim wyjazdem z Torquay. Zawierała zaledwie kilka zdań:

*Przyjeżdżaj szybko, Madeline! Wyczekuję Cię. Muszę Cię zobaczyć.
Claire*

Razem z tym ostatnim, zdawkowym listem Claire przesała mi podarunek: mały srebrny medalion z długim puklem jej miedzianozłotych włosów. Ten niespodziewany dowód niemal siostrzanego przywiązania wzruszył mnie, lecz również wzbudził moje zdziwienie. W zamyśleniu obracałam srebrny medalion w dłoniach. Miałyśmy spotkać się już lada chwila – dlaczego Claire przesała mi pukiel swych włosów, zamiast ofiarować go osobiście? Taki podarunek otrzymany wprost z jej rąk uradowałby mnie jeszcze bardziej... Poza tym zwyczaj praktykowany między bliskimi przyjaciółmi lub kochankami chciał, by ofiarować pukiel włosów na pożegnanie – niczym drogie wspomnienie na wypadek rozłąki.

A przecież my najbliższy miesiąc miałyśmy spędzić razem...

Westchnęłam i lekko potrząsnęłam głową. *Przyjaźń bywa równie skomplikowana jak miłość* – pomyślałam. Może nie doceniałam siły przyjaźni, jaką żywiła wobec mnie Claire? Poczułam coś jak ukłucie wyrzutu sumienia. Każda młoda dama na moim miejscu zapewne po prostu ucieszyłaby się z niespodzianki i z tak serdecznego prezentu. Ja zaś, zamiast postąpić podobnie, doszukiwałam się ukrytych znaczeń tam, gdzie zapewne wcale ich nie było.

Zamknęłam miedziany pukiel w medalionie, który zawisł na mojej szyi obok innego wisiora, z którym nigdy się nie rozstawałam – kunsztownego srebrnego krzyża należącego kiedyś do pewnego mężczyzny... Odruchowo

musnęłam kciukiem chłodny metal, a moje ciało przeszył dreszcz. Przed oczyma stanęła mi na moment pięknie wyrzeźbiona, naznaczona nieznikającym smutkiem twarz Gabriela. Pomyślałam, że coraz rzadziej pojawiała się w moich snach. W mych wspomnieniach stawała się coraz mniej wyraźna – jakby spowiły ją zasłony białych mgieł. Biegnący czas zwracał oblicze ukochanego mężczyzny w stronę miejsca, do którego od początku przynależało – we władanie odwiecznej tajemnicy, w której rodzi się i w której znika wszelkie życie...

Z zadumy wyrwało mnie pukanie. Drzwi przedziału przesunęły się i ukazał się w nich zażywny konduktor w służbowym uniformie. Na mój widok uchylił czapki.

– Dojeżdżamy do Farnham, łaskawa pani.

Podziękowałam mu za informację. Poprawiłam na szyi medalion od Claire, sięgnęłam po tweedowy płaszcz i ogromny kapelusz ozdobiony strusimi piórami. Szybko przejrzałam się w podręcznym lusterku. Kwadrans później spowita w pióropusz dymu lokomotywa wtoczyła się na stację kolejową w Farnham. Konduktor osobiście pomógł mi uporać się z pękatą walizką, która stanowiła obecnie mój jedyny bagaż – podróżny kufer został wysłany przez Artura do Dworu pod Cisami kilka dni wcześniej. Kiedy walizka bezpiecznie spoczęła na platformie peronu, zaczęłam bacznie rozglądać się wokoło. Widok wciąż przesłaniały kłęby pary, która unosiła się wokół lokomotywy. Minuty mijały i wokół mnie grupki podróżnych zaczęły się gwałtownie przeredzać. W końcu rozległ się ostry świst gwizdka parowego. Stalowe wiązary łączące koła lokomotywy zadrgały, po czym poruszyły się z mozołem. Zaczęły wybijać jednostajny rytm, który z każdą chwilą nabierał tempa. Pociąg odjechał i zorientowałam się, że zostałam na stacji całkiem sama.

– Czy panna Madeline Hyde? – odezwał się nieznajomy głos. Jednocześnie ktoś lekko ujął mnie za łokieć. Odwróciłam się z pewnym przestrawieniem.

Przede mną, pośród gęstych kłębow pary stał przygarbiony mężczyzna, który ścisnął w dłoni długi bat.

Gdyby nie krzaczasta, brunatna broda i wciśnięta aż na brwi filcowa czapka, jego twarz można by wziąć za twarz młodzieńca. Lśniły w niej niezwykle oczy – kiedy padł na nie przebłysk wiosennego słońca, spostrzegłam, że są różnobarwne: jedno oko było ciemnobrązowe, drugie zaś złoto-zielone. Wrażenie młodości bijące z oblicza woźnicy boleśnie kontrastowało z jego starczą sylwetką. Mężczyzna miał krzywe, mocno pochylone plecy. Pod marynarką nad jego prawą łopatką wybrzuszał się, niczym rakowata narośl, masywny, sterczący garb.

– Mam zabrać panią do Dworu pod Cisami. Powóz czeka.

Kiedy woźnica sięgnął po mą walizkę, zauważyłam, że ma silne, zwinne dłonie. Nie były wprawdzie pomarszczone jak u starca, lecz pokrywały je wypryski i plamy. Ostatecznie w myślach orzekłam, że staruszek musiał prowadzić bardzo cnotliwe życie – stąd błysk młodości tłący się nadal w jego niezwykłych oczach.

Chwilę później brodaty mężczyzna pomógł mi wsiąść do eleganckiego powozu ze złoceniami, do którego zaprzęgnięto czwórkę koni. Mimowolnie przebiegło mi przez myśl, że hrabina Verinder przyjmuje gości z rozmachem. Nie wątpiłam, że to ona wysłała powóz – zapewne poczciwa Claire wybrałaby raczej odkrytą bryczkę, z której swobodniej mogłabym podziwiać okolicę i czuć na twarzy miłą pieszczotę wiatru...

Konie ruszyły żwawym kłusem. Wtuliłam się w miękkie oparcie za plecami i przez szybkę chłonełam nowe dla oka krajobrazy. Wszędzie pachniało nadchodzącą wiosną: wilgotną ziemią i młodą, świeżą roślinnością. Cały świat pokrywał się cudowną, intensywną zielenią. Słońce znowu wychynęło zza rozwianych, pierzastych chmur. W jego świetle wyrastające coraz wyżej na horyzoncie kredowe wzgórza North Downs, ciągnące się długim pasmem od Farnham na zachodzie aż po białe klify w Dover na wschodzie, przypominały mi lśniący wewnętrznym blaskiem sznur szmaragdów.

2. DWÓR POD CISAMI

Powóz zatrzymał się z chrzęstem kół na białym żwirze naprzeciw potężnych drzwi dworu o trzech kondygnacjach z szarego piaskowca.

Wstrzymałam oddech. To był najprawdziwszy zamek! Monumentalna fasada pięła się ku niebu kamienną stromizną na podobieństwo wrośniętego w ziemię menhiru, niewzruszonej upływem lat pamiątki po dawno zapomnianych plemionach... Od samej liczby błyszczących okien budowli zawirowało mi w głowie. Rozległe skrzydła były zwieńczone basztami przykrytymi przez miedziane hełmy, z ozdobnymi lukarnami i okrągłymi okienkami, nazywanymi z francuskiego „bawole oko”.

Wyszłam z powozu i zadarłam głowę. Nad kamiennym portalem górował fronton wypełniony płaskorzeźbami, które onieśmiały swym rozmachem – grupa postaci, zaczerpniętych zapewne z mitologii, zdawała się wirować w dziwnym tańcu, a może raczej w chaosie rozgrywającej się między blokami kamienia bitwy.

Jak tylko konie się zatrzymały, pojawiło się dwóch lokajów w eleganckich liberiach – pierwszy zajął się moim bagażem, drugi zaś, skłoniwszy się głęboko, poprowadził mnie ku wejściu. Kołatka w kształcie mosiężnej wilczej głowy ukazywała arsenał błyszczących kłów, ale lokaj uchylił przede mną skrzydło grubych drzwi, ignorując groźną minę ich strażnika.

Moje obcasy zastukały na posadzce okrągłego holu, który przykryto kopułą z mlecznobiałego, zadymionego szkła. Ten dźwięk zabrzmiał jak uderzenia monety rzuconej na dno dawno wyschniętej studni. Miałam wrażenie, że nawet szelest mej sukni odbija się silnie rezonującym echem, po czym ginie gdzieś w przepastnych korytarzach domostwa, które wypełniają jego kamienne ciało niczym labirynt skomplikowanych arterii. Kiedy lokaj odebrał ode mnie płaszcz, postąpiłam kilka kroków naprzód. Z holu na prawo i lewo rozchodziły się długie amfilady pełnych przepychu salonów i saloników.

Ogarnął mnie zachwyty. Kasetonowe stropy, intarsjowane, antyczne meble z pociemniałego dębu, marmurowe kominki, mistrzowskie obrazy oraz

werdiury z pięknie tkanymi scenami łowów przenosiły mnie w dostojną, zamierzczłą przeszłość...

– Czy to panna Madeline? – Ktoś wypowiedział moje imię.

Odwrociłam się. Ciągłem ozłoconych przez kapryśne słońce pomieszczeń sunął ku mnie młody mężczyzna w świetnie skrojonym, ciemnym garniturze, z jasnym fularem zawiązanym na szyi w modny węzeł. Rozpoznałam w nim narzeczonego Claire – młodego lorda Dereka Verindera, którego spotkałam po raz pierwszy w Londynie na ich zaręczynowym przyjęciu. Wysoki i smukły, o ciemnych, wijących się włosach przygładzonych na skroniach odrobiną pomady, z daleka błyskał ku mnie dewizką kieszonkowego zegarka. Jego ruchy były sprężyste i pełne niewyszukanej, naturalnej gracji. W duchu musiałam stwierdzić to samo, co podczas owego przyjęcia – Derek Verinder podobałby się kobietom nawet bez swojego majątku oraz tytułu hrabiego.

Młody lord ujął mą dłoń i nachylił się ku niej, po czym zajrzał w moje oczy z uśmiechem. Spojrzenie jego złoto-zielonych, przejrzystych oczu było czyste i pełne przyjacielskiej serdeczności. Jeżeli miałabym dostrzec w nich cokolwiek innego, byłby to – być może – cień jakiejś romantycznej melancholii, którą zapewne każdy wrażliwy człowiek rozwinąłby w sobie, obcując co dnia z tyloma pamiątkami świetnej przeszłości.

– Lordzie Verinder...

– Proszę zwracać się do mnie po imieniu. – Derek lekko trącił smukłą dłonią powietrze, jak gdyby chciał odegnać ciężką aurę konwenansów, która otaczała go na co dzień. Na jego małym palcu błysnął złoty sygnet. – Czyż nie zostaliśmy sobie przedstawieni na zimowym przyjęciu w Londynie? Jest pani przyjaciółką Claire, a więc i moją – zapewnił.

– W takim razie proszę mi się odwzajemnić.

– Oczywiście, Madeline. – Uśmiechnął się. – Czy mogę zaproponować herbatę, a może kawę albo odrobinę wina? Na podorędziu mamy świetne francuskie roczniki... A podkuchenna właśnie przygotowuje podwieczorek. Jeśli chciałabyś przedtem chwilę wypocząć po podróży, twój pokój oczywiście czeka...

– Dziękuję, nie czuję się zmęczona. Podróż była wspaniała. Przez całą drogę ze stacji zachwycałam się tutejszą wiosną. Woźnica powiedział, że celowo wybrał najbardziej malowniczą trasę, choć nadłożył przez to nieco drogi.

– Doprawdy? Jeżeli zatem nie nadwyreżyżyłaś się, co powiesz na to, bym oprowadził cię po rezydencji?

– Bardzo chętnie – odparłam, mimowolnie rozglądając się wokoło. Przepych wnętrz nieodparcie mnie fascynował, ale i odrobinę przytłaczał. – Ale najpierw chciałabym przywitać się z Claire. – Byłam lekko zawiedziona,

że przyjaciółka nie wyszła mi na spotkanie.

– Musisz jej wybaczyć – odparł Derek. – Powinna zjawić się za jakiś czas. Jeszcze nie skończyła pozować malarzowi. Mistrz pędzla wynajęty przez moją matkę przestrzega długości każdej sesji co do minuty. Cóż, chyba tacy właśnie są artyści... Claire pisała ci o portrecie?

– O tak! – Uśmiechnęłam się. – Portret w zielonej sukni! Obraz ma być prezentem ślubnym, prawda?

Poczułam się zaintrygowana. Listy Claire rozbudziły moją ciekawość co do tego tajemniczego portretu. Sam pomysł jego wykonania wydawał mi się szalenie romantyczny, poza tym, oczywiście, mile łechtał drzemiącą w każdej pannie nutkę kobiecej próżności. Która młoda dama nie zechciałaby zostać uwieczniona przez artystę, kiedy jej uroda jest w fazie największego rozkwitu, a ona sama przygotowuje się do niezapomnianego wydarzenia, jakim jest ślub?

– Nigdy nie oglądałam przy pracy zawodowego malarza. Czy nie mogłabym zajrzeć do Claire i przez chwilę jej poasystować? – spytałam z nadzieją. W jednym z listów Claire wspominała, że bardzo chce mi pokazać zabytkową zieloną suknię, a przede wszystkim naszyjnik ze szmaragdami, który ofiarowała jej przyszła teściowa. Pomyślałam, że ucieszy się, kiedy zrobię jej niespodziankę i ukradkiem wejdę do pokoju zamienionego na pracownię. – Obiecuję, że będę zachowywać się cicho, żeby nie rozpraszać artysty – zapewniłam z niewinnym uśmiechem.

– Wykluczone! – odpowiedział nagle głos cichy jak świst wiatru, lecz nacechowany stanowczością. Odruchowo podążyłam za nim wzrokiem.

Po szerokich dębowych schodach z szelestem sukni schodziła ku nam kobieta w wieku lat pięćdziesięciu lub więcej. Jej kroki były niespieszne i płynne, i mimo wieku damy tak lekkie, że prawie nie słyszałam stukotu obcasów. Ich właścicielka zdawała się płynąć w powietrzu. Niezwykle elegancki krój jej sukni o barwie orzecha podkreślał doskonałą sylwetkę.

Ogon sukni ześlizgiwał się po kolejnych stopniach. Kiedy wytworna pani stanęła na ostatnim z nich, Derek podał jej ramię i pomógł pokonać odległość kroku, która dzieliła ją od posadzki.

– Matko, to nasz gość, panna Madeline Hyde. Madeline, oto moja matka, hrabina Georgiana Verinder, wdowa po lordzie Jamesie Verinderze.

– *Milady*. – Dygnęłam głęboko. – Czuję się zaszczycona.

Hrabina podała mi blad różową dłoń o wypielęgnowanych paznokciach. Jej miękki uścisk trwał odrobinę dłużej, niż się spodziewałam. Widać i ona, podobnie jak jej syn, pragnęła okazać mi swoją serdeczność.

– Proszę darować mi apodyktyczny ton – powiedziała, zaglądając mi

w oczy spod ciężkich powiek, które przywodziły na myśl połówki bladych muszli, skrywające czarne perły źrenic. – Mam bardzo przesądny stosunek do niektórych spraw. Kawaler nie powinien oglądać portretu przyszłej panny młodej przed ślubem. Skutkiem może być nie tylko nieudany obraz, lecz przede wszystkim nieudana ceremonia.

Skinęłam głową z głębokim dygnięciem. Nie zamierzałam zaczynać mej wizyty we Dworze pod Cisami od wchodzenia w dyskusję z panią domu – nawet jeżeli w tej roli miała zastąpić ją niebawem moja najbliższa przyjaciółka...

– Skoro takie jest pani życzenie, *milady* – rzekłam cicho. Hrabina Verinder puściła moją dłoń.

– Ten obraz ma być niespodzianką – dodała, z przelotnym uśmiechem zerkając na syna, a ja pomyślałam, że w młodości musiała być przepiękną kobietą. Mimo zmarszczek wokół oczu i ust jej twarz wciąż odznaczała się klasycznymi proporcjami, zaś dumny profil przywodził na myśl marmurowe popiersia rzymskich matron. Grube włosy zwinięte na karku w ciężki węzeł skrzyły się w słońcu zaledwie kilkoma pasmami platynowej siwizny.

Przeszliśmy we trójkę do wielkiego, lecz zaskakująco przytulnego salonu pełnego antycznych mebli, kryształowych luster i obrazów w grubych złożonych ramach, które odcinały się na tle tapet ze skóry wytłaczanej w wijące się hipnotycznie geometryczne desenie. Nad kominkiem wisiał barwny poczet tarcz herbowych kolejnych hrabiów z rodu Verinderów, którzy zamieszkiwali ten zamek. Niebawem dwóch lokajów podało herbatę w maleńkich filiżankach oraz ciasta na srebrnej paterze.

Derek Verinder podjął wcześniej przerwany wątek. Chyba uważał za swój obowiązek zaprezentować mi zarówno zamek, jak i jego mieszkańców.

– Zapewne pamiętasz moją młodszą siostrę Alice? To osóbką, której nie da się zignorować – powiedział ze śmiechem. – Zobaczycie się przy kolacji o siódmej. Obawiam się, że teraz Alice...

– Teraz ta uparta dziewczyna ugania się konno po okolicznych wzgórzach, zapewne siedząc w siodle jak mężczyzna – wtrąciła cicho hrabina na poły z czułością, na poły z rozżaleniem. Z jej piersi wyrwało się głębokie westchnienie, jak gdyby szła na ustępstwo w obliczu nieszczęścia, któremu wcześniej wielokrotnie próbowała się już przeciwstawić. Następnie wyciągnęła dłoń do syna, żeby lekko poklepać go po ręku.

– Na szczęście mam jeszcze ciebie, Derek – rzekła cicho. – Z całego rodzeństwa właśnie ty odziedziczyłeś wszystko, co najlepsze.

Wsluchując się w brzmienie tych słów, zaczęłam się zastanawiać, czy miała na myśli wyłącznie hrabiowski tytuł, czy też chodziło o coś więcej.

- Rodzeństwa? – podchwyciłam odruchowo i zaraz odrobinę się spieszyłam.
- Jest ktoś jeszcze oprócz Dereka i Alice? – zapytałam, nie kryjąc zaskoczenia.
 - Mój młodszy brat, Dexter – odparł Derek i jakby spoważniał.
 - Niestety nie pamiętam go – wyznałam, coraz bardziej zawstydzona własnym roztrzepaniem i nieuwagą. Gorączkowo przeszukiwałam głowę w poszukiwaniu umykających wspomnień z oszałamiającego rautu na cześć narzeczeńskiej pary, który odbył się tej zimy w Londynie. Na szczęście Derek szybko wyprowadził mnie z błędu.
 - Nie możesz go pamiętać. Nie było go na przyjęciu.
 - Ach tak... – zawiesiłam głos. Poczułam się mocno zaskoczona. Jakież powody mogły odwieść kogoś od uczestnictwa w przyjęciu zaręczynowym własnego brata? Czyżby pomiędzy dwoma synami hrabiny istniał jakiś żal albo rywalizacja?
 - Tej zimy Dexter źle się czuł – wyjaśnił Derek. – Jest dość chorowity... To specyficzny człowiek. Jego również poznasz przy kolacji.
 - Hrabina spoglądała za okno złożone z zielonych, romboidalnych szybek zespolonych ołowiem. Na parapecie coś się poruszyło – nie wiedzieć kiedy na podłogę bezszelestnie niczym obłoczek sadzy zeskoczył czarny kot – sierść miał puszystą jak dym, a ślepia żółte jak siarka. *Lady Verinder* pogładziła go po trójkątnej głowie, po czym zmieniła temat.
 - Pani pokojówka, panno Hyde...
 - Proszę mi mówić: Madeline – przerwałam łagodnie. – I nie przyjechałam z pokojówką.
 - Przyjechała pani bez pokojówki? Całkiem sama? – powtórzyła starsza dama, jak gdyby odnalazła pewną trudność w przyswojeniu sobie moich słów. – Przydzielę pani zatem osobistą pomoc. Na szczęście nie narzekamy na brak wykwalifikowanej służby – oświadczyła, po czym lekko się uśmiechnęła. – Widzę, że jest pani nowoczesną młodą damą. Zapewne popiera pani ruch sufrażystek? Ja również! – zapewniła z nieoczekiwaną wesołością. – Kiedy mieszka się w domu takim jak ten, łatwo zapomnieć, że czas płynie bez ustanku... Przypomina o tym tylko lustro. Jestem bardzo przywiązana do tradycji, lecz rozumiem potrzebę postępu. Gdyby nie postęp, zmienilibyśmy się w mumie. Stare rody, jak nasz, potrzebują świeżej krwi! – dodała i ścisnęła mnie za rękę. – A oto i powiew świeżości w tym domu! – zawołała na widok wchodzącej do salonu Claire.

3. W ZAMKOWYM OGRODZIE

Moja przyjaciółka stanęła w progu – jej dłoń spoczęła na framudze szeroko otwartych drzwi. Dziwnie zapadł mi w pamięć widok Claire z tamtej chwili – framuga okalała jej szczupłą postać niczym prostokątna rama obrazu, którego tło stanowiła długa perspektywa przepastnych pokoi w amfiladzie. Claire miała na sobie jasną suknię dzienną o rękawach z wysokimi, marszczonymi bufami, które przypominały doczepione do jej ramion motyle skrzydła. Jej miedziane włosy, upięte w wyszukany kok, na przemian zapalały się i gasły w promieniach kapryśnego słońca – misterna fryzura przypominała wykutą z czerwonego złota koronę królowej leśnych wrózek... Ale delikatna Claire zdawała się ostatkiem sił trwać wyprostowana pod jej ciężarem. Jej twarz odznaczała się przejmującą bladością. Poczułam ukłucie niepokoju.

– Najdroższa Madeline! – zawołała Claire cicho, a ja zerwałam się z miejsca, żeby ją uściskać.

– Claire! Tak dobrze cię widzieć! Czy aby dobrze się czujesz? – zapytałam jednym tchem, bo wrażenie bladości na twarzy mej przyjaciółki zaniepokoiło mnie na nowo.

W oczach dziewczyny igrał dziwny cień. Nie zniknął nawet, kiedy promiennie się do mnie uśmiechnęła.

– Ależ tak – zapewniła zbyt pospiesznie, jak gdyby moje pytanie ją spłoszyło. I zapewne właśnie tak się stało. Dobrze wiedziałam, że Claire nigdy nie lubiła, kiedy inni zanadto skupiali na niej uwagę. – To znaczy... – dodała z wahaniem, w odpowiedzi na me intensywne spojrzenie. – ...trochę mi słabo. Zmęczyło mnie to siedzenie w bezruchu, kiedy malarz się we mnie wpatrywał. Wciąż czuję napięcie w każdym mięśniu. Od zapachu farb zaschło mi w gardle.

– Najmilsza, Madeline ma rację. Naprawdę źle wyglądasz – rzekł z troską w głosie młody hrabia Verinder i objął narzeczoną ramieniem. Delikatnie uniósł ku sobie jej podbródek. Widziałam, że jest szczerze przejęty. Jego spojrzenie odnalazło oczy narzeczonej, po czym przelotnie spoczęło na jej ustach. Hrabia musiał zdobyć się na wysiłek, żeby nie złożył na nich

namiętnego pocałunku – opanował się jednak, zapewne ze względu na obecność swojej matki. Jak zdołałam się już domyślić, głęboko tradycyjne poglądy starej damy prawdopodobnie wykluczały wymianę pieśczoć między narzeczonymi na jej oczach.

Ostatecznie usta Dereka spoczęły na jasnym czole Claire. Jednocześnie opuszkami palców mężczyzna z czułością pogładził ją po włosach. Ku mojemu zdumieniu Claire nerwowo drgnęła, kiedy dłoń narzeczonego dotknęła jej miedzianych pukli. Wiotka dziewczyna zatrzęsała się niczym osika...

Moje serce zabiło niespokojnie.

O co chodzi? Dlaczego tak zareagowała?

Jej zachowanie wydało mi się tym dziwniejsze, że już w następnej sekundzie mocno wtuliła się w Dereka całym ciałem, jak gdyby pragnęła ukryć się w jego ramionach przed resztą świata. Z napięciem śledziłam kolejne drgania jej twarzy – na moment zacisnęła powieki. Kiedy znów je uniosła, w szarzielonych oczach zamigotało coś, co mogło być wstrzymywanymi łzami.

Claire prędkim, ukradkowym gestem musnęła palcem kącik oka.

– Już dobrze. – Uśmiechnęła się.

Narzeczony niechętnie wypuścił ją z objęć.

– Na pewno? Jesteś taka blada! Wiesz, że dla mnie zawsze wyglądasz przepięknie, ale powinnaś wypocząć. Skoro przeszkadza ci zapach farb, może na parę dni zrobisz sobie przerwę od pozowania *monsieur* Dubois? Moja matka na pewno się nie obrazi. Prawda, matko? – Hrabia Derek mówił łagodnym, ale zdecydowanym tonem, który oczekiwał potwierdzenia.

– Oczywiście, moja droga – odpowiedziała dobrotliwie starsza dama, zwracając się do przyszłej synowej. – Moje biedactwo! Jesteś taka delikatna! O mnie się nie martw, nie obrażę się, jeśli porzucisz pozowanie do portretu, choć ten obraz to miał być mój prezent ślubny dla was obojga... Oczywiście *monsieur* Dubois wziął zapłatę z góry, ale cóż znaczy ta skromna suma wobec twojego dobrego samopoczucia?

– Nie zamierzam rezygnować – nieśmiało zaprotestowała Claire. – Derek mówił tylko o paru dniach przerwy. Mogłabym spędzić trochę czasu z Madeline...

– Masz rację! – zgodziła się hrabina z wyrazem zakłopotania na pomarszczonej twarzy. – Wybaczcie wszyscy troje starej kobiecie. Plotę bzdury i sama dopowiadam sobie słowa, które wcale tutaj nie padły. To pewnie dlatego, że tak bardzo się przejmuję waszym ślubem. Claire, bardzo chcę mieć cię w rodzinie. Zrób, jak zechcesz. Musisz koniecznie uważać

na twoje słabe zdrowie, jeśli w przyszłości masz powić silnego potomka i dziedzica tytułu hrabiego.

– Nic mi nie jest – zapewniła Claire, odrobinę się rumieniąc. – To z pewnością tylko napięcie przed ślubem. W pracowni było tak duszno... Muszę po prostu się przewietrzyć.

– Może przespacerujemy się po ogrodzie? – podchwyciłam, próbując jakoś wybawić przyjaciółkę od dalszego wikłania się w dyskusję, która z jej perspektywy z wolna przeradzała się w mowę obronną.

– Wspaniały pomysł! – odpowiedziała Claire.

– Może zechcecie, moje damy, żeby wam potowarzyszyć w przechadzce? – zapytał jej narzeczony, obejmując nas obie serdecznym spojrzeniem. Claire spojrzała na niego z czułością.

– Dawno się nie widziały – wtrąciła z uśmiechem hrabina. – Pozwól im się sobą nacieszyć, synu. Claire niebawem zostanie twoją żoną i będziesz miał ją tylko dla siebie. Tymczasem twoja piękna narzeczona i panna Madeline z pewnością mają sobie wiele do powiedzenia.

Tym razem w duchu musiałam przyznać jej rację.

Stara dama ścisnęła Claire za rękę i uśmiechnęła się do niej ujmująco.

– Dalej, moje dziecko. Nacieszcie się końcówką popołudnia.

– Święte słowa! – Chwyciłam Claire za rękę i pociągnęłam ją w stronę przeszklonych drzwi wiodących na taras, skąd kamienne schody prowadziły do rozległych ogrodów. – Dereku, porywam twoją narzeczoną! Gwarantuję, że ujrzysz ją znów przy kolacji!

Dygnęłyśmy obie i zbiegłyśmy po schodkach na wyłożoną kamieniami aleję. Jak za sprawą zaklęcia, po chwili zjawił się lokaj, żeby przynieść nam kapelusze i cienkie płaszcze.

Ruszyłyśmy przed siebie między fantazyjnie przyciętymi bukszpanami, z których wprawne ręce ogrodników uformowały zielone smoki, charty i pędzące konie... Podziwiałam owe ulistnione rzeźby omiatane łagodnym wietrzykiem, który szeleścił naszymi sukniami. W całym ogrodzie czuć było pulsowanie wiosny, która lada chwila miała usiać kwiatami okoliczne wzgórza i spłukać z nich ostatnie resztki zimy kąpielą krótkich, gwałtownych burz. W koronach parkowych drzew ćwierkały ptaki i basowo gruchały dzikie gołębie. Z każdego kątką wychylała się świeża, nieskalana jeszcze niczym zielen, napęczniała wzbierającymi w ziemi sokami, gotowa radośnie wybuchnąć ku słońcu lada dzień, lada godzina, lada minuta... Natura wyczekiwała niecierpliwie wiosennej ulewy, a ludziom, całkiem nieświadomie, udzielało się milczące podniecenie.

Claire i ja chwilę szłyśmy obok siebie bez słowa. Minęłyśmy parę

kamiennych jeleni o porożach uwikłanych w sieci bluszczu, oszronionych malachitową patyną porostów. Główną aleję wieńczył stary zegar słoneczny pokryty mnóstwem astronomicznych symboli, niczym abstrakcyjny ołtarz ku czci solarnego bóstwa. Rozkoszowałam się zapachem ziemi i szmerem wijącej się dnem pobliskiego wąwozu rzeczutki, której brzegi spinał kamienny łuk mostu.

– Tak dobrze cię widzieć, Claire – odetchnęłam głęboko, wciągając do płuc rześkie, wonne powietrze. – Zamek i park prezentują się wspaniale. Są tak ogromne, iż mam wrażenie, że można by odkrywać je tygodniami, a i tak wciąż znalazłoby się coś nowego... Przy tym wszystkim mój ukochany dom na Wzgórzu Mgieł przypomina tylko skromną chatkę.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Podoba? To mało powiedziane! Ale to co innego przyjechać tu na jakiś czas, a co innego mieć w perspektywie zamieszkać tutaj na stałe – zauważyłam, przyglądając się bladej twarzy przyjaciółki. Chwyciłam jej dłoń i delikatnie ją ścisnęłam. – Claire, muszę cię o coś spytać. Proszę, powiedz: czy jesteś tutaj szczęśliwa?

– Szczęśliwa? – powtórzyła cicho miedzianowłosa dziewczyna. Popatrzyła na mnie swoimi wielkimi oczyma spłoszonej łani w taki sposób, jak gdyby nie rozumiała, jak w ogóle mogę o to pytać. – Kocham Dereka, Madeline. Przecież wiesz. Jego miłość jest dla mnie najważniejsza na świecie. Jakże mogłabym nie być szczęśliwa, kiedy on mnie kocha, jest ze mną i pragnie mnie poślubić?

– Wiem, że się kochacie – zapewniłam natychmiast, powoli kiwając głową. – Ale wychodząc za niego, wiążesz się nie tylko z Derekiem, lecz również z jego bliskimi. Claire, jacy oni są na co dzień? Czy są dla ciebie dobrzy?

– Moja kochana przyjaciółko – szepnęła Claire, a ja poczułam, że trafiłam w sedno. – Nic się przed tobą nie ukryje, prawda?

– To znaczy?

Claire zamilkła na moment, lekko marszcząc czoło. Znałam ten wyraz twarzy. Zawsze tak robiła, ilekroć się nad czymś zastanawiała albo kiedy chciała ubrać w słowa swoje najgłębsze odczucia. Nie dzieliła się nimi z lekkością – zawsze łatwiej przychodziło jej to w listach niż twarzą w twarz – nawet wobec mnie...

– Wszyscy są bardzo mili i traktują mnie z szacunkiem... Ale chwilami mam wrażenie, że to tylko pozory. Z początku myślałam, że zaprzyjaźnię się z Alice.

– Z młodszą siostrą Dereka?

– Tak. – Claire skinęła głową. – Jesteśmy w podobnym wieku, obie kochamy grę na fortepianie. Zaraz po tym, jak się tu przeprowadziłam,

spędzałyśmy miłe chwile na przechadzkach i przyjacielskich rozmowach. Ale po upływie tygodnia lub dwóch Alice zaczęła się ode mnie odsuwać. Nadal jest dla mnie miła, jednak... nie jest już tak jak wcześniej. Mam wrażenie, że mnie unika. Nawet dziś. Wiedziała, że masz do mnie przyjechać, a i tak zniknęła na pół dnia, wybrawszy konną przejażdżkę. Musisz przyznać, że to odrobinę... hmm, niegrzeczne?

W zamyśleniu skinęłam głową. Claire westchnęła i delikatnie wzruszyła swoimi szczupłymi ramionami. Pomyślałam, że choć moja przyjaciółka nie była uważana za klasyczną piękność, to jej wybitnie celtycka uroda rozkwitała w kontakcie z naturą.

– Być może chodzi o różnicę charakterów. Najwyraźniej jestem dla Alice... za spokojna. Podejrzewam, że prędzej zaprzyjaźniłaby się z tobą, Madeline.

– Nie żartuj! Jesteś wspaniałą osobą! Zresztą przeciwności często się przyciągają. Może ona się na tobie nie poznała – stwierdziłam z przekonaniem.

Claire zrobiła bezradną minę.

– Albo wprost przeciwnie. Poznała mnie i ostatecznie stwierdziła, że nasze charaktery do siebie nie pasują. Alice to bardzo żywiołowa, niepokorna dziewczyna. Kiedy chce, potrafi postawić na swoim, a nawet otwarcie przeciwstawić się hrabinie. Myślę, że mogłabym się od niej tego nauczyć – wyznała z rozbijającą szczerością. Jej ostatnia uwaga wydała mi się wyjątkowo trafna. – Przykro mi, że się ode mnie odsunęła – skwitowała moja przyjaciółka.

Bardzo chciałam jakoś jej pomóc.

– Jak to się właściwie stało? Nie doszło między wami do żadnej sprzeczki, nieporozumienia? Od kiedy Alice zaczęła cię unikać?

– Nie – zaprzeczyła Claire. – Nie miało miejsca nic takiego. A jeśli pytasz o dokładny czas, kiedy Alice zaczęła odtrącać mą przyjaźń, to myślę... – zawahała się przez chwilę – ...myślę, że zbiegło się to z tym, jak malarz wynajęty przez hrabinę zaczął pracę nad moim portretem.

– W takim razie przyczyną jej zachowania musi być zazdrość – zawyrokowałam.

– Zazdrość?! O co?! – Claire zamrugnęła z niedowierzaniem.

– Zastanów się – odpowiedziałam. – Najpierw skradłaś serce jej starszego brata. Wprowadziłaś się do zamku. A teraz otrzymałaś od jej matki wspaniały prezent: nie tylko zostaniesz uwieczniona na portrecie jako nowa hrabina Verinder, ale dostałaś także naszyjnik ze szmaragdami, który dla Verinderów stanowi rodzinną pamiątkę. Może Alice liczyła, że to ona go otrzyma jako jedyna córka hrabiny? W końcu ona również jest młodą kobietą z rodu

Verinderów. Czyż to nie są wystarczające powody, żeby obudzić zazdrość w dziewczęcym sercu?

Claire potrząsnęła głową. Jej miedziano-złoty kok załśnił w słońcu niczym pąk egzotycznego kwiatu.

– Nie pojmuję tego.

Delikatnie ścisnęłam ją za rękę.

– Ponieważ nie jesteś ani trochę małostkowa. Kochasz ludzi bardziej niż piękne przedmioty. Ale uwierz mi, niestety większość osób rozumuje całkiem inaczej. A jeśli chodzi o pieniądze i klejnoty, nie uwierzyłabyś, ile zła potrafią one zbudzić w ludzkim sercu – szepnęłam, mimowolnie powracając myślami do tragicznych wydarzeń, które rozegrały się na Wzgórzu Mgieł prawie dwa lata wcześniej.

Claire niezawodnie wyczuła mój nastrój i moje myśli.

– Zabójstwo twojej ciotki zmieniło cię, Madeline – zauważyła miękko, z ogromnym współczuciem.

– Musiało mnie zmienić. Ty też jesteś teraz inna niż ostatniej zimy w Londynie. Wszyscy zmieniamy się nieustannie...

– To prawda. – Twarz dziewczyny znowu przesłonił lekki cień.

– Nie przejmuj się już zachowaniem Alice – powiedziałam lekkim tonem. – Jest wprost obrzydliwie bogata. Zobaczysz, przyjdzie dzień, że to ona poczuje się zawstydzona tym, jak łatwo odrzuciła twoją przyjaźń z powodu szmaragdowego naszyjnika.

– Pewnie masz rację.

Uśmiechnęłam się.

– Opowiedz mi lepiej o młodszym bracie twojego ukochanego.

– O Dexterze? – Claire leciutko się skrzywiła. – Madeline, ten człowiek trochę mnie przeraża.

Znając nieśmiałość mojej przyjaciółki, ani przez ułamek chwili nie sądziłam, że naprawdę czuje strach. Choć prawdę mówiąc, lekko mnie to rozbawiło.

– Co masz na myśli? – spytałam wesoło i figlarnie zmrużyłam oczy. – Czy jest równie przystojny jak Derek?

Oczekiwałam delikatnego kuksańca w bok, a nie miny, jaką nagle zrobiła Claire.

– Nie żartuj. Dexter... nie jest przystojny. Wiem, że nie można prawdziwie ocenić człowieka, kierując się jego wyglądem, ale... naprawdę nic nie poradzę na to, że on mnie przeraża – powtórzyła nieco drżącym głosem.

– Chyba nocami nie zamienia się w wilkołaka i nie ugania się po tych wzgórzach, wyjąc do księżyca? – zażartowałam, próbując przywołać uśmiech

na twarz przyjaciółki. Kąciki jej ust się uniosły, ale zaraz znów spoważniała.

– Poznasz go przy kolacji. Wówczas sama ocenisz. Zarówno jego wygląd, jak i jego maniery... Moim zdaniem jedno i drugie jest niecodzienne.

Poczułam się naprawdę zaintrygowana. Co takiego próbowała przekazać mi Claire? Czyżby brat hrabiego miał się okazać krwiożerczym libertynem, jak ponury bohater jakiejś francuskiej powieści? Moje usta już składały się do kolejnego pytania, kiedy zza odległej kępy starych drzew wyłoniła się jadąca wierzchem dziewczyna w tweedowym kostiumie i w eleganckim kapeluszu. Zamiast sukni miała na sobie męskie bryczesy. Na nasz widok, jak gdyby po sekundzie wahania, uniosła w górę dłoń. Claire odpowiedziała tym samym. Amazonka spięta karego konia łydkami i puściła się galopem w naszą stronę. Już po chwili miałam przed sobą siedzącą w siodle córkę starej hrabiny i siostrę Dereka – pannę Alice Verinder.

Na końskim grzbiecie prezentowała się niemal tak samo wspaniale jak w szykownej kremowej sukni podczas zaręczynowego przyjęcia Claire w Londynie. Alice miała ciemne, niemal czarne oczy swojej matki i równie ciemne, lśniące włosy. Jej skórę nawet po zimie cechował złocisty odcień. Konna przejażdżka różowiła jej policzki i nadała blasku jej spojrzeniu.

– Dzień dobry, Claire! Witam, panno Madeline! – zawołała, na moment przykładając dłoń do kapelusza. – Wybaczcie, proszę, ale nie zejdem z konia. Klacz jest bardzo nerwowa. Przed chwilą chyba ukąsił ją giez. Owady pojawiły się wcześniej w tym roku...

Rzeczywiście, kara klacz przebierała w miejscu kopytami i nerwowo podrzucała głowę, rozsypując na boki wspaniałą grzywę. Alice z wprawą ściągała i luzowała cugle, ażeby utrzymać wierzchowca w ryzach.

– Cieszę się, że panią widzę, panno Hyde. Żałuję, że nie było mnie w domu, żeby panią powitać, ale musiałam przegnać z głowy chmurne myśli. Nie ma dla mnie na to lepszego sposobu niż jazda wierzchem.

– Mam zatem nadzieję, że przejażdżka się udała – odparłam. – Proszę się mną nie przejmować i zająć się koniem.

Alice Verinder skinęła głową.

– Wy również lepiej wracajcie do zamku. Wiatr się wzmacnia i nad wzgórzami gromadzą się chmury. Będzie padać. Zresztą niebawem pora kolacji. Do zobaczenia, Claire!

Ciemnowłosa dziewczyna ścisnęła końskie boki i klacz z miejsca puściła się galopem w kierunku odległych stajni. Przez chwilę razem z Claire śledziłyśmy wzrokiem oddalającą się sylwetkę amazonki. Zza wzgórz owionął nas chłodny podmuch wiatru.

– Myślę, że powinniśmy jej posłuchać – powiedziałam. – Znosi się

na deszcz i zaraz zacznie się ściemniać. – Zerknęłam na mój zegarek na łańcuszku. – Rzeczywiście, zbliża się pora kolacji – stwierdziłam z lekkim zaskoczeniem.

– Czas zawsze szybko mija w dobrym towarzystwie – odparła cicho Claire. – Ciekawe, czy przy stole upłynie nam równie prędko. – Delikatnie zmarszczyła brwi.

4. KOLACJA WŚRÓD ŚWIEC

Za wysokimi oknami spowitymi w ciężkie, pluszowe kotary z lambrekinem i ozdobnymi chwostami cicho świstał wiatr. Pierwsze krople deszczu rozprysły się o parapety i miedziane dachy barokowego zamku niczym srebrzyste konfetti. Ogromna jadalnia we Dworze pod Cisami tonęła w rześistym świetle świec, zdobiącym twarze zgromadzonych przy długim stole domowników grą ruchliwych światłocieni.

U szczytu stołu zasiadał młody hrabia Derek Verinder, na przeciwległym krańcu zajęła wysokie krzesło jego matka. Claire siedziała po prawej stronie narzeczonego, mnie zaś, jako gościowi, przypadło miejsce po lewej. Obok usiadła wystrojona w wieczorową suknię panna Alice. Za to po drugiej stronie stołu rozparł się mocno podstarzały jegomość o całkiem siwej, rozwichrzonej czuprynie i gęstej białej brodzie. Miał na sobie dwurzędową kamizelkę i bardzo elegancki frak, który jednak był na niego stanowczo zbyt obszerny. Barwny fular pod szyją zakrył ciężką białą serwetą, której brzeg, ku lekkiej konsternacji pozostałych, pieczołowicie wcisnął sobie za kołnierz, ażeby ochronić przed plamami odzienie. Nikt jeszcze nie zaczął jeść, ponieważ oczekiwaliśmy ostatniej osoby. Krzesło naprzeciwko mnie pozostawało puste.

Tymczasem cierpliwość białowłosego staruszka wyraźnie zaczynała się wyczerpywać. Spod krzaczastych brwi bacznie przyglądał się zastawie, a zwłaszcza zawartości półmisków wniesionych właśnie przez lokaja. Czynił to z nieskrywaną, wyczekującą łapczywością – taką, jaka cechuje dzieci, które kochają słodycze, oraz zdziecinniałych ludzi w bardzo podeszłym wieku.

Patrząc na owego siwowłosego jegomościa, wprost nie mogłam uwierzyć, że to właśnie jest ów słynny malarz, *monsieur* Maurice Dubois, o którym opowiadali mi Claire, Derek i hrabina. Pochodzący z Francji pan Dubois głośno poprosił lokaja, żeby nalał mu brandy – kiedy sięgał po napełniony kieliszek, zauważyłam, że jego pomarszczona dłoń mocno drży. Czy tą właśnie dłonią zwykł trzymać pędzel? Czy doprawdy ten właśnie mężczyzna, a właściwie staruszek o trzęsących się rękach i zbyt długich, lekko zakrzywionych paznokciach, pracował nad ślubnym portretem Claire?

Przez chwilę nie mogłam wyjść ze zdumienia i w mojej głowie zakotłowało się od pytań. Wybór malarza dokonany przez hrabinę Verinder wydawał mi się wprost niedorzeczny. Oczywiście decyzja należała wyłącznie do niej, ale trudno mi się było z nią pogodzić. Wprawdzie słyszałam o malarskich pracach Maurice'a Dubois, który swojego czasu święcił triumfy na wystawach w Paryżu i w Londynie, ale, zgodnie z moją najlepszą wiedzą, było to dobre kilkadziesiąt lat temu!

To, że hrabina go zatrudniła, pomijając tylu młodych, świetnie zapowiadających się artystów, mogłam przypisać wyłącznie jej słynnemu przywiązaniu do tradycji, umiłowaniu przeszłości albo i jakimś osobistym sentymentom.

Starszy pan szybko rozprawił się z brandy i nie bacząc na pozostałych gości, wyciągnął rękę w kierunku półmiska z mięsami. Zanim lokaj zdołał zareagować, szybko podsunęłam półmisek, żeby uniknąć niezręczności.

– Czy podać panu coś jeszcze, *monsieur*? – spytałam z uśmiechem, siląc się na lekkość. Staruszek zwrócił na mnie swe wyblakłe oczy, po czym zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył ją do ucha.

– Co panienka mówi?

– Czy podać coś jeszcze? – powtórzyłam głośniejszym głosem, odrobinę speszona.

– Na razie nie! Dziękuję, *mademoiselle*! – odparł malarz i zaczął odkrawać kawałek soczystego mięsa, nie dbając o to, że lokaj chciał go w tym wyręczyć.

Hrabina Verinder chrząknęła, chcąc pokryć zażenowanie.

– Pan Dubois ma rację. Myślę, że powinniśmy zacząć jeść. Nie będziemy dłużej czekać na Dextera. Wiecznie się spóźnia, a posiłek stygnie. Miałam nadzieję, że choć raz zjawi się na czas, żeby okazać szacunek naszym gościom, ale...

– ...ale oczywiście cię zawiodłem. – Męski głos, który nieoczekiwanie rozległ się w jadalni, sprawił, że nieomal podskoczyłam.

Z głębokiego półmroku, jaki panował przy drzwiach, wysunął się ku światłu świec cień sylwetki, której kształt zdawał się zakłamywać rzeczywistość. Domniemane optyczne złudzenie okazało się prawdą, kiedy mężczyzna stanął wprost przede mną.

– Miło mi panią poznać, panno Madeline – powiedział, po czym złożył na mej dłoni suchy pocałunek. – Jestem Dexter Verinder, brat hrabiego.

– Mnie również bardzo miło – odparłam, po czym słowa zamarły mi na ustach. Moje serce zaczęło wystukiwać szybszy rytm, a oczy rozszerzyły się z niedowierzania. Harmonijnie zarysowana twarz o nieco zbyt ostrych rysach w groteskowy wręcz sposób kontrastowała z resztą jego ciała. Silne

i zwinne dłonie Dextera Verindera zdawały się doklejone do niepasujących ramion, które zwisały jak u małpoluda. Mężczyzna miał na sobie elegancki garnitur z delikatnym anemonem w butonierce, ale nawet najlepiej skrojony strój nie byłby w stanie ukryć wysoko wysklepionego garbu, który szpecił jego plecy i boleśnie zginał je pod swym ciężarem niczym jakiś obcy, zrośnięty z nim twór.

Przed oczyma przewinął mi się obraz mężczyzny, który tego dnia odebrał mnie ze stacji.

Czy możliwe, że... był nim Dexter?!

Tak, to musiał być on! Podobieństwo sylwetki brata hrabiego i dziwnego woźnicy było aż nadto uderzające. Jedyłą widoczną różnicę stanowił obecnie brak krzaczastej brody – Dexter Verinder miał gładko ogolone policzki. Wprawdzie w półmroku, który spowijał twarz mężczyzny, nie byłam w stanie dostrzec barwy jego oczu, lecz mogłabym przysiąc, że każde z nich miało inny kolor!

Jak gdyby w odpowiedzi na moje domysły Dexter mrugnął do mnie porozumiewawczo. Jego usta wygięły się w grymasie rozbawienia. Natomiast moją twarz pokrył nerwowy rumieniec – kompletnie nie wiedziałam, jak się zachować. Milczałam i czując w piersi nagłe ukłucie gniewu, wbiłam spojrzenie w lśniący, pusty talerz.

– Przykro mi, że znowu musieliście na mnie czekać – rzekł Dexter, sadowiac się na krześle naprzeciw mnie. Zauważyłam, że utyka. Stabilność ruchów zapewniała mu elegancka laska zwieńczona rączką w kształcie wilczego pyska. – Ale chyba panna Madeline wybaczy ten drobny nietakt biednemu kalece? W zamku jest wiele schodów, a ja dźwigam bardzo ciężkie brzemię...

Przełknęłam ślinę, nie podnosząc wzroku.

– Oczywiście.

– Świetnie. – Dexter Verinder zatarł nieproporcjonalnie duże dłonie. – Jedzmy zatem, bo kolacja stygnie. Z tego, co widzę, *monsieur* Dubois zdążył się już obsłużyć. Bardzo słusznie! Muszę wyznać, że jak zwykle doskonale go rozumiem. *Monsieur* i ja jesteśmy do siebie podobni. Obaj w głębi duszy pozostajemy artystami i nam obu, chociaż w różny sposób, nasze ciała odmawiają posłuszeństwa. Mnie także trapi wewnętrzny głód, którego w żaden sposób nie można nasycić. Podobno to właśnie jest natchnienie...

Podniosłam wystraszony wzrok na malarza, który właśnie został obrażony tą przemową. Ale *monsieur* Dubois nadal spokojnie przeżuwał kęs mięsa, popijając bursztynową brandy z pękatego kieliszka.

– Przestraszyła się pani, że *monsieur* się obruszy? Nic z tych rzeczy! Na szczęście jest głuchy jak pień! – rzucił Dexter konfidencjonalnym tonem,

pochylając się ku mnie nad stołem, po czym odwrócił się do swojego sąsiada:

– *N'est-ce pas, mon cher monsieur?*^[1]

Staruszek i tym razem nie zareagował.

– Dexter, zachowuj się! – syknęła hrabina Verinder, piorunując swojego garbatego syna lodowatym spojrzeniem.

Młody mężczyzna jak gdyby się zreflektował.

– Wybacz, matko. Naprawdę szanuję drogiego pana Dubois. Mimo swojej słabości do brandy, która, jak wiesz, również mnie z nim łączy, przy sztaludze potrafi dokonywać cudów!

– Jedynym cudem na jego obrazie będzie Claire – odezwał się Derek, spoglądając z czułością na narzeczoną. Zdawał się całkowicie ignorować toczącą się właśnie wymianę zdań i traktować kalekiego brata ze ślepą wręcz pobłażliwością. Dexter również spojrzał na Claire, a jego oczy w jednej chwili nabrały przejmująco smutnego wyrazu. Kpiący ton jego głosu złagodniał, kiedy wzniosł kieliszek do toastu:

– Oczywiście, drogi braciszku, oczywiście! Za mojego umiłowanego brata i za jego piękną narzeczoną! Obyście znaleźli wieczne szczęście! Na zdrowie!

Po tym toaście wśród zebranych na chwilę zapadło milczenie. W głębokiej ciszy rozbrzmiewało wyłącznie dźwięczenie srebrnych sztućców o porcelanowe talerze, cichutkie bulgotanie karafek przechylanych przez kamerdynera, który na bieżąco uzupełniał napoje, oraz mlaskanie i siorbanie pana Dubois. Czasem naszych uszu dochodził jeszcze wysoki brzdęk kieliszka odstawianego przezeń na stół z coraz większym rozmachem.

– Skoro Derek już poruszył ten temat... – odezwała się cicho hrabina – ...to jaka jest twoja decyzja co do obrazu, Claire? Z tego, co wiem, portret jest prawie gotowy. Czy zamierzasz przerwać pozowanie?

Miałam wrażenie, że kiedy to pytanie zawisło w powietrzu, atmosfera w jadalni na moment stężała, jak gdyby chodziło o kwestię wielkiej wagi. Napięcie opadło, gdy Claire odparła:

– Nie. Jutro będę pozować jak zwykle.

Moment ciszy tym razem przerwała Alice.

– Pozowanie do portretu to mordęga. Ileż właściwie można tkwić bez ruchu? Nie dziwię się, Claire, że cię to nudzi – odezwała się współczująco dziewczyna.

– Co rzadko się zdarza, droga siostró, całkowicie się z tobą zgadzam. Przypuszczam jednak, że Claire, jak większość kobiet, wyznaje pogląd, że dla efektu warto cierpieć.

Alice wymierzyła w Dextera gniewne spojrzenie.

– A ty nie byłbyś gotów cierpieć dla efektu, bracie? Gdybyś dzięki temu mógł w końcu wyglądać tak, jak chcesz? – spytała go nagle z lodowatym błyskiem w oku. Dosłownie zmroziło mnie w środku, jej słowa wydały mi się wyjątkowo okrutne. – Poza tym skąd niby czerpiesz swoją niezawodną wiedzę o kobietach? Zresztą... porzućmy ten temat.

Dexter nie zamierzał pozostać jej dłużny.

– Sądzisz, siostrze, że twoimi złośliwościami uda ci się mnie wyprowadzić z równowagi przy naszym gościu? – Spojrzenie jego różnobarwnych oczu powędrowało ku mnie. – Nic z tego! Jestem dziś w doskonałym nastroju. Po raz pierwszy od dawna mam przed sobą przy kolacji prawdziwą damę. Nie licząc, oczywiście, słodkiej Claire. Ale ona jest od dawna poza moim zasięgiem.

– Jak każda rozsądna kobieta!

– Przestańcie! – zażądał zdecydowanym głosem Derek. – Przestańcie dogryzać sobie niczym para rozkapruszonych dzieci!

– Raczej para wściekłych psów – syknęła hrabina.

– Przepraszam – rzekła Alice, lecz ogniki niepohamowanego gniewu nadal rozpały jej czarne oczy. Nachyliła się ku hrabiemu nad stołem, a głęboki dekolt sukni jeszcze mocniej odstłonił jej smukłą szyję i zarys niedużych piersi. – Przepraszam, Dereku, ale to Dexter od początku zachowywał się karygodnie, obrażając przy tym stół naszych gości. Ktoś w końcu musiał utrzymać mu nosa. Szkoda tylko, że jak zwykle nie byłeś to ty! – oznajmiła z wyrzutem. – Jako dziedzic tytułu i główny gospodarz powinienieś...

– Dość! – ucięła stara hrabina Verinder, przerywając córcę w pół zdania. Przesunęła władcym spojrzeniem po twarzach zebranych. – Proszę, jedźmy. Powinniśmy zmienić temat.

– Jak sobie życzysz, matko. *Noblesse oblige!*^[2] – mruknął Dexter i wychylił kolejny kieliszek brandy. Zmrużyłam oczy. Miałam przecucie, że za tym francuskim powiedzonkiem kryje się doskonale zakamuflowany sarkazm wymierzony w hrabinę. Chyba jednak, na szczęście, nikt poza mną nie dostrzegł dwuznaczności dwóch krótkich francuskich słów.

* * *

Muszę wyznać, że kiedy kolacja dobiegła końca, mimowolnie odetchnęłam z ulgą. Gęsta atmosfera panująca przy stole w połączeniu ze zmęczeniem podróżą oraz wszystkimi wydarzeniami długiego dnia kompletnie mnie wycieńczyła. Pomyślałam, że jeśli w rodzinie Verinderów na co dzień da się

odczuć te same napięcia, które objawiły się tego wieczora, to już nie dziwię się Claire, że stała się tak nerwowa.

Po posiłku ogromna jadalnia szybko opustoszała. Kiedy wychodziłam, obejrzałam się na przyjaciółkę. Claire i Derek stali naprzeciw siebie przed płonącym kominkiem, trzymając się za ręce. Odblask płomieni rozpalał miedziane włosy dziewczyny, zmieniając je w płomienistą aureolę. Hrabia nie mógł oderwać wzroku od narzeczonej – jego spojrzenie wyrażało nieskończone pokłady czułości. Wprawdzie liczyłam na jeszcze chwilę towarzystwa Claire, lecz na ten widok od razu dałam za wygraną.

Na mnie także ktoś tak kiedyś patrzył... Może właśnie dlatego obecnie pragnęłam dla Claire jej wymarzonego szczęścia niemal równie mocno, jak niegdyś chciałam własnego? I pomyślałam, że jeśli dla osiągnięcia tego celu trzeba będzie przeciwstawić się komukolwiek z Verinderów, to jestem gotowa pomóc Claire w tej walce.

Cichutko wymknęłam się z jadalni, pozostawiając przyszłą młodą parę w czułym uścisku. Ogromne, staromodne łoże okolone ślimacznicami kolumienek wzbudzało we mnie coraz większą tęsknotę i nadzieję na upragniony odpoczynek. Niestety po kilku minutach samotnej wędrówki zamkowymi korytarzami rozświetlonymi przez nieliczne kandelabry zdałam sobie sprawę, że ani schody, ani w ogóle droga, którą wybrałam, nie doprowadzą mnie do mojego pokoju. Cofnęłam się, żeby skręcić za załomem ściany ozdobionej pysznym gobelinem. Zdawało mi się, że już go widziałam... Przystanęłam, bacznie rozglądając się wokoło. Jak na złość nikogo ze służby nie było w zasięgu wzroku. Z każdą upływającą minutą kolejne korytarze coraz bardziej się do siebie upodabniały. Błądziłam ich labiryntem, jak gdybym wkroczyła w przedziwny świat żyjącego własnym życiem domostwa.

Nagle zdało mi się, że słyszę czyjeś kroki.

– Jest tu kto? – zapytałam. Bez odpowiedzi. Moje ciało owionął lekki przeciąg. Przystąpiłam próg otwartych na oścież dwuskrzydłowych drzwi. W podłużnym pomieszczeniu o sklepionym stropie płonęło kilka srebrnych kandelabrow. Rozejrzałam się i moje serce uderzyło nieco szybciej.

Wzdłuż dwóch dłuższych ścian wyłożonych boazerią ze szlachetnych gatunków drewna ciągnęły się rzędy portretów w grubych złotonych ramach. W jednym rzędzie na obrazach zastygli w wiecznym bezruchu mężczyźni o zdecydowanych rysach i o poważnych spojrzeniach. Prezentowali oni przegląd bogatych strojów odpowiadających bez wątpienia modzie panującej w czasach, kiedy wykonano kolejne malowidła. Nawet bez zerkania na tabliczki umieszczone pod portretami zrozumiałam, że mam przed

sobą poczet kolejnych męskich potomków rodu Verinderów, którzy dziedziczyli po sobie arystokratyczne tytuły i wytworne, starodawne nazwisko. Brakowało tylko portretu hrabiego Dereka Verindera. Wydało mi się to odrobinę dziwne. Matce Dereka tak bardzo zależało na uwiecznieniu wizerunku Claire... tymczasem w galerii brakowało podobizny jej ukochanego syna. Niemożliwe! Portret młodego hrabiego musiał być umieszczony w innej części domu – w każdym razie nabrałam takiego przekonania.

Przeciwległa ściana galerii portretów wzbudziła we mnie jeszcze większe zainteresowanie. Tutaj z obrazów, jak gdyby wprost z przeszłości, spoglądały na mnie w zamyśleniu wytworne, zadumane damy noszące tytuł *lady Verinder*. Najstarszy obraz pochodził z samego początku epoki elżbietańskiej – twarz przedstawionej na nim kobiety była otoczona, niczym płatki śnieżnobiałego astra, koronkową kryzą, która szczelnie spowijała jej szyję. Za to kolejna dama odważyła się już odstąpić przed portrecistą dekolt... zapewne dlatego, iż ozdobił go, oddany na obrazie z pietyzmem, wspaniały naszyjnik z pięcioma ogromnymi szmaragdami.

Razem z naszyjnikiem, który od tej pory widniał na każdym kolejnym portrecie nowej *lady Verinder*, pojawiła się również zielona suknia. Czy to możliwe, że wszędzie był to ten sam niezwykły strój, przechowywany w rodzinie przez pokolenia? Nieco w to wątpiałam. Suknia mogła wprawdzie podlegać licznym modowym przeróbkom, podobnie jak architektoniczna szata tego zamku... Słyszałam kiedyś, że tkaniny używane przez arystokrację w dawnych wiekach cechowała niezwykle wysoka jakość. Niemniej łatwiej było założyć, że zielona suknia co jakiś czas była po prostu wymieniana.

– Podziwia pani naszyjnik, Madeline? – odezwał się nagle znajomy głos, któremu zawtórowało stuknięcie laski.

Drgnąłam i odwróciłam się raptownie w kierunku otwartych drzwi. Byłam tak zapatrzona we wspaniałe obrazy, że nie zauważyłam, kiedy do sali wszedł skryty w półcieniu Dexter Verinder.

Przełknęłam ślinę. Jego obecność dziwnie mnie krępowała. Nie chodziło jednak o jego zdeformowaną sylwetkę, która wprawdzie budziła moje współczucie, ale mnie nie odstraszała. To raczej coś w jego sposobie bycia irytowało mnie i fascynowało zarazem. Może sekret dziwacznej osobowości Dextera krył się za tym, że przez lata młody mężczyzna musiał nauczyć się żyć ze swoim zniekształconym ciałem. Przy kolacji wszedł w rolę uzalającego się nad sobą cynika, ale fakt, że na stacji kolejowej udawał prostego woźnicę, według mnie świadczył o jego dużej dozie zdrowego dystansu do samego siebie.

Jak gdyby w jego kalekim ciele współegzystowały co najmniej dwie różne osobowości...

Zdałam sobie sprawę, że moje milczenie trwa zbyt długo. Tymczasem Dexter Verinder uparcie wpatrywał się w moją twarz. Tym razem udało mi się wytrzymać jego spojrzenie.

– Nie chodzi o naszyjnik... – rzekłam cicho. – Zafascynowały mnie portrety pańskich przodków. Zabłądziłam w drodze do sypialni, ale i tak cieszę się, że tu trafiłam.

– Ja również się cieszę. – Różnobarwne oczy błysnęły. Dexter zakołysał w dłoni kieliszkiem brandy. – Dzięki temu możemy porozmawiać. Mam nadzieję, że nie żywi pani do mnie urazy za moją niewinną zmianę tożsamości.

– Zmiana tożsamości to adekwatne określenie – odparłam. – Dlaczego właściwie udawał pan woźnicę? To miał być żart? Jeżeli tak, to dla mnie nie był on śmieszny. Naprawdę nie wiedziałam, jak mam się zachować w jadalni, kiedy się pan przedstawił...

Usta mężczyzny wygiął grymas rozbawienia, który jeszcze bardziej mnie rozgniewał.

– A mimo to dotrzymała pani naszej małej wspólnej tajemnicy... Claire dobrze wybrała sobie przyjaciółkę. Zdaje się, że umie pani dochować sekretu, a to u młodej kobiety rzadka cecha.

Milczałam.

– Przykro mi, jeśli w jadalni wprowadzę panią w zażenowanie. Ale bądźmy szczerzy. Wbrew temu, co pani zapewne o mnie sądzi, jak każdy kaleka nie znoszę hipokryzji. Proszę odpowiedzieć sobie na pytanie: czy gdybym pojawił się na stacji kolejowej jako garbaty i pokraczny brat hrabiego Verindera we własnej osobie, nie byłaby pani zażenowana równie mocno? To, co nie dziwi damy u prostego woźnicy, nie uchodzi młodemu arystokracie...

– Przynajmniej znałabym prawdę – odparłam cicho.

– Prawda rzadko bywa tym, czego pragniemy, Madeline – zauważył mężczyzna filozoficznie. – Zamiast surowej rzeczywistości wolimy oglądać jej kopię... Taką jak te obrazy. – Skinął głową w kierunku rzędu portretów.

– Mam wrażenie, że rzuciły na mnie urok – wyznałam.

Dexter wziął spory łyk brandy. Wzrok miał nadal utkwiony w malowidłach.

– Lubię przychodzić tutaj nocami i oglądać tych ludzi, którzy już odeszli. Czasami wydają mi się bliżsi niż własna rodzina. Ale po dzisiejszej kolacji to już pani pewnie nie dziwi.

Przysunął się do mnie o krok.

– Kiedy byłem dzieckiem, matka zabraniała mi pokazywać się obcom – powiedział cicho. – Żeby móc wymknąć się z zamku i odkrywać okolicę, nauczyłem się maskować swój podły wygląd, pożyczając ubrania służących.

Jego wyznanie niezwykle mną wstrząsnęło. Moja złość na niego, która stopniowo malała, wyparowała całkowicie.

– Może nie powinnam o to pytać, ale... czy pana plecy oglądali lekarze? Czy nie można nic zrobić, żeby... – przełknęłam ślinę, próbując ukryć spalające mnie zakłopotanie.

– Raczej nie – przerwał krótko i wzruszył zniekształconymi ramionami. Garb poruszył się jak przyczajona na nich marionetka wędrownego brzuchomówcy. – Mój wygląd to kwestia dziedziczna. Każdy fizjonomista to pani powie. Winni mojego wyglądu spoglądają na panią z tych portretów. Oto szlachetne grono, które zgotowało mi mój los!

Lekko się wzdrgnęłam. Czyżby brandy zaczynało uderzać mu do głowy?

– Nie rozumiem.

– Doprawdy? – Na moment zawiesił głos. – Proszę przypatrzeć się podobiznom mych przodków. Czyż nie dostrzega pani pewnych podobieństw, pewnych powtarzających się cech w ich wyglądzie, które objawiały się w każdym pokoleniu?

– Oczywiście, że widzę te podobieństwa. Ale przecież to naturalne, w końcu ci ludzie byli rodziną...

– Otóż to, Madeline! Otóż to! – rzekł Dexter z naciskiem. Jego wzrok z jakąś ukrytą pasją omiatał rzędy obrazów. – Widzi pani... Wśród starej i niezwykle zamożnej arystokracji istniał zwyczaj, do dzisiaj praktykowany, że małżeństwa zawierano w obrębie najbliższego kuzynostwa. Takie związki stanowiły rodzaj umowy handlowej. Miały zapobiegać rozdrobnieniu ogromnych majątków. Nikt nie dbał o to, że ocierały się o kazirodztwo. A utrwalone kazirodztwo osłabia potomstwo. Gdyby interesowała się pani hodowlą koni albo chartów, musiałaby pani to wiedzieć.

Na moją duszę opadła dziwna groza. Spojrzenie różnobarwnych oczu, które rzucił ku obrazom Dexter Verinder, naprawdę mną wstrząsnęło. Kryła się w nim szalona nienawiść.

– Ostatecznym owocem tych wszystkich kazirodczych związków... jestem ja!

– Proszę tak nie mówić – zaprotestowałam drżącym głosem. – To wszystko... To niestosowne. Trochę mnie pan przeraża.

Dexter zaśmiał się nieco chrapliwie, błyskając wilczymi zębami.

– Jak wszystkich, droga Madeline. Jak wszystkich! W tym względzie nie

jest pani wyjątkiem.

W jego ruchy wkradło się nagłe ożywienie. Moje słowa w jakiś sposób go wzburzyły. Raptownie podszedł do drzwi i szarpnął za sznur dzwonka, którego wcześniej nie zauważyłam.

– Zatem pani audiencja u moich przodków skończona! Służący odprowadzi panią do pokoju – oznajmił z naciskiem. – Proszę pozwolić mi dokończyć tutaj butelkę brandy. Przepraszam, jeżeli byłem niegrzeczny. – Łypnął jednym okiem i odwrócił się do mnie plecami, żeby sięgnąć do szuflady stolika, w której krył się zapas alkoholu. – Z pani pomocą jutro się poprawię.

– Do widzenia – odparłam chłodno i ruszyłam do drzwi, za które w ten właśnie pozbawiony grzeczności sposób niespodziewanie mnie wyprosił.

Na szczęście w tej chwili zjawił się lokaj z kandelabrem. Ruszyłam za nim, marząc tylko o tym, żeby zapaść w spokojny sen.

5. PIĘKNA JAK WIOSNA

Nazajutrz młoda jasnowłosa pokojówka przekazała mi tajemniczy liścik. Była to wiadomość od Claire:

Przyjdź do mojego pokoju w samo południe. Uważaj, żeby nikt Cię nie widział. Claire

Spojrzałam na niebieskooką dziewczynę w śnieżnobiałym fartuchu, w czarnej bluzce zapinanej wysoko pod szyję i w czepku obszytym koronkową falbanką. Od momentu, kiedy weszła do pokoju, czułam na sobie jej zaciekawione spojrzenie. Kiedy uniosłam na nią wzrok znad liściku, zarumieniła się i spuściła powieki. Pomyślałam, że dziewczyna jest jeszcze bardzo młoda i dlatego trudno jej poskromić swoją ciekawość. Może dzięki temu wie o domownikach więcej niż ja?

– Jak ci na imię?

– Laura, proszę pani. – Pokojówka leciutko dygnęła.

– Czy długo tutaj pracujesz?

– Wkrótce będzie dwa miesiące, proszę pani.

– To mniej więcej tyle, ile mieszka tutaj panna Evans, prawda?

Laura skinęła głową.

– Zgłosiłam się do pracy niedługo po jej przyjeździe do dworu, proszę pani – odparła, teraz wbijając wzrok w podłogę. Nie chciałam jej peszyć.

– Jest ci tu dobrze? – spytałam, starając się uprzejmym tonem dodać jej odwagi.

– Tak jest, proszę pani.

– A pannie Evans? Czy twoim zdaniem narzeczona hrabiego jest tu szczęśliwa?

Laura spojrzała mi prosto w oczy.

– A któż by nie był na jej miejscu, proszę pani? – zapytała, przekonana,

że obie doskonale znamy odpowiedź, po czym dygnęła głęboko. – Proszę o wybaczenie, ale muszę wracać do swoich obowiązków. Czy czegoś jeszcze pani sobie życzy?

– Proszę, powiedz pannie Evans, że może na mnie liczyć.

– Tak jest, proszę pani. – Laura dygnęła ponownie i cicho zniknęła za drzwiami.

Spojrzałam na kieszonkowy zegarek na łańcuszku. Do południa brakowało zaledwie dwóch kwadransów. Po wczorajszej kolacji, spożytej w niezwykle ciężkiej atmosferze, podano późne śniadanie, które przebiegło zaskakująco spokojnie. Być może przyczyna tkwiła w nieobecności Dextera. Nikt nie skomentował, że tym razem brakuje go przy stole, ani też nikt na niego nie czekał. Hrabina Verinder z uśmiechem zarządziła: „Jedźmy!” i wszyscy jej posłuchali. Podejrzewałam, że Dexter cierpiał dziś po wypiciu nadmiaru brandy, zaś jego matka musiała doskonale znać niechlubne zwyczaje młodszego syna.

A może byłam dla niego niesprawiedliwa? Może Dexter po prostu odsypiał bezsenną noc spędzoną w galerii portretów swoich przodków? W końcu to tam rozstałam się z nim poprzedniego wieczora. Cemu nie opuszczało mnie poczucie, że nie powinnam była pozostawiać Dextera na pastwę ponurych rozmyślań?

Spojrzałam w wielkie lustro toaletki, odrobinę zła na samą siebie. Cóż to za niedorzeczne rozważania przychodzą mi właśnie do głowy? Dexter obraził mnie i wprost wyprosił z galerii portretów. Postąpiłam w jedyny możliwy w tej sytuacji sposób.

Wskazówki zegara przesuwwały się nieubłaganie. Zdążyłam jeszcze umyć zęby aromatyzowaną pastą ze sproszkowanej kredy i delikatnie poprawić fryzurę. Uchyliłam drzwi i stwierdziwszy, że korytarz jest pusty, cicho wyśliznęłam się na zewnątrz.

Miękki chodnik wyścielający posadzkę skutecznie tłumził stukot moich obcasów. Nagle usłyszałam za sobą ciche skrzypnięcie. Nim zdążyłam się obrócić, czyjaś dłoń pociągnęła mnie zdecydowanie do wnętrza ogromnego pokoju.

Claire puściła mnie i obróciła się w miejscu z perlistym śmiechem, jakiego tak dawno u niej nie słyszałam. Na jej szyi migotały przykuwające wzrok ciemne szmaragdy wplecione w przepiękny staromodny naszyjnik. Zielona suknia w jadowitym odcieniu paryskiej zieleni rozkloszowała się nad jej drobnymi stopami z delikatnym szelestem. Miedziane włosy Claire połyskiwały w wiosennym słońcu, którego rozproszony blask wypełniał pomieszczenie niczym złocista mgiełka.

– Wyglądasz wprost bajecznie! – zawołałam. – Nawet nie jak przyszła hrabina, lecz jak najprawdziwsza księżniczka!

– A więc mogę tak pozować do portretu? – spytała Claire z figlarną przekorą.

– Oczywiście!

Chwycałam ją za wyciągnięte ręce i zawirowaliśmy wkoło, jak w tańcu, niczym dwie małe dziewczynki. Nad naszymi głowami zakreślił się cudnie malowany, barokowy plafon.

Twarz Claire, o drobnym nosku i lekko zarysowanych kościach policzkowych, jaśniała dziś radością. Wczorajszą bladość przykrył świeżo nałożony delikatny makijaż. Tylko w jej szarzielonych oczach igrały resztki niedawnych cieni, niczym kamyki rzucone na dno przejrzystego stawu.

– Bo lżej mi dziś na duszy, Madeline! – zawołała Claire. – Nie uwierzysz, ale po śniadaniu pogodziłam się z Alice! Przyszła tu, żeby przeprosić mnie za swoje zachowanie. Powiedziała, że ostatnio nie była sobą. Trapiły ją jakieś troski, które jednak, zgodnie z jej najlepszą wiedzą, już niebawem staną się przeszłością. Na zgodę sama robiła mi nawet ten makijaż! Oznajmiła, że chce, żebym na portrecie wyglądała naprawdę pięknie. – Claire wesoło wyrzucała z siebie słowa. Miałam wrażenie, że wybuch radości przyprawił ją o niezwykłą u niej ekscytację. – Widzisz, chyba wcale nie jest zazdrosna z powodu tego naszyjnika. – Przyjaciółka przystanęła i zbliżyła się o krok, żeby pokazać mi wspaniałe szmaragdy.

– Są przepiękne – powiedziałam, dotykając opuszkami palców idealnie gładkich, chłodnych klejnotów o charakterystycznym, fasetowym szlifie. Claire spojrzała mi prosto w oczy z rozpromienioną twarzą.

– Ach, Madeline, to wszystko zasługa twojego przyjazdu! Po prostu przyniosłaś mi szczęście!

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha i dygnęłam głęboko:

– Skoro tak, to polecam się na przyszłość!

Bez względu na to, jakie przyczyny spowodowały przyływ przyjaźni Alice względem Claire, cieszyłam się jej szczęściem. Może zbyt pochopnie i niesprawiedliwie oceniłam postępowanie panny Verinder? Postanowiłam, że jeśli tylko nadarzy się okazja, postaram się to naprawić... Z drugiej strony, moje doświadczenie zdobyte na londyńskich salonach podpowiadało mi cichym głosikiem intuicji, że wraz z moim przyjazdem atrakcyjność Claire jako przyjaciółki mogła dla Alice znacząco wzrosnąć. W końcu teraz miała w przystępie do jej serca konkurencję, którą stanowiłam ja... a coś mi mówiło, że panna Verinder bardzo lubi wszelkie współzawodnictwo. Obecnie mogła konkurować ze mną o czas i o względy prostodusznej Claire, która

na pewno by tego nie dostrzegła.

Madeline, jesteś okropna! – zganiłam się w myślach. *Dlaczego znowu przedwcześnie oceniasz zachowanie Alice? Powinnaś się wstydzić!*

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Schowaj się, Madeline! – rzuciła ściszym głosem Claire. – Jeżeli to hrabina, nie daruję mi, że pokazałam ci się w tym stroju, nim portret został ukończony!

Ale to była tylko pokojówka, która wcześniej przyniosła mi liścik.

Claire odetchnęła z ulgą.

– Lauro, znalazłaś je? – spytała wyczekująco. Służąca dygnęła głęboko i potrząsnęła głową.

– Bardzo mi przykro, proszę pani. Nigdzie nie mogę znaleźć pani kropeł. Sprawdzałam naprawdę wszędzie.

– Jakich kropeł? – spytałam. Może było to z mojej strony mało taktowne, jednak wciąż nie opuszczało mnie wrażenie, że Claire coś dolega. Czyżby zażywała jakieś lekarstwo?

Zamiast odpowiedzi znowu rozległo się pukanie.

Tym razem Claire była pewna, że to *lady Verinder*. Natychmiast przyłożyła palec do ust, żeby nakazać mi milczenie, a potem bezceremonialnie wepchnęła mnie za grubą okienną zasłonę. W samą porę, żebym umknęła przed czujnym spojrzeniem jej przyszłej teściowej. Laura otworzyła drzwi i moich uszu dobiegł szelest długiej sukni starej damy.

Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili poczułam się nawet rozbawiona sytuacją, w jakiej niespodziewanie się znalazłam... jednak za moment całkiem przestało mi być do śmiechu. Zastygłam w bezruchu, a gruba zasłona delikatnie łaskotała mój policzek. Walczyłam z gwałtowną potrzebą, żeby kichnąć. Zacisnęłam powieki i wstrzymałam oddech. Co właściwie pomyślałaby sobie hrabina, gdyby odkryła teraz moją obecność? Z pewnością poczułaby się obrażona.

– Kochana Claire... – Usłyszałam jej niski głos. – Wczoraj znalazłam w bibliotece twoje krople do oczu. Wybacz, proszę, że nie przyniosłam ich wcześniej. Pomyślałam, że teraz będziesz ich potrzebować.

– Dziękuję! Nie mam pojęcia, jak one się tam zawieruszyły...

– Jesteś roztargniona, bo myślisz o nadchodzącym ślubie. U przyszłej panny młodej to całkiem naturalne. Nie przejmuj się. Najważniejsze, że odzyskałaś zgubę.

– Ma pani rację. Jeszcze raz bardzo dziękuję. To wyciąg z belladonny, który mi pani poleciła – wyjaśniła Claire.

– Belladonna dodaje oczom blasku – potwierdziła stara hrabina z aprobatą.

– Ja również ją stosowałam, kiedy byłam w twoim wieku. Chociaż za czasów mojej młodości zamiast nazwy „belladonna” używało się raczej określenia „wilcza jagoda”. Dzięki tym kroplom twoje spojrzenie na obrazie będzie przykuwać uwagę patrzącego. Pozwolisz, że pomogę ci zapuścić je do oczu? – Głos *lady* Verinder tchnął powagą, ale i serdecznością. Claire nie potrafiłaby jej odmówić.

– Oczywiście.

Usłyszałam ciche szurnięcia tapicerowanych taboretów, kiedy obie panie usiadły przed lustrem trójdzielnej toaletki. Potem na chwilę zapadła cisza.

– Gotowe – oznajmiła hrabina. – Och, co za niezdara ze mnie! Zakropiłam za dużo płynu. Moja droga, niechcący rozmazałam ci makijaż. Pozwól, że go poprawię. Zawsze noszę ze sobą świetny puder.

Moje serce uderzało coraz szybciej. Miałam wrażenie, że upiększanie i tak już perfekcyjnego wyglądu Claire przeciąga się w nieskończoność. Zaczynałam się niecierpliwić. Za ciężką okienną zasłoną robiło mi się gorąco i duszno. Wreszcie znowu odezwała się hrabina:

– Spójrz tylko. Jesteś piękna, Claire. Zawsze wiedziałam, że Derek odziedziczył po mnie doskonały gust. Ty jesteś na to dowodem.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Nie masz za co. Wystarczy, że uczynisz mojego syna szczęśliwym. A teraz chodźmy, odprowadzę cię do pracowni. *Monsieur* Dubois już czeka, a ja nie chcę, żeby ze szmaragdami na szyi oglądał cię przed ślubem ktokolwiek prócz malarza. Możliwe, że to będzie ostatnia sesja. Uwierzysz? Portret jest prawie skończony.

Po tym, jak drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem za obiema paniami, jeszcze przez moment nasłuchiwałam. Dopiero kiedy kroki na korytarzu całkiem ucichły, ośmieliłam się opuścić mą kryjówkę. Po wyjściu na korytarz ogarnęło mnie niemal dziecięce rozbawienie z powodu niewinnego figla, jakiego udało nam się z Claire spłatać jej przyszłej teściowej. Przypomniały mi się dawne czasy, kiedy obie byłyśmy małymi dziewczynkami.

– Widzę, że ma pani dobry nastrój, panno Madeline. – Usłyszałam pełen werwy głos wchodzącej właśnie po schodach Alice Verinder.

Lekko dygnęłam.

– To prawda. Taki piękny mamy dzień. Myślałam o tym, żeby przespacerować się po ogrodzie. Nie jestem w stanie oprzeć się wiośnie!

Panna Verinder obdarzyła mnie czarującym uśmiechem.

– Właściwie mam lepszy pomysł. Szukałam pani, Madeline. Claire spędzi na pozowaniu do portretu co najmniej godzinę. Co pani na to, żebyśmy w tym czasie wybrały się we dwie na konną przejażdżkę?

Spojrzałam za okno, przez które do wnętrza zaglądało czyste niebo. Leciutki wietrzyk trącał najcieńsze gałązki drzew z błyszczącymi w słońcu młodziutkimi liśćmi.

– Brzmi wspaniale!

Przeczuwałam, że Alice Verinder jest obdarzona silnym duchem współzawodnictwa – i wcale się nie myliłam. Nasza przejażdżka rozpoczęła się od niespiesznego kłusa, ale kiedy tylko zbliżyliśmy się do granicy wyznaczonej przez drążącą wawóz rzeczukę, moja towarzyszka wbiła pięty w końskie boki i pochyliła się nisko nad szyją karego ogiera.

– Ścigajmy się! – zawołała. – Do tamtego drzewa! Która z nas będzie przy nim pierwsza?!

Jej słowa porwał pęd konnej gonitwy. Już na wstępie wyprzedziła mnie o kilka długości. Zachęciłam moją klacz do galopu, żeby choć spróbować dogonić amazonkę. Przez parę minut miałam w uszach tylko świst wiatru i tętent odmierzających przestrzeń kopyt wierzchowca. Pęd powietrza rozwiewał mi włosy i leciutko kąsał policzki.

Ostatecznie prawie dopędziłam Alice, ale to ona wygrała. Udzieliła mi się czysta radość ruchu, którą dziewczyna bez wątpienia czerpała z konnej gonitwy.

– Cóż za wyścig! – zawołała z uznaniem. – Znakomicie jeździ pani konno!

– Nie aż tak jak pani! – odparłam szczerze. – Trzyma się pani w siodle jak mężczyzna!

Może mój komplement nie był do końca trafiony, ale obie się roześmiałyśmy.

– Kiedy wychowywało się z dwoma starszymi braćmi, jak ja, pewne rzeczy ma się we krwi – odparła panna Verinder. Pozwoliłyśmy koniom wędrować wzdłuż wijącego się malowniczo potoku. Dalej, między zielonymi plisami wzgórz, łączył się on z rzeką, która błyskała ku nam swoją błękitną wstęgą. Z zarośli zerwało się stadko spłoszonych dzwońców. Nieopodal po łące obsypanej świeżą trawą rozbiegły się brązowo-szare kuropatwy.

– Jest pani bardzo zżyta z braćmi? – spytałam, żeby podtrzymać rozmowę.

– Z Derekiem – owszem. Chociaż nie zawsze tak było. A jeśli chodzi o Dextera... Cóż, przy kolacji była pani świadkiem naszego spięcia. Nie potrafię się z nim porozumieć. Chyba zanadto się od siebie różnimy. Kiedy ja jako dziecko uganiałam się po okolicy, Dexter siedział zamknięty w domu. Do dziś ma do mnie jakiś żal. A pani ma rodzeństwo?

– Mój ojciec ma syna z drugiego małżeństwa – odparłam.

Alice skinęła głową.

– Dziewczynie nie jest łatwo wychowywać się z braćmi – westchnęła. –

Odkąd pamiętam, konkurowałam z nimi o uwagę rodziców. Z Derekiem o miłość naszej matki, a z Dexterem o zainteresowanie ojca. Czy pani też odniosła kiedyś wrażenie, że córka zdaje się być dla rodziny wyłącznie balastem? Mężczyźni dziedziczą tytuły i przekazują dalej nazwisko... Dla nas odkłada się pieniądze na posag.

Nie odpowiedziałam, a Alice kontynuowała swój monolog.

– Chyba dlatego zawsze bardzo pragnęłam mieć siostrę. Prawdziwą bratnią duszę. I pewnie dlatego ucieszyłam się, kiedy Claire się tu przeprowadziła.

– Claire wspominała mi, że od początku bardzo dobrze się dogadywałyście – zaryzykowałam to stwierdzenie, celowo używając czasu przeszłego, co nie uszło uwagi rezolutnej Alice.

– To prawda – westchnęła w zamyśleniu. – Później niestety się od niej oddaliłam. Z własnej winy. Nie wiem, czy mnie pani zrozumie... ale chyba mimowolnie zaczęłam porównywać ją z Veroniką. Byłam z nią bardzo zżyta. Kiedy ona i Derek zerwali zaręczyny, mocno to przeżyłam. Dla niej również to była prawdziwa tragedia.

– Veronika? – Lekko zmarszczyłam brwi. – Czy ma pani na myśli poprzednią narzeczoną hrabiego Dereka?

– Tak. – Panna Verinder skinęła głową, spoglądając przed siebie w zamyśleniu. – Mocno się przyjaźniłyśmy. Przez jakiś czas nie mogłam wybaczyć bratu, że pozwolił na to rozstanie. To znaczy, teoretycznie to ona zerwała. On nie był niczemu winien, może oprócz zbytnej słabości charakteru. Gdyby tylko bardziej ją wspierał... Gdyby wykazał się większą stanowczością wobec matki...

Cicho odchrząknęłam.

– Czy wolno mi spytać, dlaczego w takim razie Derek i Veronika się rozstali?

Ciemne oczy Alice lekko błysnęły. Skinęła głową i wzruszyła ramionami.

– Nie jest tajemnicą, że stała za tym nasza matka. Niestety prawie od początku nie akceptowała Veroniki, choć doprawdy nie miała powodów. Nieustannie uprzykrzała jej życie na tysiące subtelnych sposobów. W końcu Veronika spełniła jej życzenie i zerwała z moim bratem – westchnęła. – Derek straszliwie to przeżył. Wyglądał jak wrak człowieka. To rozstanie go zdruzgotało. Sądziłam, że już nie wybaczy matce. Ale oczywiście w końcu odpuścił jej winy. Jednakże od tamtej pory matka ma o wiele mniejszy wpływ na jego decyzje. Można by powiedzieć, że miłosne rozczarowanie sprawiło, że mój najstarszy brat wydorósł.

Popatrzyłam na Alice z uwagą. Może jej życie wcale nie było tak wspaniałe i beztrudne, jakim zdawało się na pierwszy rzut oka?

– Rozumiem, że kochała pani jak przyjaciółkę poprzednią narzeczoną brata. Ale jestem pewna, że teraz Derek kocha Claire i że ona może dać mu szczęście.

Panna Verinder skinęła głową.

– Ma pani rację. Niestety bywam trochę samolubna. Kiedy Derek poznał Claire, odżył. Ona... jest inna niż Veronika. I moja matka chyba naprawdę ją lubi.

– Dobrze to słyszeć. – Uśmiechnęłam się.

Alice odwzajemniła uśmiech, po czym zawołała, zbierając wodze:

– Widzi pani most? Ścigajmy się do niego!

Pognałam za nią, ciesząc się pędem powietrza, płynnymi ruchami konia i piękną pogodą. Przez jakiś czas moje umysł i serce były wolne od wszelkich trosk. Byłam obecna ciałem i duszą tu i teraz. Ani trochę nie przeczuwałam nadejścia dziwnych wydarzeń, które miały rozegrać się tego dnia.

6. TAJEMNICZA KLĄTWA

Podobnie jak podczas śniadania, w porze obiadu jedno miejsce przy stole pozostało puste. Tym razem nie brakowało jednak Dextera. Osobą, która się nie zjawiała, była Claire.

– Panna Evans przeprasza za nieobecność, ale niezbyt dobrze się czuje. Kazała powiedzieć, że zje u siebie – poinformowała pokojówka.

Hrabia Derek wyraźnie się zmartwił.

– Biedna Claire! Pozowanie do tego portretu ją wykańcza! Zapach farb i bezruch nic a nic jej nie służą. Czy to musi aż tyle trwać? – rzucił w przestrzeń z nutą bezsilności. *Monsieur* Dubois, który mógłby mu pewnie odpowiedzieć, w tej chwili nawet go nie słyszał. Siwobrody malarz, którego fryzura przedstawiała dziś mocno artystyczny nieład, z zapamiętaniem siorbał zupę i wzrok miał utkwiony we własnej łyżce.

Wszyscy taktownie powstrzymali się od komentarzy.

Dexter Verinder posłał mi uważne spojrzenie.

– Jak udała się konna wycieczka, panno Madeline?

– Dziękuję, bawiłam się wybornie – odparłam.

– Ani przez chwilę w to nie wątpił. – Garbaty mężczyzna zmrużył swoje różnobarwne oczy. – Jestem pewien, że moja siostra dopilnowała, żeby tak właśnie było. W końcu przyjechała pani zaledwie wczoraj i pani towarzystwo ma dla niej jeszcze niezrównany urok nowości. Mam nadzieję, że nie znudzi się panią tak szybko jak resztą domowników, których słabostki dobrze już poznała.

Alice wbiła w niego swoje ciemne oczy. Na jej gładkim czole pojawiła się delikatna zmarszczka.

– Co w ten sposób sugerujesz, bracie? Czyżbyś miał na myśli samego siebie? Jeżeli tak, to istotnie, nie mylisz się, twoje towarzystwo męczy mnie i nudzi poprzez twą nieustającą złośliwość – prychnęła niczym rozeźlona kotka. – Wierz mi, byłbyś o wiele bardziej interesującym kompanem, gdyby nie to zgorzknienie... jak u jakiegoś starca!

– Przestańcie – wtrąciła hrabina cichym, lecz zdecydowanym tonem. – Czy

przy tym stole nigdy nie może być spokojnie? Dokończycie tę bezsensowną dyskusję w innym miejscu! A teraz jedźmy! – zwróciła się do wszystkich wokół. – Jedźmy, zanim ostygnie.

W porze podwieczorku postanowiłam zajrzeć do Claire. Poprosiłam pokojówkę, żeby przygotowała herbatę, a potem ze srebrną tacą zjawiłam się pod drzwiami pokoju przyjaciółki.

– Claire? Jesteś tam? Śpisz? – spytałam, pukając delikatnie. Przysunęłam ucho do drzwi. Po chwili usłyszałam słaby głos:

– Madeline? To ty? Proszę, wejdź.

Nacisnęłam klamkę.

– Zamknij drzwi na klucz – poprosiła nagle Claire.

Uczyniłam, o co poprosiła.

– Przyniosłam herbatę. Jak się czujesz? Już ci lepiej? – spytałam, sięgając po filiżankę i spodek. Odwróciłam się i dosłownie zamarłam. Filiżanka niemal wysunęła mi się z rąk, na moją dłoń spłynęło kilka kropel gorącego płynu.

Twarz Claire przypominała półprzezroczyste oblicze ducha. O jej cielesności i krwi płynącej równo w jej żyłach świadczyły tylko zaczerwienienia wokół oczu i na policzkach, a także zaróżowiony koniuszek nosa, który dziewczyna wytarła chusteczką. Siedziała na łóżku, oparta o wysoki zagłówek i liczne brokatowe poduszki – mokre plamy na tych ostatnich świadczyły o tym, że Claire niedawno płakała.

Przypadłam do niej i mocno ją przytuliłam.

– Claire! Co ci jest? Skąd te łzy? – rzuciłam z przejęciem, podczas gdy przyjaciółka oparła głowę na moim ramieniu. Serce coraz mocniej łomotało mi w piersi. Mimowolnie zacisnęłam dłonie. – Claire, tutaj dzieje się coś złego! I nie mów mi, że jest inaczej! W tym wielkim domu robi się duszno od tajemnic. Kochana, musisz powiedzieć mi prawdę.

Przyjaciółka zaczęła cichutko łkać, cały czas wtulona w moje ramię.

Delikatnie pogładziłam ją po włosach...

Przerażenie ścięło mi krew w żyłach.

Między palcami mej dłoni zostało mnóstwo włosów – oplotły me palce niczym złocista pajęczyna. Claire nic nie poczuła, wciąż cicho łkając... lecz ja, ponad jej przechyloną głowę, z zapartym tchem wpatrywałam się we własną dłoń, na której lśniło kilka pasemek jej pięknych włosów. Przez chwilę nie mogłam pojąć, co się stało. A potem nagle przypomniałam sobie dziwne zachowanie Claire, kiedy Derek wczoraj pogładził ją po głowie. Cała zdrętwiała wówczas ze strachu – wreszcie pojęłam dlaczego.

Spojrzałam na srebrny medalion na mej szyi i w ułamku sekundy pojęłam,

czemu otrzymałam ów zagadkowy prezent z zamkniętym wewnątrz miedzianym puklem. Czy Claire przysłała mi go w liście, spiesząc się, nim jej włosy... doszczętnie wypadną?!

Strach o przyjaciółkę zacisnął mi się na gardle żelazną obręczą. Przez moment słyszałam tylko łomotanie własnego serca, któremu wtórowało pochlipywanie nieszczęsnej dziewczyny. Ona z wolna się uspokajała, tymczasem w mojej głowie kłębiły się straszne myśli.

Claire była poważnie chora. Czy hrabia Derek o tym wiedział? Mój Boże! Co musiała czuć biedna Claire na myśl, że tuż przed ślubem może stracić całe włosy... że do ołtarza może iść w peruce! Ona – taka młoda, taka piękna, taka dobra! Jak to się jej mogło przytrafić?!

Spróbowałam uspokoić oddech.

Nie panikuj, Madeline! Może wypadanie włosów to tylko efekt nadmiernego stresu? Claire musi obejrzeć doświadczonego lekarza... Może powinna wyjechać z Dworu pod Cisami? Tak, musisz ją stąd zabrać! Hrabia zrozumie i zgodzi się, żeby przełożyć ich ślub! – powtarzałam sobie w myślach.

Claire poruszyła się i głęboko odetchnęła.

– Claire... Twoje włosy... – Mój cichy głos nienaturalnie zaskrzypiał.

W ustach czułam metaliczny smak. Chciałam jakoś dać jej znać, że już wiem. Że nie jest z tą straszną tajemnicą całkiem sama. Że jak zawsze może na mnie liczyć. Przyznaję, że jak większość ludzi w obliczu niespodziewanego nieszczęścia – pragnęłam też usłyszeć jakieś wyjaśnienie. Jak gdyby przewrotne wyroki losu, głęboko wpisane w nasze życie, można było łatwiej znieść, gdyby wytłumaczyć ich przyczynę...

O dziwo, Claire ją znała – a przynajmniej tak się jej zdawało. Odetchnęła głęboko, wyprostowała plecy i spojrzała na mnie swoimi oczyma leśnego elfa.

– To klątwa, Madeline – rzekła cicho, lecz zdecydowanie. Poczułam, jak pod wpływem jakiejś wibracji w jej głosie moje ramiona pokrywają się gęsią skórą. – Włosy zaczęły mi wypadać, kiedy po raz pierwszy włożyłam naszyjnik ze szmaragdami! Teraz już wiem, że to вина klątwy! Dowiedziałam się o tym dzisiaj. Pod drzwiami pokoju znalazłam ten list. – Powolnym gestem wskazała na otwartą kopertę, która spoczywała na konsolowym stoliku przy łóżku. – Przeczytaj, Madeline!

Dłonią drżącą ze zdenerwowania wyjęłam z koperty złożoną kartkę. Ani koperta, ani list nie zostały opatrzone podpisem. Nie było też daty. Jedynie treść – skreślona drukowanymi literami, co bez wątplenia miało na celu ukrycie prawdziwego charakteru pisma autora...

Zostałaś przeklęta. Cięży na Tobie klątwa, której źródłem jest naszyjnik ze szmaragdami. Zadaj sobie pytanie, kto Ci go dał. Ten ktoś od początku źle Ci życzy.

Jeżeli chcesz zapobiec nieszczęściu i zdjęć rzucony na Ciebie czar – dziś o północy zakop szmaragdy pod starym dębem nad potokiem. Tylko w ten sposób klątwa zostanie złamana.

To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Tajemniczy przyjaciel

Przeczytałam ten list kilka razy. Ze zdenerwowania miałam wrażenie, że umyka mi sens poszczególnych słów. Dopiero po chwili ochłonęłam. W piersi poczułam narastającą, bezsilną wściekłość.

Jak ktoś mógł być wobec Claire równie okrutny?!

Zerwałam się na równe nogi.

– Claire! To obrzydliwy, złośliwy anonim! – zawołałam ściszym głosem, nie wypuszczając z rąk podłego listu. – Ktoś chce cię przestraszyć i mu się udaje! Trzeba pokazać to twemu narzeczonemu!

Na twarzy Claire odmalowało się czyste przerażenie. Dziewczyna przecząco pokręciła głową. Miałam wrażenie, że opuściły ją siły.

– Madeline! Jak? Jak mam mu o tym powiedzieć? Zastanów się! Mam przed ślubem oskarżyć jego matkę, że mnie przeklęła? Że kobieta, która pozornie okazuje mi sympatię i uznanie, tak naprawdę jest... czarownicą?!

Na dźwięk jej ostatniego słowa mimowolnie się wzdygnęłam.

– Claire. – Chwycałam ją za rękę. – Nie ma żadnej klątwy! Hrabina nie rzuciła na ciebie żadnych czarów! Ktoś próbuje cię przestraszyć, nie rozumiesz?

– Po co? – Claire powoli zamrugała, niczym zdumione dziecko. – Po co ktokolwiek miałby chcieć mnie straszyć?

– Nie wiem – odparłam. – Ale dowiemy się tego. Zresztą – zastanawiałam się z desperacją – na pewno chodzi mu o ten nieszczęsny naszyjnik. Ktoś chce go ukraść, czyż nie? Ty zakopiesz szmaragdy pod drzewem w ogrodzie, a złodziej je wykopie... i zniknie.

Claire skinęła głową i na ułamek chwili obudziła się we mnie nadzieja, że przyjmuje moje wyjaśnienie. To byłoby jednak zbyt proste.

– A klątwa? – spytała przesywającym szeptem. Jej głos odzwierciedlał nadwątloną siłę jej woli. – A moje wypadające włosy? Klątwa jest prawdziwa, Madeline! Ja w każdym razie czuję się przeklęta... Teraz

rozumiem wszystkie me lęki, momenty niewytłumaczalnej słabości. Teraz rozumiem, dlaczego moje włosy wypadają. I czemu hrabina była dla mnie taka miła. Przez cały czas wiedziała, że i tak się mnie pozbędzie! Że nie dopuści, żebym wyszła za jej syna. To dlatego dała mi ten naszyjnik. Dlatego nalegała na mój przyjazd... I dlatego wpadła na pomysł z portretem! Po to, żebym zakładała na szyję klejnoty, w których zamknęła moc swego przekleństwa!

– Claire... – Ręka z listem opadła mi wzdłuż ciała. Łagodnie pokręciłam głową. – Proszę, uspokój się. Hrabina Verinder nie jest żadną czarownicą!

Błada dziewczyna lekko przygryzła usta, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza. Podbródek jej dygotał.

– Czyżby?! Zastanów się, Madeline. Jak wytłumaczysz jej dziwne zachowanie?

– Dziwne zachowanie?

– Te wszystkie przesady, którym ona hołduje! To, że zabrania mi pokazywać się komukolwiek w zielonej sukni. To, że zabrania mi zakładać przy kimkolwiek poza malarzem naszyjnik ze szmaragdami! To nie jest normalne! Raz na spacerze drogę przebiegł nam czarny kot... Matka Dereka kazała nam zmienić trasę.

Poczułam, że ja również opadam z sił. Usiadłam na brzegu łóżka.

– Wiele osób wierzy w przesady, Claire...

– Ale to była jej własna kotka! Madeline, ja wierzę, że rzucono na mnie klątwę! Moja świętej pamięci babcia wierzyła w czary. – Przyjaciółka nie dawała za wygraną. – A co do hrabiny... Teraz, kiedy poznałaś już Dextera, czy nie sądzisz, że on jest bardzo tajemniczy? Ten człowiek od początku mnie przerażał! Powiedz szczerze: czy on nie wygląda jak ofiara przekleństwa swej matki?! Albo jak wyjęty z legend sługa więdźmy?! Przysięgam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam go pewnego wieczora, miałam wrażenie, że przypatruje mi się sam diabeł!

– Claire! Jak możesz być tak okrutna?!

W odpowiedzi dziewczyna znów padła mi w ramiona i zaczęła spazmatycznie szlochać. Po mojej twarzy również pociekły łzy.

– Wybacz mi, Madeline! – szepnęła Claire. – Wiem, że według ciebie plotę bzdury. Ale to wszystko, co się dzieje... To dla mnie zbyt wiele!

Mocno ją przytuliłam.

– Nie martw się. Razem na pewno coś wymyślimy. A na początek powiemy Derekowi o tym podłym anonimie.

Claire wysunęła się z moich objęć. Wbiła we mnie poważne, smutne oczy.

– Madeline, nie. Derek nie może się dowiedzieć o liście. Nie zniostabym,

gdybym musiała mu teraz powiedzieć, jakie podejrzenia żywię wobec jego matki. On jest do niej bardzo przywiązany. Jeżeli hrabina rzuciła na mnie tę klątwę...

– Claire – przerwałam łagodnie. – Czy Derek wie o twojej chorobie? – przeczuwałam, jaka jest odpowiedź, ale i tak musiałam o to spytać.

– Masz na myśli wypadające włosy... – Dziewczyna wzdrygnęła się i splotła ręce na piersi, kuląc ramiona. – Nie. Nic o tym nie wie. Madeline. Jakże miałabym mu o tym powiedzieć? Zbliża się nasz ślub, on żywi wobec mnie wielkie nadzieje... a ja... – Blade usta Claire wykrzywiły się w drgającą podkówkę.

– Nie możesz być z tym wszystkim sama! – Tym razem nie siliłam się na delikatność. Uznałam, że zamiast nieustannie ją pocieszać, dla odmiany powinnam nią lekko potrząsnąć. – Derek chce, żebyś została jego żoną. Przed ołtarzem będzie ślubował ci wierność w zdrowiu i w chorobie. I w chorobie, Claire! – powtórzyłam z emfazą. – Czy nie sądzisz, że powinien wspierać cię już teraz?

– Madeline... Tu chodzi o moje włosy. Nie rozumiesz? To jakby... jakbym traciła własną kobiecość! Czy ty sama, będąc na moim miejscu, powiedziałaabyś o czymś takim ukochanemu mężczyźnie?

Coś we mnie drgnęło.

Przez kilka niemożliwie długich sekund biłam się z myślami i próbowałam szczerze odpowiedzieć sobie na jej pytanie. Nie, nie miałam pewności, jak bym postąpiła.

Najrozsądniejsze decyzje zawodzą, kiedy dotyczą nas samych.

Ale ta sprawa tyczyła się Claire.

– Nie wiem. Ale zastanów się: czego życzyłby sobie Derek? Czy nie pragnąłby twojej bezwzględnej szczerości? Czy nie chciałby ci pomóc wtedy, gdy go potrzebujesz?

Poczułam, że tymi słowami trafiłam do serca Claire, ale nie zdołałam w pełni jej przekonać. Wówczas, pod wpływem impulsu, powodowana narastającym strachem o przyjaciółkę, postanowiłam posunąć się do ostateczności – to znaczy do małego szantażu...

– Claire... Zawrzyjmy układ – powiedziałam, zaciskając dłoń na złożonej na pół kartce papieru. – Nie wspomnę Derekowi o tym okropnym liście, pod warunkiem że ty powiesz mu o swej chorobie.

Claire znowu przygryzła usta. Wahala się.

– Zgoda.

Odetchnęłam z ulgą.

– Dziękuję, Claire! Zrozum, natychmiast musi zobaczyć cię lekarz...

– Zgadzą się, ale powiem mu o tym dopiero jutro. Dobrze?

– Dlaczego jutro? – spytałam.

Przyjaciółka popatrzyła mi w oczy.

– Być może jutro już nie będzie potrzeby, żebym w ogóle o tym wspominała. Może włosy przestaną mi wypadać. Kiedy klątwa zostanie złamana...

– ...złamana?

– Tak, Madeline. Dziś o północy zamierzam wyjść do ogrodu i zakopać szmaragdy tam, gdzie ich miejsce! – oznajmiła Claire z mocą. Jej głos dawno nie brzmiał tak zdecydowanie.

Zamrugałam.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Oczywiście. Jeżeli to ma mi pomóc wyzdrowieć... Na moim miejscu ty także chwyciłabyś się każdej szansy! Chcę wyzdrowieć i wyjść za mężczyznę, którego kocham.

Skinęłam głową. Nawet gdyby jej stan zdrowia był mniej poważny, przypuszczałam, że dla Claire szczęśliwe małżeństwo z Derekiem Verinderem mogło okazać się kwestią życia i śmierci. Zawsze była bardzo wrażliwa – obecnie zaś jej delikatna psychika została poddana ogromnej próbie.

– W takim razie możesz na mnie liczyć – zapewniłam ją z głębi serca. – Godzinę przed północą spotkamy się w twoim pokoju. Razem wymkniemy się do ogrodu i odnajdziemy to stare drzewo. Widziałyśmy je chyba podczas spaceru, czyż nie? Potężny dąb rosnący nad potokiem.

Claire skinęła głową i ścisnęła mnie za rękę.

– Dziękuję, Madeline!

– Nie opuszczę cię w potrzebie. Martwi mnie tylko jedna kwestia.

– Jaka?

– Jak zareaguje hrabina, kiedy odkryje brak naszyjnika? I co wtedy zamierzasz jej powiedzieć? Myślałaś o tym?

Potrząsnęłam głową.

– Nie wiem... Nie mam do tego głowy... W moich myślach panuje kompletny chaos. Będę martwiła się o hrabinę jutro, dobrze? W razie potrzeby jestem gotowa skłamać. Powiem cokolwiek, byle tylko... byle tylko ona dała mi spokój.

Skinęłam głową ze zrozumieniem.

– Odpocznij teraz – powiedziałam. – Musisz mieć siłę na naszą nocną wyprawę. Poprawię ci poduszki.

Długo jeszcze siedziałam przy łóżku Claire, trzymając ją za rękę. Była kompletnie wyczerpana i niebawem jej oddech zaczął się wyrównywać,

a uścisk jej drobnej dłoni zelżał. Zasnęła niczym zmorzone płaczem dziecko. Zostałam przy niej przez jakiś czas – nie śmiałam zbyt szybko opuszczać pokoju, jak gdyby najlżejszy ruch mógł zburzyć jej kruchy spokój. Moje myśli były coraz bardziej posępne – ale przecież istniała nadzieja, że nazajutrz sprawy będą wyglądać zupełnie inaczej. Nie wierzyłam, by istniała jakaś klątwa i by zakopanie szmaragdów pod drzewem mogło ją odczynić. Ale Claire obiecała, że po tej nocy powie o swojej chorobie narzeczonemu – a ja dzięki temu mogłam mieć pewność, że wówczas zajmą się nią najlepsi lekarze.

Trzymając się mocno tej myśli, na paluszkach wymknęłam się z pokoju, pozostawiając przyjaciółkę w objęciach snu. Jedyną istotą, na którą natknęłam się w spowitym cieniami korytarzu, była przecinająca mi drogę czarna kotka.

Jej niesamowite żółte oczy spojrzały prosto w moje. Zanim umknęła, zalśniły niczym dwa okruchy siarki.

7. KROK W CIEMNOŚĆ

Tuż przed zachodem słońca postanowiłam przespacerować się po ogrodzie. Chciałam prześledzić najkrótszą trasę z zamku aż pod prastary dąb, pod którym Claire i ja miałyśmy zakopać szmaragdy. Obawiałam się, że w nocy wszystko wokół zleje się w jedną masę ciemności i że mogłybyśmy zmylić drogę – jednak rosochatego drzewa nad rzeczulką nie sposób było pomylić z żadnym innym. Gruzłowate konary przypominały kształtem rozcapierzoną dłoń o powykręcanych artretyzmem palcach, wskazującą prosto w niebo. Pień porastały mchy niczym zielona patyna. Zapatrzyłam się w biegnącą poniżej wstęgę potoku, ku któremu, skrajem niskiej skarpy, spleziały potężne korzenie. Przez chwilę chłonełam otaczający mnie spokój. Niebo nad moją głową przybrało się w rozwiane obłoki niczym w pawie pióra. Zachodzące słońce różowiło ich postrzępione brzegi. Między ciemniejącymi gałęziami przemknęła sójka, unosząc na skrzydłach szmaragdowe błyski – poleciała w dal, gdzie zamkowy ogród płynnie przechodził w okoliczne wzgórza i rozmywał się w ich urzekającym krajobrazie – w krajobrazie, który w tej chwili zdawał się istnieć poza czasem...

Moja dłoń starła z kory drzewa pokrywę porostów. Zaskoczona spostrzegłam, że odsłoniła przy tym jakiś napis...

Oderwałam jeszcze kawałeczek miękkiego mchu. Okazało się, że odkryłam przypadkowo miejsce dawnych romantycznych spotkań!

W grubej korze czyjaś dłoń wyrzezała ostrym nożem dwie litery: D i V.

Derek i Veronika

A poniżej małe kształtne serce.

Cichutko westchnęłam. We Dworze pod Cisami pełno było pamiątek przeszłości – i najwyraźniej ogród nie stanowił tutaj wyjątku. On również krył swoje tajemnice...

Miałam nadzieję, że Claire nie zauważy wyrytych na pniu drzewa inicjałów. Nocą nie było na to szans, ale za dnia... chociaż dziewczyna знаła przeszłość hrabiego i przerwana historię jego poprzedniego narzeczeństwa, nie wątpiłam, że jednak by ją to zabolalo.

Odwrociłam się w kierunku Dworu pod Cisami, czując, że robi się zimno.

* * *

Claire nie zjawiła się na kolacji. Na wieść, że jej niedyspozycja się przedłużyła, hrabia Derek przeprosił wszystkich przy stole i wyszedł, żeby zajrzeć do narzeczonej.

– Ona jest taka delikatna! – odezwała się hrabina Verinder po tym, jak starszy z jej synów opuścił nasze towarzystwo. – Naprawdę nie przypuszczałam, że ma równie słabe zdrowie...

Od paru chwil przyglądałam się jej spod spuszczonej rzesy, choć ganiłam się za to w myślach. Czy to możliwe, że nedorzeczne podejrzenia o stosowanie czarów z taką łatwością zasiały w moim sercu ziarenko nieufności?

– W przeszłości Claire cieszyła się raczej dobrym zdrowiem – powiedziałam. – Znamy się i przyjaźnimy od dziecka. Nie przypominam sobie, by kiedyś poważnie chorowała.

Czarne jak węgiel oczy starej damy otoczone siecią cienkich zmarszczek popatrzyły na mnie z wyrozumiałością.

– Na każdego przychodzi pora, panno Madeline. Prawdopodobnie jest pani jeszcze zbyt młoda, żeby to zrozumieć... Kiedy będzie pani w moim wieku, zda sobie pani sprawę, jak zmienne i zawodne bywa zdrowie człowieka.

Niebawem powrócił hrabia Derek. Jego przystojne oblicze mącił cień – w malachitowych oczach kryły się niepokój i smutek.

– Nie pojmuję, co jej jest. Uważam, że trzeba posłać po lekarza.

– Teraz? O tej porze? – zdziwiła się Alice i wskazała za okno, przez które do wnętrza zajrzała trupio blada błyskawica. – Nadchodzi burza. Nie warto czekać do jutra?

Derek westchnął i potrząsnął głową, jakby chciał odgonić chmurne myśli.

– Madeline, Claire chciała, żeby przyszła pani na chwilę do jej pokoju. Ma się rozumieć, że po kolacji...

– Pójdę natychmiast – oznajmiłam cicho i lekko poderwałam się z wysokiego krzesła. Wszyscy wokół owalnego stołu wstali, nawet nieco zaskoczony poruszeniem *monsieur* Dubois. – Proszę, niechże sobie państwo nie przeszkadzają. Prawdę mówiąc, nie jestem bardzo głodna. Nie czekajcie na mnie państwo z posiłkiem.

Dygnęłam głęboko i opuściłam skąpaną w barokowych złoceniach jadalnię, by po chwili podążyć szerokimi schodami na piętro.

Było mi spieszno zobaczyć przyjaciółkę i upewnić się, że nasze ustalenia dotyczące dzisiejszej nocy są aktualne. Perspektywa potajemnej wyprawy do ogrodu, kiedy wszyscy w zamku będą spali, a w ciemnościach będzie ukrywał się złodziej, który czyhał na naszyjnik ze szmaragdami, napawała mnie coraz mniejszym entuzjazmem. Pogoda również nie zamierzała sprzyjać nocnym przechadzkom – za oknami kłębiły się czarne chmury, pomrukujące niczym stado wygłodniałych tygrysów, które szykują się do ataku. Niemniej zamierzałam dotrzymać słowa danego Claire.

Moja przyjaciółka wpełzała wśród poduszek w staromodnym łożu obwarowanym ślimacznicami kolumnienek, za spuszczonego, półprzezroczystym baldachimem. Zobaczyłam odbicie jej twarzy w wysokim tremo stojącym kawałek dalej – zogromniałymi, nienaturalnie błyszczącymi oczyma dziewczyna wpatrywała się w ostrołukowe okno, za którym czaiła się pomrukująca ciemność.

– Zaczyna brakować mi odwagi – powiedziała bezbarwnym głosem, nie poruszywszy się przy tym ani odrobinę.

– Co takiego?

– Chyba zaczyna brakować mi sił, Madeline. Za dnia byłam przekonana, że podołam... Jeszcze kilka godzin temu tak myślałam. Ale teraz na myśl, że o północy mam wyjść do ogrodu i błąkać się w mroku w tę ulewę... – urwała.

– Pójdziemy razem. Jakoś damy radę.

Dopiero teraz Clare odwróciła ku mnie twarz. Jej wzrok przeszedł przeze mnie na wylot, jak gdybym była przezroczysta. Miałam wrażenie, że upłynęła sekunda lub dwie, nim przyjaciółka mnie zauważyła. Przeszyło mnie ukłucie niepokoju – jak gdyby ktoś wbił mi w serce zimną igłę.

– Naszykowałam szmaragdy. Naszyjnik jest w kasetce pod materacem. – Claire spuściła dłoń na brzeg łóżka. Usiadłam obok niej.

– Jak się czujesz?

Nie odpowiedziała.

Jej spojrzenie błąkało się przez chwilę tu i tam, czepiając się wypełniających pokój sprzętów, tylko po to, żeby znowu utkwic w oknie.

– Czytałam niedawno ten poemat Tennysona, który kiedyś tak bardzo lubiłaś – szepnęła.

– Który? – spytałam łagodnie.

Usta Claire poruszyły się bezgłośnie. W ślad za tym popłynęły ciche, spóźnione słowa:

– *Na zamku dniami i nocami
Magiczną snuje tkan barwami;*

*Zna wieść, że klątwa nad nią wisi,
Gdy się ośmieli oczy sycić
Widokiem Camelot.
Lecz jaka klątwa? Kto ją rzucił?
Nie wie i wcale się nie smuci,
Tylko tka pilnie na swych krosnach
Pani z wyspy Shalott...^[3]*

Claire przerwała recytowanie – jej głos wyrażał tak wiele emocji i brzmiał tak pięknie, że postanowiłam kontynuować. Przełknęłam ślinę.

*– Przez cały czas ma tuż przed sobą
Zwierciadło z taflą kryształową.
Cienie w nim widać spoza rzeki,
Kędy gościniec niedaleki
Zmierza ku Camelot.
Na dole fala w wiry wpada,
Górkę parobków zaś gromada,
Dziewki w czerwonych chustkach goniąc,
Biegnie obok Shalott.*

Claire spojrzała na mnie zamglonym wzrokiem. Tym razem to ona podjęła recytację kolejnej zwrotki:

*– A ona tkań przestaje pleść,
Do okna kroków robi sześć;
Widzi u brzegu lilie białe,
Hełm z pióropuszem, konia w cwale,
Patrzy ku Camelot!
Tkań z okna wnet szybuje w dół,
Zwierciadło z trzaskiem pęka w pół,
Klątwa, ach, klątwa na mnie już!?
Woła pani z Shalott.*

Ostatnie dwa wersy wypowiedane przez Claire zmieniły się w druzgocący, piskliwy krzyk rozpacz i rezygnacji, który wyrwał się z jej piersi i rozdarł powietrze. Krzyk przeobraził się w szloch, a ten w porywisty, duszący kaszel, który targał drobnym ciałem szczupłej dziewczyny jak wiatr papierową marionetką.

– Claire! – zawołałam przerażona. Jej ciało wyprężyło się niczym okręt wyniesiony przemożną siłą na grzbiet sztormowej fali, po czym bezsilnie opadło na rozrzucone poduszki. Dotknęłam jej czoła – skóra dziewczyny była rozpalona i sucha niczym drewno na opał.

Wybiegłam na korytarz i zaczęłam krzyczeć.

– Pomocy! Pomocy! Trzeba wezwać lekarza!

Po chwili dopadł do mnie hrabia Derek, za nim po schodach szybkim, lecz pełnym dostojeństwa krokiem podążała hrabina Verinder w asyście dwóch pokojówek. Zwinnie wyminęła ją Alice. W porównaniu do swej pełnej gracji siostry Dexter gramolił się na górę niezgrabnie niczym olbrzymi krab o przykrytym wypukłą skorupą głowotułowiu, dźwigając ciężki garb jak masę porastających skorupę pąkli.

– Ma gorączkę! Claire jest poważnie chora! – wyrzuciłam z siebie do Dereka. Hrabia natychmiast pobiegł do narzeczonej.

– Pojadę po lekarza, panno Madeline – zapewnił mnie rzeczowym tonem Dexter. – Każę siodłać konia i wezmę służących z pochodniami. Jeśli się pospieszę, będę w Farnham przed stajennym, którego wysłał Derek. W taką pogodę przyda się więcej konnych i światło...

– Ty? Ty miałbyś tam jechać? – wtrąciła się Alice, a jej brwi z niedowierzaniem powędrowały w górę. – Daruj, bracie, ale jestem o niebo lepszym jeźdźcem od ciebie i mam podobny posłuch u służby! Ty zostań tutaj!

Z tymi słowami panna Verinder, bez czekania na pozwolenie hrabiny, pobiegła w dół szerokich schodów i pokrzykując na pokojówki i lokajów, w kilka chwil zniknęła za drzwiami przepastnego holu.

Ciężkie krople deszczu uderzyły o okienne szyby z niespotykaną zaciętością.

Od tamtego momentu czas jakby przestał płynąć. Zwolniły minuty i godziny, wskazówki zegara zastygły w oczekiwaniu. Tylko służba krążyła po schodach z wodą i z ręcznikami, wprowadzając w ciszę domu ruch i pośpiech, których wcale nie zauważałam. Zimnymi okładami na zmianę z pokojówką próbowałam zbić gorączkę Claire – jej ciało nie reagowało jednak na te zabiegi.

Miedzianowłosa dziewczyna leżała z półprzymkniętymi oczyma i rozchylonymi ustami, co jakiś czas lekko dygocząc – niczym tonąca Ofelia na obrazie Millaisa.

Czasami otwierała oczy – wówczas jej wzrok szukał wśród otaczających ją twarzy oblicza narzeczonego. Tylko jego zdawała się jeszcze dostrzegać. Na widok Dereka spływał na nią jakiś pełen rezygnacji błogi spokój – jej powieki opadały znów na oczy niczym płatki przekwitającego kwiatu.

Claire więdła, usychała jak wiotka roślina. Jakaś część mnie zdawała się to dostrzegać – i wówczas rozpacz niemal mąciła mi zmysły. Miałam ochotę wyć, płakać i krzyczeć w proteście przeciwko temu, co się dzieje. Milczałam

jednak dzielnie i wydawałam polecenia służbie z zadziwiającym mnie samą opanowaniem.

Jeszcze mieliśmy nadzieję. Widziałam po Dereku, że nie dopuszcza do siebie myśli, że mógłby utracić ukochaną kobietę, która niebawem miała zostać jego żoną. To było zbyt absurdalne i niedorzeczne, by mieściło mu się w głowie.

Wreszcie zza okien poprzez szum deszczu dotarło do nas szczekanie psów i tętent końskich kopyt, a także turkotanie pędzącego powozu. W holu zrobiło się zamieszanie. Zapanowało gorączkowe ożywienie. Myślałam, że oszaleję ze szczęścia, kiedy wreszcie zjawił się lekarz. Zażywny jegomość z neseserem pobrzękującym rozmaitymi fiołkami wkroczył z namaszczeniem do pokoju chorej. Spojrzał na nią, zmarszczył brwi i pogładził się po wąsach, po czym umieścił w prawym oku okrągły monokl na łańcuszku umocowanym do kieszeni w dwurzędowej kamizelce.

Doktor kazał wyjść wszystkim prócz Dereka.

Natychmiast uczyniłam, o co prosił. Nie wiedząc, co ze sobą począć, chodziłam to w jedną, to w drugą stronę całą długością mrocznego korytarza jak nieszczęśliwe, uwięzione w klatce zwierzę. Dexter Verinder obserwował mnie w milczeniu swymi różnobarwnymi oczyma – byłam mu równie wdzięczna za to, że jest obok mnie, jak i za to, że się nie odzywa.

Nagle w drzwiach sypialni Claire stanął lekarz.

– Od jak dawna pannie Evans wypadają włosy?

Poczułam, jak gdyby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch. Czy doprawdy musiał spytać o to przy wszystkich?

– Wypadają jej włosy? – powtórzył nieswoim głosem Derek, który wynurzył się za nim z pobladałą twarzą, jakby nie rozumiał, co się dzieje.

Przełknęłam ślinę.

– Mówiła, że to się zaczęło wraz z malowaniem obrazu...

Doktor nadał rumiane policzki i wypuścił długi haust powietrza.

– Jakiego obrazu?! O czym pani mówi?! Ile to już trwa?! – basowym głosem wyrzucał z siebie pytania. Przytrzymał monokl w prawym oku i marszczył nos niczym krótkowzroczny kret, którego zmuszono do wyjścia z nory na powierzchnię.

– Jakieś trzy tygodnie – odpowiedział za mnie Dexter Verinder. Musiał dostrzec, że jestem kompletnie roztrzęsiona. – Trzy tygodnie temu zaczął powstawać portret panny Evans.

Lekarz pokręcił głową z marsową miną.

– Ja tutaj już nic nie zdziałam, moi państwo... Podejrzewam otrucie. Zostaje nam modlić się do Pana Boga o cud. To, jakie będą rokowania, zależy

do tego, czy pańska narzeczona doczeka świtu – oznajmił ponuro, zwracając się teraz do Dereka.

Za oknami rozległ się głuchy pomruk burzy. Powietrze przecięła błyskawica i jej trupia biel na moment zajrzała mi do oczu.

Zrobiłabym wszystko, chwyciłabym się każdej szansy, gdybym wiedziała, że jest w tym nadzieja, żeby ci pomóc, Claire!

Przypomniałam sobie o szmaragdach.

To było niczym olśnienie. Wiedziona nagłym, desperackim instynktem kobiety, która walczy z przeznaczeniem, jednym płynnym ruchem zanurkowałam w wąski przestwór drzwi między doktorem a Dexterem Verinderem. Dopadłam łóżka Claire i spoglądając na popielatą twarz przyjaciółki, sięgnęłam pod materac, żeby odszukać kasetkę z bezcennym naszyjnikiem.

– Trzymaj się, Claire – wyszeptałam. – Zrobię to, co miałyśmy zrobić razem! Jeśli to naprawdę klątwa, uda mi się ją złamać!

Mężczyźni obserwujący tę scenę byli chyba zbyt zdumieni, żeby próbować mnie zatrzymać. Wyminęłam ich, nawet ich nie zauważając. Jedyną osobą, która zareagowała na moje dziwne zachowanie, była hrabina.

– Panno Madeline! – zawołała za mną z zabobonnym lękiem, kiedy zbiegałam na dół po szerokich schodach. W jednej dłoni ścisnęłam srebrną kasetkę, a drugą przytrzymałam rąbek sukni. Spojrzałam przelotnie na starą damę, ale nic nie odparłam. Za bardzo się spieszyłam, a moje serce łomotało jak oszalałe. Przebiegłam hol i ku niemej konsternacji lokaja, który zdążył usłuźnie otworzyć drzwi, tak jak stałam, wybiegłam na deszcz i wicherę do bezkresnego ogrodu.

Gdy przekraczałam próg, żeby zanurzyć się w ciemność nocy, stojący w salonie zegar zaczął wybijać północ. W uszach szumiała mi krew.

Jeśli widziałby mnie wówczas ktoś, kto rzeczywiście wierzył w istnienie czarownic, to w tamtej chwili mogłabym zostać wzięta za jedną z nich.

8. KORZENIE DRZEWA

Biegłam przed siebie co tchu. Rozmiękła od ulewy ziemia mlaskała pod moimi stopami. W kilka chwil buty doszczętnie przemokły. Suknia przywarła do mego ciała jak druga skóra. Deszcz przyklejał mi do twarzy i ramion splątane wiatrem włosy, chłostał moje ciało lodowatymi kroplami, które kłuły skórę jak drobne okruchy rozbitego szkła. W ciemności wiatr wybijał na gałęziach opętańczy, natarczywy rytm, który wwiercał się w mój umysł razem ze słowami wykrzyczanymi przez Claire:

*Zwierciadło z trzaskiem pęka w pół,
Kłątwa, ach, kłątwa na mnie już!?*

Kurczowo zaciskałam dłonie na kasetce z naszyjnikiem, aż rozbolały mnie palce. W pewnym momencie przerożenie podpełzło mi do gardła. Zdało mi się, że zgubiłam drogę. Woda zalewała mi oczy. Próbując ustalić moje położenie, odwróciłam się, a potem wykonałam pełny obrót. Światła zamku całkiem rozmyły się za mną w oddali – deszcz odciął mnie od Dworu pod Cisami niczym spuszczone za mną gruba kurtyna.

Nie wiedziałam już, w której części ogrodu się znajduję...

Z pomocą nadeszła mi sama burza albo i palec boży – a raczej świetlisty, długi i zakrzywiony szpon błyskawicy, który wycelował prosto w ogromne drzewo. Rozległ się huk. Oślepiający blask rozświetlił koronę samotnego dębu, który wyrósł kilkanaście metrów przede mną. Płynący u jego stóp potok zalśnił niczym żywe srebro. Rozgałęziona błyskawica uderzyła w metalowy gnomon zegara słonecznego. Astrologiczne symbole na kamiennej powierzchni roziskrzyły się niczym ślady po zstąpieniu bóstwa.

Pobiegłam w kierunku drzewa. W blasku kolejnych piorunów upadłam na kolana, które plasnęły głucho o mokrą trawę. Po drobnych gałęziach nade mną pełgało kilka pojedynczych języków ognia. W ich wątłym świetle

wbiłam kasetkę w ziemię i zgrabiętymi z zimna dłońmi zaczęłam kopać – coraz głębiej, w jakimś opętańczym rytmie. I tym razem również wiosenna burza okazała się mym sprzymierzeńcem – rozmiękła ziemia ustępowała stosunkowo łatwo pod naciskiem moich słabych rąk.

Aż nagle stawiła mi opór.

Poczułam, że natrafiłam na gładki kamień.

Sięgnęłam po kasetkę z naszyjnikiem i uniosłam jej wieko. Pięć oprawionych w złoto klejnotów zaśniło w odblasku kolejnej błyskawicy niczym oczy wielkiego pajaka. Miałam złożyć je do otworu w ziemi... kiedy na jego dnie ujrzałam czaszkę.

Odsłoniłam tylko jej przednią część – leżała zwrócona twarzą ku mnie. Oczodoły były pełne ziemi – przez jeden z nich przerastał korzeń... Pozbawiona dziąseł szczęka szczyrzyła się drobnymi zębami, a wysklepione czoło, gładkie jak wielkie jajo, ukazywało nagą krzywiznę kości.

Odskokczyłam w tępym przerażeniu.

I wówczas ujrzałam coś jeszcze.

Postać kobiety w długiej zielonej sukni.

Wyłoniła się spomiędzy rozpędzonych kropel deszczu niczym zbudzony przeze mnie duch nocy. Już po sekundzie wyraźnie widziałam tylko jej sylwetkę – odrealnioną światłem błyskawic i ostrym szumem deszczu, lecz wyraźną niczym czarno-biała fotografia na posrebrzonej miedzianej płytce albo obraz z *camera obscura* o niekończącej się głębi ostrości...

Szmaragdy wysunęły mi się z rąk.

Chyba krzyknęłam, lecz burza zagłuszyła wszystko.

Poczułam, że ziemia osuwa mi się spod nóg – i to dosłownie...

W ciemności podmyta deszczem krawędź niskiej skarpy oderwała się i osunęła w nurt potoku. Razem z nią runęłam w lodowatą wodę. Mój krzyk rozpląnął się w głuchym pomruku burzy.

Uderzenie paniki wyrwało mi oddech z ust. W ułamku sekundy poczułam to wszystko, co kiedyś – gdy byłam małą dziewczynką, a fale przypiływu uwięziły mnie i towarzysza moich dziecięcych zabaw w nadmorskiej jaskini. Sztywny gorset zdawał się miażdżyć mi żebra. Fale potoku chwyciły mnie niczym oślizłe macki i zaczęły ciągnąć w lodowatą, skłębioną ciemność.

Umrę – pomyślałam. Umrę tak młodo...

Nagle gdzieś obok rozbłysło światło. Ktoś mocno chwycił mnie za ramiona i wyciągnął na brzeg.

Trzęsłam się i krztusiłam, wypluwając wodę, czując na twarzy śliski dotyk mokrej trawy. Przemoczona suknia przywarła do mego ciała niczym lepki, półprzezroczysty kokon. Z wysiłkiem uniosłam wzrok i w blasku błyskawic

ujrzałam pochyloną tuż nade mną znaną mi twarz.

Twarz Dextera Verindera.

Garbaty mężczyzna pomógł mi wstać. Było mi słabo, osunęłam się w jego zniekształcone ramiona. Złapał mnie wpół i z zaskakującą lekkością wziął mnie na ręce. Wszystko wokół rozmyło się w ciemności i po chwili straciłam przytomność.

* * *

Przyśniła mi się Claire. W zielonej sukni wolno sunęła wzdłuż ścian sklepionej sali o kasetonowym stropie i pokazywała mi w zamyśleniu wiszące tam portrety w grubych złotonych ramach. Ja jednak widziałam tylko ją – zadumaną i piękną jak sama wiosna. Na jej szyi brakowało tylko szmaragdowego naszyjnika. Gdy to dostrzegłam, poczułam głęboki żal. Zrozumiałam, że coś jest nie tak, a potem przestraszyłam się, że zaraz nadejdzie hrabina i oburzy się na Claire za zgubienie ślubnego prezentu...

Wtedy się obudziłam.

* * *

Okrągły monokl w czyimś wpatrzonym we mnie oku powiększał je do monstrualnych wręcz rozmiarów – widziałam siateczkę zmarszczek na powiece oraz mozaikę czerwonych żyłek wokół tęczówki, które świadczyły o tym, że właściciel oka nie spał dzisiejszej nocy.

– Nareszcie się pani obudziła. Miała pani wiele szczęścia, panno Hyde – odezwał się do mnie doktor Wilkins. – Omal się pani nie utopiła. Jak się pani czuje?

Walczyłam z suchym pieczeniem w gardle. Miałam wrażenie, że tkwi w nim kłębek miedzianego drutu. Lekarz podał mi szklankę wody.

– Co z Claire? – wyszeptalam. – Jak się czuje panna Evans?

Odpowiedziało mi przeciągające się milczenie.

– Niestety nie udało się jej uratować. Nie mogłem nic zrobić. Przykro mi. Umarła nad ranem.

Z trudnością przełknęłam ślinę.

– Umarła? – powtórzyłam ze spokojem, który mógł wynikać tylko z faktu, że moje serce właśnie obróciło się w kamień.

Odpowiedziała mi wymowna cisza. Oparłam się o wysoki, rzeźbiony zagłówek łóżka.

Są chwile, kiedy dostrzegamy nagle intensywniej niż kiedykolwiek mnóstwo faktów, mnóstwo otaczających nas, pozornie nieistotnych szczegółów. Jak gdyby zdruzgotany umysł chwycił się okruchów rozpadającej się rzeczywistości, żeby przykryć nimi prawdę o sobie samym.

– Zostawię panią na chwilę – odezwał się doktor Wilkins i dyskretnie wycofał się z pokoju.

Obserwowałam świetlne plamy igrające na białej kołdrze. Promienie słońca przesączały się przez okienne firany wybrzuszone od lekkiego wietrzyku. Spojrzałam przez szybę – rozpościerał się za nią wspaniały widok na ogród i park. W krajobrazie ujętym w okienną ramę dominował ogromny dąb nad potokiem. Zobaczyłam, że tej nocy pąki się rozwinęły i jego potężne konary pokryły się miriadami młodych liści.

Zupełnie jakby drzewo wyssało całą zielen z rzuconych przeze mnie na ziemię szmaragdów.

Po chwili zjawiała się pokojówka.

– Chciałabym porozmawiać z panem Dexterem – oznajmiłam bezbarwnym głosem, który wydał mi się całkiem obcy.

– Oczywiście. To on przyniósł panią do domu... Poproszę, żeby zaraz do pani przyszedł.

Jak tylko wyszła, zaczęłam chciwie chwytać powietrze ustami, jakby znów porwał mnie wzburzony potok. Ale to były tylko spazmy płaczu, który nie mógł znaleźć sobie ujścia.

Po moich policzkach stoczyły się dwie wielkie łzy. Otarłam je ostrym gestem. Dosyć! Dla mnie nie przyszła jeszcze ani pora na smutek, ani na żałobę. W tamtej chwili postanowiłam bowiem cały mój żal, cały mój ogromny ból po stracie Claire przekuć w heroiczny wysiłek woli. Mentalnie przygotowywałam się do walki o ustalenie całej prawdy na temat ostatnich chwil życia mojej przyjaciółki... a zwłaszcza na temat jej śmierci.

Nawet jeżeli miałoby to oznaczać, że będę mieć przeciwko sobie całą rodzinę Verinderów.

* * *

Dexter Verinder wszedł do mojej sypialni nieomal bezszelestnie. Miał na sobie elegancki garnitur ze świeżym fiołkiem w butonierce. Starannie dobrany strój stanowił przeciwwagę dla jego oblicza, na którym zmęczenie i wszystkie niepokoje minionej nocy odcisnęły widoczne piętno. Mimo to pomyślałam, że gdyby nie ów monstrualny garb i rudawe, rzadkie włosy, to

nawet z różnobarwnymi oczyma brat hrabiego mógłby być całkiem przystojnym mężczyzną.

– Proszę usiąść – rzekłam cicho, gdy zamknął za sobą drzwi. Przysunął sobie krzesło i siadł dość blisko łóżka.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywało. Wpatrywałam się w zazielenione drzewo za oknem, starając się zebrać myśli i dobrać właściwe słowa.

A właściwe słowa to często te najprostsze...

– Dziękuję. Zdaje się, że w nocy ocalił mi pan życie.

– To bardzo możliwe – zgodził się Dexter rzeczowo.

Przygryzłam usta. Obróciłam ku niemu twarz.

– To pan napisał tamten anonim, prawda?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– O czym pani mówi?

W piersi poczułam narastającą wściekłość. Starłam się opanować, lecz słowa popłynęły same.

– Proszę nie udawać! – syknęłam oskarżycielsko. – Napisał pan anonimowy list do Claire, w którym straszył ją pan, że szmaragdy są przeklęte. Kazał je pan zakopać nad potokiem, o północy, pod tamtym drzewem. – Wycelowałam palce za okno. – To dlatego pojawił się pan we właściwym miejscu i czasie. Żeby zabrać naszyjnik, prawda? A przy okazji znalazł pan mnie! Dlatego że wiedział pan, gdzie szukać!

Urwałam, czując, jak krew podbiega mi na policzki, a pod powiekami pieką łązy, które parzą jak lawa.

Dexter Verinder wolno wypuścił powietrze i popatrzył na mnie, mrużąc oczy.

– To wszystko, o czym pani mówi, niezmiernie mnie fascynuje. Nigdy jeszcze nie słyszałem od nikogo podobnych podziękowań za ocalenie przed utonięciem. Gwoli ścisłości muszę jednak wyjaśnić, że nie wszystkie pani słowa wdzięczności i uznania akurat mnie się należą.

– Co takiego?

– Nic nie wiem o żadnym anonimie. Kiedy wybiegła pani z domu, ruszyłem za panią. Moja matka zaczęła krzyczeć, że zabrała pani z sypialni Claire kasetkę z naszyjnikiem. Niestety z powodu garbu nie jestem zbyt szybki... Znalazłem panią, bo piorun trafił w drzewo, pod którym nierozważnie się pani schroniła. Miała pani podwójne szczęście – po pierwsze, bo piorun panią oszczędził, choć tamten dąb, z powodu bliskości wody, regularnie przyciąga błyskawice. Jak to mówią: więcej szczęścia niż rozumu. Po drugie, pobiegłem za panią i kiedy wpadła pani do wody,

pospieszyłem na ratunek. Mówiąc krótko: jeszcze więcej szczęścia... Mam wrażenie, że mogła pani wyczerpać swój życiowy limit.

– Nie widział pan w ogrodzie nikogo innego?

– Oprócz pani? Ależ nie. – Dexter lekko nachylił się ku mnie. Moje pytanie wzbudziło jego czujność. – A pani... widziała kogoś?

Przełknęłam ślinę. Przed oczyma stanęła mi wyłaniająca się z mroku postać kobiety, częściowo skryta za kurtyną deszczu. Niczym zjawa utkana ze światłocieni... Czy mogła być tylko moim złudzeniem?!

– Nie – zaprzeczyłam w odpowiedzi na pytanie rozmówcy. – Ale myślałam, że autor anonimu... Mógłby czekać nad rzeką na Claire.

– Nikogo nie widziałem – powtórzył Dexter. Miałam wrażenie, że wyczuł moje kłamstwo.

Twarz całkiem mi pokraśniała. Mój oddech gwałtownie przyspieszył.

– A anonim? A czaszka pod drzewem? – spytałam z desperacją.

– Jaka czaszka? Jaki anonim, panno Madeline? Czy mógłbym wreszcie uzyskać jakieś wyjaśnienie?

Milczałam przez chwilę, bo biłam się ze strasznymi myślami. Nie chciałam stracić panowania nad sobą. Musiałam być rzeczowa i dokładna. Zacerpnęłam kilka głębszych wdechów. Splotłam ciasno dłonie, żeby ukryć fakt, że drżą jak gałązki osiki.

– Pod drzewem leży zakopana czaszka – oznajmiłam. Przełknęłam ślinę. – Nie jest zbyt duża. Myślę, że mogła należeć do młodej dziewczyny... albo do dziecka. Odkryłam ją, kiedy chciałam zakopać szmaragdy.

Dexter zmarszczył brwi.

– Czy może mi pani wyjaśnić, czemu chciała je zakopać?

Skinęłam głową.

– Wczoraj Claire pokazała mi anonim, który ktoś wsunął pod drzwi jej sypialni. Napisano w nim, że szmaragdy są przeklęte. Że za ich sprawą na Claire rzucono klątwę. Żeby odczynić zły urok, autor listu kazał o północy zakopać naszyjnik pod tamtym drzewem nad potokiem. – Wyciągnęłam palec, żeby znowu wskazać w dal, za okno.

Dexter westchnął i potrząsnął głową.

– I kiedy Claire nagle zachorowała, postanowiła pani spełnić żądanie autora listu?

Spuściłam głowę. Dlaczego zrobiło mi się wstyd? Z zażenowania na chwilę wstrzymałam oddech.

– Działałam pod wpływem impulsu – szepnęłam. – Czy gdyby oznajmiono panu, że pański przyjaciel umiera, nie skorzystałby pan z każdej szansy na jego ocalenie? Nawet gdyby ta była złudna?!

Nie udzielił odpowiedzi. Miałam nadzieję, że cisza oznaczała, iż się zgadza. Zamrugałam. Gardło mi się ścisnęło.

– Claire naprawdę była przekonana, że padła ofiarą klątwy – wychrypiałam. – Sądziłam, że dzięki mnie... poczuje ulgę.

Oczy wypełniły mi się łzami. Dexter Verinder podał mi chusteczkę.

– Dziękuję – bąknęłam, przyciskając ją do oczu.

Znowu żadne z nas się nie odzywało. Nagle serce ścisnęło mi się z niepokoju.

– Co ze szmaragdami? Znalazł je pan pod drzewem? – Wbiłam spojrzenie w nieodgadnioną twarz mężczyzny, kontrastującą z jego groteskową sylwetką.

– Przykro mi. Musiały wpaść do potoku. Służący od rana przeczesują duży odcinek nurtu.

– Naszyjnik nie wpadł do wody!

– Jest pani pewna?

– Owszem!

Dexter Verinder przetarł twarz dłońmi.

– W takim razie wygląda na to, że bezcenny rodowy klejnot Verinderów za pani sprawą zapadł się pod ziemię...

9. MILCZĄCE MURY

Kiedy Dexter Verinder opuścił pokój, pociągnęłam za sznur przy wezgielciu łóżka i zadzwoniłam po pokojówkę. Laura zjawila się po krótkiej chwili – nadal blada jak papier, lecz jak zwykle gotowa mi pomóc. Dyskretnie wydmuchała nos.

– Chciałabym wysłać list – powiedziałam. – Czy jeszcze dziś będzie to możliwe?

– Oczywiście. – Dziewczyna szybko dygnęła – Nie brakuje tutaj służby. Jeśli pani sobie życzy, to jeden ze stajennych może pojechać do Farnham z listem w każdej chwili.

– Świetnie. – Skinęłam głową. – Czy mogłabyś przysłać go do mnie za pół godziny?

– Oczywiście. Czy jeszcze czegoś pani potrzeba?

– Nie. Bardzo ci dziękuję. – Przełknęłam ślinę. – Jak się miewa hrabia Derek?

Czyż istnieje bardziej nieopatrne pytanie, jakie może paść w podobnej sytuacji? A jednak nie potrafiłam go nie zadać – chociaż oczywiście znałam odpowiedź, a przynajmniej mogłam się jej domyślać. Dla człowieka, który jeszcze wczoraj wierzył, że niebawem zostanie mężem Claire, cały świat tej nocy legł w gruzach.

– Jest załamany, panno Hyde – stwierdziła Laura, po czym pospiesznie zniknęła za drzwiami.

Zostałam sama.

Cichy trzask zamykanych drzwi zabrzmiał jak wymierzony mi policzek od losu. Nagłe poczucie osamotnienia chwyciło mnie za gardło i wycisnęło z niego kilka głębokich spazmów. Przez chwilę walczyłam z obezwładniającą rozpaczą – miałam tak wielką ochotę na to, by się jej poddać!

I pewnie bym to zrobiła, gdyby mój umysł nie był skoncentrowany teraz na zadaniu, jakie sobie wyznaczyłam, i na sprawach niecierpiących najmniejszej zwłoki. Tylko działanie mogło przepłoszyć z mojej głowy tragiczne i przerażające myśli, które ściągały moją duszę w otchłań.

Musiałam więc działać.

Zsunęłam się z łóżka, zarzuciłam na plecy wełniany pled i okutana w niego jak w kokon siadłam przy ustawionym pod oknem antycznym sekretarzyku ozdobionym wspaniałymi intarsjami. W szufladzie znalazłam komplet papeterii z wytłoczonym inicjałem rodziny Verinderów. Sięgnęłam po czystą kartę czerpanego papieru oraz po pióro.

26 marca 1898 roku, Dwór pod Cisami

Szanowny doktorze Watson!

Zapewne zdziwi się Pan, otrzymawszy niniejszy list ode mnie.

Wiem, jak bardzo jest Pan oddany swojej pracy i swoim pacjentom i jak wysoce ceni Pan sobie spokojną egzystencję, którą cieszy się pan w Torquay.

Mimo to ośmielam się błagać Pana, by porzucił to wszystko na krótki czas i jak najszybciej przyjechał do Farnham w hrabstwie Surrey, a stamtąd do posiadłości rodziny Verinderów. Posiadłość nazywa się Dwór pod Cisami i leży o kilka mil na wschód od miasta.

Chodzi o sprawę nieznaney choroby, której ofiarą padła moja najdroższa przyjaciółka, panna Evans. Umarła ona tej nocy – lecz przyczyna jej śmierci pozostaje dla wszystkich zagadką. Uważam, że istnieje obawa (być może niesłusznie), iż ktoś może przyczynę jej śmierci chcieć zatuszować. W tej chwili nie mogę napisać nic więcej. Cała sprawa wymaga największej rozwagi i najdalej posuniętej dyskrecji – dlatego zwracam się właśnie do Pana.

Nigdy nie zapomnę, jak bardzo pomógł mi Pan po śmierci mojej nieodżałowanej ciotki, lady Lancey, ani jak pańska niezrównana lekarska wiedza przyczyniła się do wykrycia metod działania mordercy.

Teraz znowu proszę Pana o pomoc.

Koszty i wydatki, jakie Pan poczyni, żeby mi jej udzielić, nie grają roli.

Znając pana jako człowieka wielkiego serca, żywię gorącą i nieustającą nadzieję, iż nie odmówi Pan prośbie młodej damy, która darzy Pana najgłębszym szacunkiem oraz wierną przyjaźnią.

Wyczekuję Pana we Dworze pod Cisami z niecierpliwością.

Pana oddana przyjaciółka i dozgonna dłużniczka

Madeline Hyde

Złożyłam list i zaadresowałam kopertę.

Przeszył mnie dreszcz. Pomyślałam o bracie Claire, Jonathanie. To on stanowiął najbliższą rodzinę Claire – ich matka umarła kilka lat temu, ojciec

zaś opuścił ten świat jeszcze wcześniej. Czy ktoś już do niego napisał, żeby powiadomić go o nagłej śmierci młodszej siostry? Czy już wysłano telegram?

Zapewne tak – natychmiast odpowiedziałam sobie w myślach, jak gdybym w pierwszym odruchu chciała odsunąć od siebie ów przykry i nieskończenie trudny obowiązek.

Bo przecież czułam, że i ja powinnam przesłać do Jonathana choćby kilka słów. Często widywaliśmy się w dzieciństwie z racji mojej przyjaźni z Claire. Z upływem czasu spotykałam go coraz rzadziej... ale przecież obecnie każdy gest wsparcia od osoby, która tak jak on znała i kochała Claire, mógł okazać się dla niego bezcenny!

Tak samo jak byłby bezcenny dla mnie...

Ujęłam pióro. Moja dłoń zawisła nad kartką. Szukałam wyrazów, które mogłyby pasować, choć wiedziałam, że nie zdołam ich odnaleźć.

Ostatecznie prędko skreśliłam kilka zdań.

Łączę się w niewysłowionym bólu i czekam na Pana przyjazd.

Claire na zawsze będzie w moim sercu.

Modłę się za pana w tej godzinie.

Niech dobry Bóg da Panu potrzebną siłę.

Madeline Hyde

* * *

Umyłam się, ubrałam i cicho wyszłam na korytarz. Moje kroki, choć tłumione przez miękki chodnik, i tak zdawały się profanować ciszę, która zawisła między grubymi murami ogromnego domostwa i nadała mu coś ze świętości katedry.

Drzwi do pokoju Claire były uchylone. Przełknęłam ślinę i pchnęłam lodowatą, mosiężną klamkę. Zawiasy cichutko zaskowytały, wtórując ledwie słyszalnym, ochrypłym jękiem, które wydobywały się z piersi siedzącego przy łóżku mężczyzny.

Zamarłam w progu i wstrzymałam oddech.

Hrabia Derek pochylał się nad Claire z twarzą zanurzoną w dłoniach. Do policzka przyciskał białe jak śnieg, zeszywniałe już z pewnością palce dziewczyny – na jednym z nich cały czas lśnił świetlisty brylant zaręczynowego pierścionka. Domyśliłam się, że Derek spędził tu całą noc, nie odstępując na krok martwej narzeczonej.

Claire miała na sobie tę samą jasną suknię co wczoraj, z małymi bufkami i wysokim koronkowym kołnierzykiem. Nikt nie zajął się jeszcze jej ciałem. Tylko jej długie włosy zostały starannie rozczesane i lśniły teraz na poduszce niczym strużki roztopionej miedzi albo cudna, promienista aureola... Tak, Claire wyglądała na jedną z tych średniowiecznych świętych na starych rycinach, których ciała, zamiast niszczyć po śmierci, promieniowały nowym wewnętrznym pięknem uwolnionej od ziemskich przywiązań duszy. Jej zastygła na wieki blada twarz przypominała mistrzowsko wykute z białego marmuru oblicze anioła. Malował się na niej spokój, którego tak bardzo pragnęła w ostatnich dniach swojego życia.

Spokój, którego nie zdołała znaleźć.

Aż do teraz.

Drgnąłam, gdy Derek nagle zwrócił ku mnie twarz. Był prawie tak blady jak nieszczęsna Claire.

Z oczu trysnęły mi łzy.

– Tak mi przykro! – zawołałam zduszonym głosem.

Hrabia wstał, wyprostował się i skłonił z godnością rasowego arystokraty. Opanował emocje na tyle, by odpowiedzieć mi z całkowitym spokojem:

– Dziękuję pani za te wyrazy współczucia. Wiem, że pani również kochała Claire – zauważyłam, że już nie mówi mi po imieniu. Przeszył mnie chłód.

– Jak siostrę – jęknęłam, rozmazując po policzku zimną łzę. Chwiejnym krokiem weszłam do środka, chciałam popatrzeć z bliska na Claire, lecz Derek powstrzymał mnie gestem dłoni.

– Wiedziała pani, że jest chora? Że wypadają jej włosy? – zapytał z jeszcze większym chłodem.

Wstrzymałam oddech.

– Tak, ale...

– I nic z tym pani nie zrobiła?

– Próbowałam jej pomóc...

– Jestem... a raczej byłem jej narzeczoną. Powinienem był wiedzieć! – przerwał mi zdecydowanie.

Gardło miałam jak zasznurowane. Kolejne sekundy przygważdżały mnie swoim ciężarem.

Na szczęście Derek zdołał się zreflektować.

– Błagam panią o wybaczenie – wychrypiał i ujął moją dłoń. – Błagam, proszę darować mi ten wybuch! Nie mam najmniejszego prawa pani winić. Wina leży wyłącznie po mojej stronie. Jak mogłem nie zauważyć, że jest chora? Jak mogłem dać sobie wmówić, że jej ciągłe migreny to wina wyłącznie kobiecej słabości? Że jej bladość i nieustanne wyczerpanie to

kwestia godzin spędzonych na pozowaniu do portretu i stresów związanych z nadchodzącym ślubem?

Przycisnął zaciśnięte w pięści dłonie do swoich ust. Jego czoło przecięła głęboka bruzda. Widoczne na nim krople potu błysnęły niczym dziesiątki srebrnych główek od szpilek, które jakaś złowroga moc wbiła w niego jak w szmacianą lalkę.

Nie wiedząc, co począć, podeszłam do niego i mocno go przytuliłam.

Oboje pozwoliliśmy sobie na łzy, na tę chwilę obnażając nasze dusze.

Wydmuchałam nos w chusteczkę, którą hrabia mi podsunął.

– Wina nie leży wyłącznie po pana stronie – wyszeptałam, kręcąc głową. – Wprawdzie dopiero wczoraj dowiedziałam się o chorobie Claire, lecz już od pewnego czasu podejrzewałam, że coś jest nie tak...

– Jak to?

– Chodziło o jej listy. Były... jakieś inne. Niepodobne do Claire, którą znałam. Miałam wrażenie, że żyje w ciągłym napięciu. Powinna być zareagować wcześniej. I powiedzieć panu jeszcze wczoraj... o wszystkim.

– O wszystkim? – zapytał Derek bezradnie, próbując zajrzeć mi w oczy. Ja jednak spuściłam głowę. Moje serce biło jak szalone. Czy powinnam powiedzieć mu teraz o tym podłym anonimie, który wczoraj otrzymała Claire?!

Pragnęłam oszczędzić mu dodatkowych cierpień, a zarazem myślałam, że przecież i tak się dowie. Jeżeli nie ode mnie, to od Dextera. Ostatecznie Derek w końcu spyta, dlaczego wybiegłam do ogrodu i co zrobiłam ze szmaragdowym naszyjnikiem. I wówczas będzie żywił do mnie ten sam żal, co przed chwilą.

Żal, że zataiłam przed nim coś, co dotyczyło najdroższej mu w całym świecie osoby.

Coś, o czym od początku powinien był wiedzieć.

– Muszę coś panu wyznać, Dereku. Nie chcę nic już przed panem ukrywać. Wczoraj Claire otrzymała anonim...

– ...anonim? – powtórzył, nie wiedząc, o czym mówię.

– List, w którym nieznany autor powiadał, że na Claire została rzucona klątwa.

– Klątwa?! – wykrztusił Derek z oczyma lśnącymi jak od gorączki. Przetarł twarz rozcapierzonymi dłońmi. – Jaka klątwa?!

– Nie wiem. – Ramiona pokryły mi się gęsią skórą. – Ale autor listu twierdził, że wszystkiemu winien jest naszyjnik. Że żeby zdjąć urok, Claire musi zakopać go o północy w ogrodzie...

Derek wzdrygnął się.

– Ma pani ten list?

– Nie – zaprzeczyłam. – Ale musi być gdzieś tutaj.

Derek Verinder kręcił głową z twarzą człowieka, któremu właśnie wyjawiono, że to Ziemia obiega Słońce, a nie Słońce Ziemię. Bezwiednie przeczesał palcami zmierzwione włosy.

– W takim razie później go znajdziemy... Czy zechce pani zostawić mnie z nią samego? – wychrypiał i wolno odwrócił się w kierunku łóżka zmarłej. – To dla mnie zbyt wiele. Rozumie pani? Miała być moją żoną... A pani twierdzi, że cały czas kryła przede mną... tyle tajemnic.

– Kochała pana – szepnęłam.

– Ale najwyraźniej mi nie ufała. Nie na tyle, by wyjawić, co ją trapi... Nie miała do mnie tyle zaufania, co do pani.

Przygryzłam usta.

– To nie tak. Myślę, że dla pana... Claire chciała być idealna.

Derek Verinder spuścił głowę.

– Wolałbym, żeby była... prawdziwa.

– Kochała pana – powtórzyłam i cicho wyszłam z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Oparłam się o nie plecami, czując, że brakuje mi sił. Odchyliłam głowę do tyłu i zacisnęłam powieki.

Ach, Claire! Gdyby to była prawda! Czy on ma rację? Czy naprawdę mi ufałaś? – myślałam gorączkowo.

Moja przyjaciółka umarła, lecz jej tajemnice żyły nadal.

* * *

Dwór pod Cisami wydawał mi się cichy i ponury jak grobowiec – rozpaczliwie zapragnęłam poczuć na twarzy wiosenną pieszczotę wiatru i ciepło słonecznych promieni. *Gdzie podziiali się pozostali domownicy?*

– Panno Hyde. – Jak gdyby w odpowiedzi na pytanie, które zadawałam sobie w myślach, rozległ się cichy, lecz wciąż mocny głos starej hrabiny.

Dobiegał z sąsiedniego saloniku z wysokimi wykuszowymi oknami.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi – nakazała hrabina, a ja spełniłam jej polecenie.

Grube zasłony w oknach były zaciągnięte, jedynie przez wąski przesmyk między nimi wnikały do środka promienie słońca i zapalały tańczące w powietrzu pyłki. Mimo pięknej pogody w marmurowym kominku płonął ogień; zdawało się, że ciągle trwa tu noc. Na szerokim gzymsie kominka ułożyła się, niczym kłębek aksamitu, czarna kotka – kiedy weszłam, uniosła

trójkątną głowę. Hrabina Verinder wpatrywała się w splątane płomienie. Miała na sobie czarną suknię żałobną zapinaną pod szyją na ozdobne haftki. Jej twarz spowiła długa woalka umocowana do czepca – z tego powodu oblicze starej damy stało się dla mnie nieprzeniknione.

Cisza dziwnie się przedłużała, ostatecznie więc postanowiłam przerwać ją pierwsza.

– Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia – rzekłam cicho.

– Wzajemnie, panno Hyde. Jednak osobą, której należy się nasze współczucie, jest przede wszystkim mój syn.

– Oczywiście.

– Proszę powiedzieć, co mu pani powiedziała.

– Co takiego? – zrazu nie zrozumiałam, o co jej chodziło.

– Proszę nie udawać – warknęła. – Jest pani bystrą młodą damą, panno Madeline. Derek przeżywa ogromną tragedię i nie pozwolę, żeby dokładano mu teraz kolejnych zmartwień.

– Proszę o wybaczenie, ale... sądziłam, że powinien wiedzieć.

– O czym? – Kolejne pytanie zabrzmiało jak oskarżenie. Gorączkowo próbowałam zebrać myśli, żeby wyjawić z możliwie największym taktem to, co miałam do przekazania. Starsza dama straciła do mnie cierpliwość.

– Jeżeli to pani pomoże, zapytam inaczej: co zrobiła pani z naszą rodzinną pamiątką?

Teraz moje serce zaczęło łomotać jak przerażony ptak, który obija się o pręty klatki.

– Ma pani na myśli naszyjnik ze szmaragdami, który podarowała pani Claire...

– Muszę przypomnieć, że naszyjnik miał się stać własnością mojej niedoszłej synowej dopiero po jej ślubie z Derekiem. W obecnej sytuacji nadal jest mój.

Skinęłam głową, lekko zaciskając dłonie.

– Nie wiem, co powiedzieć... Muszę pani wyjaśnić... Claire wczoraj otrzymała anonim.

– Ma na myśli pani ten list? – spytała nieoczekiwanie hrabina, wyciągając ku mnie rękę. Rozpostarta kartka białego papieru zatrzepotała w jej dłoni niczym ranna gołębicą. – List, który rzekomo ostrzega przed klątwą związaną z posiadaniem naszyjnika?

Skinęłam głową.

Hrabina przypatrywała mi się uważnie.

– Panno Hyde... Nie zamierzam przywiązywać wagi do żadnego słowa napisanego przez człowieka, który nie miał odwagi, by się podpisać. Pani

również nie powinna tego robić. Nie damy mu tej satysfakcji. Trzeba ukrócić tę podłość. – Z tymi słowami *lady* Verinder szybko zmięta list w dłoniach, po czym cisnęła papierową kulkę do kominka.

Kulka z papieru zwinęła się jak ranny ślimak, po czym poczerniała w jednej chwili.

– Ależ *milady*... – zawołałam z szeroko otwartymi oczyma. – Nie powinna była pani tego robić! To mógł być dowód...

– Dowód na co?

Nawet przez woalkę węgielki oczu hrabiny zdawały się przenikać mnie na wylot.

– Dowód na to, że ktoś źle życzył Claire. Że jej groził... albo ją ostrzegał – wyjąkałam.

Stara dama skrzyżowała ramiona.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, co w tych stronach znaczy nazwisko Verinder? Jesteśmy jedną z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin. Najbogatszą. Najpotężniejszą. Czy przypuszcza pani, że pozwolę teraz na wybuch skandalu? W sytuacji, kiedy musimy sobie poradzić ze śmiercią Claire? Kiedy wszystkie oczy będą skierowane na nas?

Nie byłam przygotowana na równie nieprzejeđnany ton. Poczułam się jak naiwna, głupiutka gąska. Dłoń hrabiny spoczęła na mym ramieniu. Przytłoczył mnie ciężki zapach jej perfum z orientalnymi nutami cedru i piżma.

– Odpowiedź brzmi: nie, panno Hyde. Skandal nie jest nam teraz potrzebny! Śmierć Claire jest wystarczającym ciosem. – Stara dama westchnęła głęboko. – Przykro mi, że wypadki potoczyły się w ten sposób... ale pani postawa wcale nie pomaga. Za pani przyczyną zaginęła nasza bezcenna rodowa pamiątka. Mój młodszy syn mógł utonąć, spiesząc pani na ratunek. Nie wspominając już o tym, że przez swoją lekkomyślność, graniczącą z szaleństwem, naraziła pani również własne życie. Bez względu na motywy, jakie panią kierowały... Taka impulsywność jest niezdrowa. Myślę, że po tym, co pani zrobiła, powinna pani jak najszybciej opuścić Dwór pod Cisami. Rzecz jasna po pogrzebie Claire.

Poczułam, że drzę.

– Jest mi niezmiernie przykro – wyszeptałam skruszona. – Oczywiście ma pani rację. Naprawdę czuję się winna! Ale niechże pani pozwoli, że nie wyjadę, dopóki nie odnajdą się szmaragdy. Naszyjnik zaginał z mojej winy. Zamierzam uczynić, co w mej mocy, żeby go pani zwrócić.

Hrabina pokręciła głową.

– I co pani robi? Zatrudni pani prywatnego detektywa? Kogoś w rodzaju

Sherlocka Holmesa? Życie to nie romantyczna powieść, panno Hyde. Proszę tylko spojrzeć na Dereka i na pani biedną przyjaciółkę. Tacy młodzi, tacy zakochani... Czy takie zakończenie jest sprawiedliwe?

Pozostawiłam jej pytanie bez odpowiedzi. Do oczu napłynęły mi łzy.

– Proszę dać mi szansę – wyjąkałam.

Na moment w saloniku zapadła świdrująca cisza.

– I tak jestem dla pani łaskawa – stwierdziła *lady* Verinder z wyniosłym chłodem. – Okazuję pani miłosierdzie. Czy zdaje sobie pani sprawę, że mogłabym oskarżyć panią o kradzież? Zabrała pani szmaragdy w obecności licznych świadków...

Lodowaty dreszcz przebiegł wzdłuż mojego kręgosłupa niczym kostka lodu ześlizgująca się po plecach.

– Z powodu anonimu! – wychrypiałam.

– ...anonimu, który właśnie spłonął.

Wstrzymałam oddech, zaciskając dłonie.

A potem poczułam gniew i płynący z niego przypływ sił. Słowa starej damy zapiekły mnie jak policzek. Urażony honor sprawił, że dumnie uniosłam czoło.

– Skoro tak sprawy stoją, to muszę się bronić! Nie pozwolę, by ktokolwiek mógł kiedyś określić mnie mianem złodziejki! Oświadczam pani, *milady*, że zamierzam wynająć prywatnego detektywa, żeby odnalazł szmaragdowy naszyjnik. Oczywiście z zachowaniem całkowitej dyskrecji. Jedyne, o co panią proszę, to cierpliwość i wiara w to, że się uda.

Z tymi słowami dygnęłam głęboko i bez czekania na odpowiedź szybkim krokiem wyszłam z saloniku, zostawiając damę w czerni w łunie tańczącego ognia.

Życie to nie romantyczna powieść – myślałam z goryczą, gdy prędkie kroki unosiły mnie do ogrodu. *Aleczasem cuda się zdarzają. Może i nie mogłam wezwać na pomoc Sherlocka Holmesa... ale przecież napisałam już do doktora Watsona!*

10. RODZINNE SEKRETY

Szłam szybko ogrodową ścieżką wysypaną białym żwirem, który skrzył się w promieniach kwietniowego słońca. W górze rozbrzmiewały gwizdy smolście czarnych jaskółek, które wirowały niczym strzępki nocnego nieba albo zbłąkane przecinki na czystej, jasnoblękitnej karcie zaczarowanego papieru... Pierwsze tulipany, stłamszone i potargane nocną ulewą, wytrwale ożywiały ogród kolorowymi spłachetkami. Piękno wiosennej przyrody dotkliwie mnie dziś raniło – zamiast przynosić ulgę, pieszcząc zmysły, budziło poczucie winy. Ani na chwilę nie potrafiłam przestać myśleć o Claire.

Nie powinno się umierać wiosną.

Moje spojrzenie powędrowało ku obsypanemu soczystą zielenią samotnemu drzewu nad potokiem. Zmierzałam w jego kierunku – jakbym sunęła wzdłuż niewidzialnej nici. W moich myślach wciąż pojawiała się tajemnicza czaszka – patrzyła wprost na mnie jamami pustych oczodołów z dna otworu wygrzebanego w mokrej ziemi.

Nie wiem, co dokładnie spodziewałam się zobaczyć u stóp starego dębu. A jednak kiedy zatrzymałam się w cieniu jego rozłożystych konarów, przez które przesączały się złociste iskry słońca, wszelkie moje nadzieje, jakkolwiek nieświadomione, przysły.

Przez dłuższą chwilę nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Po osunięciu się ziemi częściowo огоłocone z gleby grube korzenie dębu zawisły w powietrzu nad wodą niczym gigantyczne szpony przyczajonego na brzegu gruzłowatego stwora. Za to w miejscu, gdzie, jak mi się zdawało, odkryłam czaszkę, zionął teraz głęboki dół otoczony szpalerem ciemnych kopczyków.

Poczułam się nagle bardzo słaba i oparłam dłoń o pień posepnego drzewa.

Przypomniałam sobie o sercu i o inicjałach, które wyrzezano w jego grubej korze.

Jeszcze wczoraj myślałam, że to inicjały Dereka i Veroniki – pierwszej narzeczonej hrabiego, z którą rozstał się pod wpływem swojej matki. Obecnie byłam skłonna przyjąć inną wersję. Wycięte w drzewie litery nie oznaczały miejsca romantycznych spacerów dawnych narzeczonych ani symbolu ich

młodzieńczej miłości.

Skrywały imię i nazwisko kogoś innego...

Kogoś, kogo tutaj pogrzebano.

Zastygłam w bezruchu, niczym łania wystawiona na morderczy strzał myśliwego.

Moją duszę przytłaczał coraz większy mrok. Poczułam się tak, jak musiała się czuć tutaj Claire – niepewna i bardzo samotna. Odwróciłam wzrok ku zamkowi. Wówczas ujrzałam idącą ku mnie pannę Alice.

Córka hrabiny podeszła i delikatnie mnie przytuliła. Po chwili wskazała na głęboki dół pod drzewem.

– Dexter wykopał ludzką czaszkę i kości, które odłoniła ulewa. To jak zły omen, prawda? – odezwała się z pewnym zmieszaniem.

Poczułam przypływ zarazem strachu i nadziei. Strachu przed tym, co odkryłam w ziemi. Nadziei na to, że jednak nie oszalałam. Że wszystko, co zobaczyłam podczas burzy, było prawdą.

Ale kim w takim razie była kobieta w zielonej sukni?!

Nagle w głowie zakręciło mi się od pytań. Ramiona pokryły mi się gęsią skórą.

Panna Verinder lekko ścisnęła mnie za rękę.

– Proszę się nie obawiać. Dexter jest dziwakiem. Archeologia to tylko jedna z jego kuriozalnych pasji. Mój ekscentryczny brat kolekcjonuje wszystko, od minerałów po martwe żuki, inne owady, wypchane zwierzęta oraz skamieliny. Poza tym interesuje go historia tych okolic. Ma w tym względzie zacięcie badacza. Taki już jest... – Alice wzruszyła ramionami.

Przełknęłam ślinę, próbując zwilżyć ściśnięte gardło. Panna Verinder mówiła bez wielkich emocji, jak gdyby wcale nie chodziło o zakopane w jej ogrodzie doczesne szczątki jakiegoś człowieka, który przecież kiedyś żył, marzył, oddychał...

Już niemal pozazdrościłam Alice opanowania, kiedy nagle zwróciła na mnie ciemne oczy i zobaczyłam, że są one pełne łez.

– Panno Madeline – powiedziała cicho. – Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

– Dziękuję – odparłam wzruszona. – Dla pani również, Alice. Claire była również pani przyjaciółką.

Potrząsnęła głową i ostrym gestem otarła strużki wilgoci, które spłynęły po jej policzkach.

– Nie byłam dla niej dobrą towarzyszką. Teraz mam wyrzuty sumienia, że kiedy mnie potrzebowała, ja skupiłam się sama na sobie. Rozumie mnie pani, droga Madeline?

Niepewnie skinęłam głową.

W jej ciemnych oczach nadal błyszcząły łzy. Miodowa skóra dziewczyny stała się o kilka tonów jaśniejsza niż zwykle, zaś jej usta... były całkiem sine.

– Alice, czy dobrze się pani czuje? Pani usta... są niebieskie!

– Niebieskie? – Alice uniosła brwi i potarła dolną wargę opuszką palca.

Dotknęłam jej ręki. Była zimna jak lód.

– Zmarzła pani. Może odprowadzę panią do pokoju? To była długa noc. Powinna pani odpocząć.

– Boli mnie głowa – przyznała Alice z rezygnacją. – Może zaczyna się u mnie przeziębienie. W nocy bardzo zmarzłam i przemokłam... Zresztą zdaje się, że nie tylko ja. – Przyjrzała mi się z uwagą. – Słyszałam, że wpadła pani do potoku. Nic pani nie jest?

– Absolutnie nic – zapewniłam. – Zawdzięczam to jednak wyłącznie Dexterowi. Gdyby nie on... Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Niech pani nic nie mówi – zaproponowała panna Verinder wielkodusznie. – Mój brat jest wprawdzie cyniczny i skryty, ale nigdy nie brakowało mu odwagi – przyznała niczym wytrwały szermierz, na chwilę ustępujący pola zdolnemu adwersarzowi, którym w tym przypadku był jej własny brat.

– Nie wątpię – odparłam, po czym wbiłam wzrok w ziemię. – Zapewne słyszała już pani o naszyjniku ze szmaragdami?

Alice bez słowa skinęła głową.

– Oświadczyłam dziś pani matce, że zamierzam zatrudnić prywatnego detektywa, żeby go odzyskać.

– Detektywa? – Oczy panny Verinder zognemniały z niedowierzania, ale jej zaskoczony głos wyraził pewne uznanie. Najwyraźniej nie spodziewała się po mnie podobnego pomysłu. Uznałam, że jako osoba kochająca wszelkie wyzwania, mająca niemal męską żyłkę do przygody, Alice może stać się moim sprzymierzeńcem w trudnej rozgrywce z hrabiną.

– Owszem – potwierdziłam. – Przyrzekłam sobie, że zrobię wszystko, żeby zwrócić pani matce ten naszyjnik. Uważam, że ktoś mógł zechcieć go ukraść.

– Ukraść?! – niemal wykrzyknęła Alice.

Policzki jej się zaróżowiły, usta, które wcześniej mocno wytarła chusteczką, rozchyliły się lekko ze zdumienia.

Opowiedziałam jej o anonimie i o klątwie, w której istnienie nagle uwierzyła Claire. Jedynym, o czym nie odważyłam się wspomnieć, była postać kobiety w długiej sukni, która wyłoniła się wprost z mroku nad potokiem niczym utkane z cieni widmo. Na to wspomnienie przesywał mnie ziąb sięgający szpiku kości.

Panna Verinder słuchała mnie w skupieniu, co jakiś czas wydając zduszone okrzyki zdumienia.

– Proszę nie mieć za złe mojej matce, że spaliła ten okropny list – poprosiła.

– Kiedy nosi się nazwisko Verinder, trzeba zawsze mieć w pamięci to, co mogą pomyśleć o nas ludzie.

– Pani się tym chyba zanadto nie przejmuję – zaryzykowałam szczerą.

Zaśmiała się nerwowo.

– Czyżby? Tak się pani wydaje? Może... – rzekła z zastanowieniem. – A może udaję nawet przed samą sobą... Pewne rzeczy ma się we krwi, czyż nie? – spytała retorycznie. – Nie jestem wprawdzie równie przesądna jak moja matka, ale przestraszyła mnie pani słowami o klątwie... Na pewno pani wie, że stare, cenne klejnoty, jak ów szmaragdowy naszyjnik, przyciągają rozmaite legendy.

– Legendy?

– Tak. Powinna pani zapytać o nie Dextera. – Panna Verinder zawiesiła głos.

– Dextera?

– To jedna z tych jego ekscentrycznych pasji, o których pani wspomniałam. – Alice lekko wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy już to pani odkryła, ale mój brat ma istną obsesję na punkcie dziejów naszej rodziny. Od lat zbiera rozmaite pamiątki, gromadzi dokumenty, starodruki i pamiątniki... Jeżeli z tym naszyjnikiem rzeczywiście wiąże się jakaś opowieść o klątwie, to jestem pewna, że Dexter ją zna.

* * *

Kiedy po długim samotnym spacerze wchodziłam po szerokich dębowych schodach, dobiegł mnie nagle podniesiony głos hrabiego. Zamarłam, czujnie nastawiając uszu. Po chwili w dźwięczącej ciszy ogromnego domu usłyszałam sprężyste kroki Dereka oraz szelest sukni jego matki. Wiedzioną niepohamowanym instynktem, czmychnęłam przez ostatnie kilka stopni w górę i przywarłam plecami do chłodnej ściany. Na dole najwyraźniej toczyła się kłótnia.

– Zastanów się! – zawołała hrabina. – Czy naprawdę chcesz pozwolić, żeby sprofanowano niewinne ciało twojej narzeczonej? Żeby lekarz rozciął Claire niczym belę płótna, szukając śladów trucizny, której nie ma? Zmarli żądają od nas spokoju!

– Ja również! Ja również łaknę tego spokoju, matko! I nie zaznam go,

dopóki się nie dowiem, dlaczego kobieta, z którą miałem spędzić resztę życia, umarła. Muszę to wiedzieć!

– Jeżeli się zgodzisz, to będzie tak, jakbyś przyznawał, że ktoś w tym domu... – Słowa hrabiny zawisły w powietrzu niczym trzepocące nietoperze.

Moje serce zabiło jak oszalałe. Co ona właściwie chciała powiedzieć?!

– Matko! – hrabia zmienił ton, brzmiała w nim teraz bezdenne gorzkość. Wysokie, skowyczące nuty skrzypiały w każdym jego słowie. – Miej nade mną litość! Jeżeli nie chcesz, żeby twój syn oszalał z rozpacz, to nie będziesz sprzeciwiała się autopsji...

Wstrzymałam oddech.

– Dereku, czy ty naprawdę możesz przypuszczać, że śmierć Claire... nie była naturalna?

– Naturalna? – wybrzmiało ciężkie jak ołów westchnienie. – Co to znaczy naturalna? Ja po prostu muszę wiedzieć... Muszę wiedzieć, na co chorowała. Była młoda i pozornie zdrowa. A jednak umarła.

Do oczu nabiegły mi łzy. Powstrzymywałam się, żeby nie pociągnąć nosem i nieopatrznie nie zdradzić swojej obecności.

– Czy do tego nieszczęścia chcesz dołożyć jeszcze piętno skandalu?! – spytała hrabina, tym razem uderzając w surowy ton. Jej głos był chłodny i opanowany, w niczym już nie przypominał uniesienia sprzed paru chwil. – Zastanów się, co pomyślą ci wszyscy ludzie, których zaprosiliśmy na twój ślub. Będą plotkować o autopsji Claire! Czy chcesz, żeby tak ją zapamiętano? Żeby odeszła w atmosferze skandalu i kontrowersji, które do zimy będą rozpalać pokątne, niewybredne dyskusje w Londynie?

– Nic mnie to nie obchodzi! – zawołał nagle hrabia w taki sposób, że cała struchlałam.

Przez kilka upiornie długich sekund zalegała głucha cisza.

– Wybacz, matko – odezwał się Derek. – Ale nie zmienię zdania... – słowa hrabiego zawisły w powietrzu, zaś na zewnątrz zabrzmiało szczekanie psów, turkotanie kół, skrzypienie osi oraz ciche rżenie koni.

Lokaj poinformował, że przyjechał wóz koronera.

* * *

Odziany w brązowy płaszcz koronera był mężczyzną o bladej, kościstej twarzy i ruchliwych dłoniach z ostrymi, spiczastymi paznokciami. Towarzyszył mu doktor Wilkins, lekarz z Farnham, który był przy śmierci Claire. Nie uszło mej uwagi, że *lady Verinder* nie raczyła przywitać się

z doktorem – mimowolnie pomyślałam, że powiadomienie przezeń koronera hrabina uznała za przejaw niewybaczalnej nielojalności.

Po dokonaniu wstępnych oględzin ciała Claire koroner oznajmił, że konieczna będzie autopsja.

– Autopsja?! – powtórzyła hrabina Verinder z oburzeniem pomieszanym z przestachem. – A więc podejrzewa pan, że ktoś mógł...

– Na ten moment powstrzymuję się od wydania opinii, *milady* – przerwał koroner cicho, ale stanowczo. – Za autopsją przemawia młody wiek panny Evans, brak wcześniej zdiagnozowanej choroby oraz nagłość jej zgonu. Jak również, czego nie ukrywam, wysoki status rodziny, do której miała niebawem wejść jako żona hrabiego – wyjaśnił z ukłonem. – To ostateczna przesłanka ku temu, żeby jak najstaranniej zbadać ciało nieboszczki.

– Wysoki status naszej rodziny ma być przesłanką?! – szepnęła oburzona hrabina. – W jaki sposób?! Na jakiej podstawie?!

Koroner już sięgał po kapelusz.

– Gdyby wiedziała pani o śmierci tyle, co ja, nie dziwiłoby to pani wcale. Z mojego doświadczenia wynika, że nagły zgon często idzie w parze z nagłymi pieniędzmi.

– Nic tutaj nie było nagłe, drogi panie! – zachnęła się stara dama. – Na pewno pan słyszał, że ślub mojego syna był planowany od długich miesięcy! Rubryki towarzyskie wszystkich gazet wspominały o tym wielokrotnie.

– Matko... – Hrabia Derek dotknął jej dłoni, ale ona odtrąciła go nerwowo.

– Nie, Dereku! Przecież czekamy na przyjazd pana Jonathana Evansa! Co powie brat twojej narzeczonej, gdy nie zostanie tutaj ciała siostry!? Pomyśl tylko! Panie Black, potrzebujemy więcej czasu.

Hrabia skierował swoje melancholijne spojrzenie na koronera, który wysłuchiwał hrabiny z doskonałą obojętnością, mającą w sobie coś ze spokoju badanych przez niego zmarłych.

– Obawiam się, że moja matka ma rację, panie Black. Czy możemy przesunąć autopsję o jeden dzień? Najbliższą rodziną mojej zmarłej narzeczonej jest jej brat, pan Jonathan Evans. Oczekujemy jego rychłego przyjazdu z Londynu. Zaplanowałam także na wieczór czuwanie...

Koroner powoli skinął głową.

– Rozumiem, *sir*. Uczynię dla pana wyjątek. Ale nie będę mógł zwlekać dłużej. Zjawię się po ciało skoro świt.

– Dziękuję.

– Do zobaczenia, *sir*. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. – Mężczyzna wcisnął kapelusz na kościstą głowę i wyszedł, nie czekając na asystę lokaja.

11. LEGENDA O KLĄTWIE

Tamten straszny dzień po śmierci Claire dłużył mi się w nieskończoność.

Minuty wlekły się jak godziny, a godziny ciężkie od rozmyślań i niepokoju zlewały się ze sobą w coraz bardziej chmurnej aurze dnia. Sądziłam, że nagłe nieszczęście w domu zbliża do siebie jego mieszkańców, zacieśnia rodzinne więzy, przypomina, żeby cenić najbliższych. Ale we Dworze pod Cisami było inaczej. Śmierć Claire, zamiast nas zjednoczyć, stała się przyczyną jakiegoś milczącego rozłamu. Jak gdyby jej odejście naruszyło tajemnicze tabu, którego nikt nie śmiał otwarcie poruszyć... Każdy z domowników pograżył się w żałobie na swój sposób, zaszył się u siebie i odseparował od pozostałych. Hrabina Verinder zamknęła się w gabinecie w towarzystwie dwójki służących, żeby dyktować telegramy i pisać listy odwołujące zaproszenia na ślubne przyjęcie. Panna Alice swoim zwyczajem wymknęła się na konną przejażdżkę. Po południu załamany hrabia Derek znów tkwił w pokoju martwej narzeczonej, a *monsieur* Dubois siedział w jadalni z otwartą butelką brandy...

Podeszłam do niego na chwilę, żeby się przywitać. Siwobrody staruszek o lekko zaczerwienionych policzkach wymamrotał krótkie kondolencje, po czym wychylił kieliszek ku pamięci nieboszczki. Widziałam, że jest lekko podchmielony – jego oczy pod krzaczastymi brwiami lśniły w niezwykle sposób.

– To na nowo rozstawi moje imię... – mruknął nagle bełkotliwie, bardziej do siebie samego niż do mnie.

– Co takiego? – spytałam, nie rozumiawszy od razu.

Stary malarz zamrugnął i spojrzał na mnie z większą uwagą. Mimo wady słuchu domyślił się, o co pytam.

– To rozstawi moje imię – powtórzył głośniejszym ochrypłym głosem. – Śmierć panny Evans. Mam w tej kwestii długie doświadczenie... W oczach publiczności nic tak nie podnosi wartości dzieła jak zgon jego twórcy lub modela. Słyszała panienka o Holendrze nazwiskiem van Gogh? Nie? Zabił się kilka lat temu... Wprawdzie za życia sprzedał tylko jeden obraz, ale teraz

wróżę jego pracom wielką przyszłość!

Lekko się wzdygnęłam. *Monsieur Dubois* zakołysał w dłoni swój kieliszek i zapatrzył się w migoczącą na dnie resztkę brandy niczym alchemik w bryłkę roztopionego złota.

– Portret udał mi się wspaniale, naprawdę wspaniale... Wie pani, jak go zatytułuję?

Potrząsnęłam głową.

– *Dama ze szmaragdami*. To nawiązanie do Leonarda, rozumie panienka? Oglądałem go dzisiaj. To niebywałe... Panna Evans miała iście tycjanowskie włosy! I nie chodzi mi tylko o kolor... Jej włosy naprawdę były godne pędzla samego Tycjana! A ja... Nie doceniałem własnego talentu! Te ręce – wzniósł jedną ze swych pomarszczonych, drżących dłoni – nadal kryją w sobie dawny dar.

– Nie wątpię – odparłam z powagą i dygnęłam głęboko. Nieprzyjemnie podziałały na mnie jego słowa. – Do zobaczenia później, panie Dubois.

Wszyscy mieliśmy spotkać się późnym wieczorem na czuwaniu przy zmarłej. Wyczekiwałam tej chwili z trwogą, ale i z niecierpliwością – pewnie dlatego, że nagle poczułam się w tym olbrzymim, cichym domu całkowicie zbędna. Pomyślałam, że we Dworze pod Cisami znajduje się jeszcze jedna osoba, której doskwiera podobna do mojej samotność. Pod wpływem tej myśli, a może i pod wpływem rozmowy z panną Alice, udałam się do zamkowej galerii portretów. Za oknami świat bladł i błękitniał – zaczynało zmierzchać...

Chwilę kluczyłam splątanymi korytarzami, ale w końcu odnalazłam właściwą drogę. Podłużna sala o kasetonowym stropie ukazała mi się w całej krasie. Przez ostrołukowe okna po zachodniej stronie wśliznęło się kilka promieni zachodzącego słońca, które wychynęło na moment zza ciemnej łąwy chmur i muskało twarze dam na płótnach. Słońce nie dosięgało jednak stojącego po drugiej stronie sali kontemplującego portrety Dextera Verindera.

– Panno Madeline. – Mężczyzna skłonił się głęboko. Z przykrością zauważyłam, że starał się uczynić to z gracją, ale krzywizna pleców i sterczący nad barkami garb całkowicie zepsuły efekt, zmieniając elegancki gest w groteskowy podryg. Dexter skrzywił się lekko, a ja dygnęłam.

– Przypuszczałam, że tutaj pana znajdę – powiedziałam.

– A więc szukała mnie pani?

– Owszem. Chciałam... chciałam jeszcze raz panu podziękować za to, co pan dla mnie zrobił.

– Już pani podziękowała.

– Tak, ale... To pierwsze podziękowanie... nie było najlepsze. Chciałam

przeprosić pana za moje poranne zachowanie. Wyciągnął mnie pan z potoku, a ja na pana naskoczyłam. Proszę mi wybaczyć.

– Nie żywię urazy. To naturalne, że nikomu tu pani nie ufa.

Ze zdumienia lekko rozchyliłam usta. Co on właściwie chciał przez to powiedzieć?

– Naturalne? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Ależ tak – odparł dość nonszalancko. – W końcu podejrzewa pani, że któraś z osób przebywających w tym domu napisała anonim, w którym groziła pani przyjaciółce. Czyż nie mam racji?

– Tak, ale... – Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Na moment zapragnęłam zmienić temat. – Będzie pan na dzisiejszym czuwaniu przy zmarłej? – spytałam, gdyż nie przyszło mi do głowy nic lepszego.

Różnobarwne oczy Dextera Verindera łypnęły ku mnie z dziwnym błyskiem.

– Oczywiście. Chyba nie ma mnie pani za aż takiego potwora, żebym nie zjawił się w podobnej chwili u boku brata.

– Potwora?! – szepnęłam, marszcząc brwi. – Jak pan może tak mówić?! Ani przez chwilę nie miałam pana za potwora!

– Więc nie lęka się mnie pani i nie brzydzi mną?

– Jakżebym mogła? Jest pan wyraźnie przewrażliwiony na własnym punkcie!

Dexter chyba mi uwierzył. Mój szczery protest widocznie sprawił, że z jego serca opadł jakiś ciężar.

– Możliwe... – przyznał. – Jak prawie każdy kaleka, który nie godzi się ze swym niedołęstwem. Proszę o wybaczenie. – Westchnął głęboko. – Widziałem przez okno, jak rozmawiała pani z Alice. Sądziłem, że moja siostra już zdążyła naopowiadać pani najróżniejszych bredni na mój temat. Tak samo straszyla biedną Claire. Ostrzegała ją przede mną. Wymyślała najróżniejsze historie...

– Dlaczego? – spytałam z niedowierzaniem. – Dlaczego Alice miałaby pana oczerniać?

Dexter Verinder spojrzął mi prosto w oczy. Słońce znikło znów za chmurami. Cień rozlał się po galerii portretów. Mężczyzna sięgnął po stojącą w lichterzu płonąca świecę i przesuwając się wzdłuż ściany niczym pełznący po niej wielki, ranny owad, zaczął rozpalać rozmieszczone tam kandelabry.

– Niech jej pani o to spyta – odpowiedział po dłuższej chwili. – Od dzieciństwa zabawiała się moim kosztem. Nigdy nie wyzbyła się bezmyślnego okrucieństwa rozpieszczonego dziecka. Dla Alice wszystko jest

grą, panno Madeline. A ona uwielbia wygrywać. Jeśli akurat nie ściga się konno albo nie uczestniczy w partii szachów, jej pionkami stają się ludzie. A ja jestem jej ulubionym celem. Uwielbia odbierać mi tych, na których mi zależy. Zauważyła, że panią polubiłem. Dlatego zaprosiła panią na przejażdżkę i dlatego...

– Dlatego odebrał mnie pan ze stacji kolejowej, przywdziawszy przebranie?
– przerwałam cicho pod wpływem impulsu.

– Tak – odparł nieoczekiwanie, spoglądając mi w oczy. – Byłem pani ciekaw. I chciałem poznać panią, zanim zrobi to Alice. Zobaczyć panią bez otoczki konwenansów, która na co dzień stępią nasze charaktery. Na chwilę chciałem ukryć to, kim tutaj, zgodnie ze społecznym rytym, jestem...

Szczerłość jego słów głęboko mnie poruszyła. W gardle poczułam grudkę goryczy. Przełknęłam ślinę, próbując się jej pozbyć.

– Jest pan niesprawiedliwy względem Alice – oświadczyłam cicho. – Nie wiem, jakie były relacje między wami, ale dziś wcale pana nie oczerniała. Wręcz przeciwnie. Przyznała, że mimo swoich wad zawsze był pan odważnym człowiekiem.

– Odważnym? – Dexter uniósł brwi.

– Owszem.

Zdało się, że mi nie dowierza. A raczej nie dowierza dobrym intencjom swej siostry.

– Nie mówiła o mnie nic więcej?

– Cóż... – Po moim kręgosłupie przemknął zaledwie wyczuwalny dreszcz. – Powiedziała mi, że zabrał pan ludzką czaszkę, o której wspomniałam panu rano. A także że zna pan legendę o klątwie szmaragdowego naszyjnika.

– A więc jednak! – Kącik ust Dextera wygiął się w ironicznym uśmiešku. Uniósł swoje nieproporcjonalnie długie ręce w geście poddania. – Nadal jestem pani podejrzanym numer jeden, prawda? W nocy zjawiłem się tam, gdzie powinienem, a na dodatek mogę wiedzieć coś o klątwie! Może to ja jednak podrzuciłem ten anonim? – Ironiczny grymas nie zniknął z męskiej twarzy.

Poczułam, że moje policzki pąsowieją.

– Nic takiego nie powiedziałam!

– Ale pani pomyślała, prawda? A Alice sprytnie podsunęła pani ten trop...

– Na pewno nie miała zamiaru pana oskarżyć!

– Jest pani bardzo łatwowierna, Madeline. – Przygarbiony brat hrabiego potrząsnął głową ze smutkiem. – Ale Alice ma rację. Znam pewną legendę. Bardzo chciałaby ją pani poznać, prawda?

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową.

– Błagam pana o jej wyjawienie. Próbuję pojąć, co się tutaj wydarzyło. Każda informacja, każda próba wyjaśnienia jest dla mnie niezwykle cenna!

Dexter Verinder sięgnął po opartą o ścianę laskę, a potem nagle ujął mnie za rękę.

– Uczynię wszystko, o co pani poprosi – zapewnił. – Chociaż wątpię, czy ta historia w czymś pani pomoże... ale może uciszy pani ciekawość. Proszę za mną – rzekł, po czym pociągnął mnie za sobą.

* * *

Zmierzch zapadał nadzwyczaj szybko z powodu napływających z wiatrem od wzgórz deszczowych chmur. Kiedy razem z Dexterem Verinderem wkroczyłam do jego prywatnej biblioteki w zakamarkach zamkowego skrzydła, na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno.

– To moje własne królestwo – rzekł cicho towarzyszący mi mężczyzna, po czym zaczął rozpalać więcej świec.

W rozproszonej łunie lamp naftowych poprzetykanej drżącymi błyskami kandelabrow rozglądałam się wokół z narastającą fascynacją. Wysokie regały z litego dębu podtrzymywały rzeźbione w drewnie kariatydy, zadumane w półśmiechach niczym sfinksy. W powietrzu wisiała jakaś tajemnica... a może był to po prostu zapach książek – jedyne w swoim rodzaju połączenie woni papieru, skóry, drewna, tuszu oraz ledwie dostrzegalnej, ulotnej warstewki srebrzystego kurzu. Wzdłuż najdłuższej ściany pomieszczenia rozmieszczono przeszklone gabloty i gablotki. Mieściły one rozbudowane kolekcje minerałów, skamielin, owadów, przyszpilonych do papieru motyli oraz zasuszonych roślin. Pomyślałam, że świadczą nie tylko o licznych zainteresowaniach i o metodycznym umyśle mojego rozmówcy, lecz również o jego rozpaczliwej walce z nudą – a może raczej z dokuczliwą samotnością, której nuda bywa najbardziej przykrą częścią.

Lekko się wzdygnęłam. Kolejne gabloty eksponowały opatrzone miedzianymi tabliczkami odlewy głów słynnych morderców. Część odlewów wykonano z gipsu, część z wosku – niczym w londyńskim Muzeum Madame Tussaud. Towarzyszące im ilustracje oraz skomplikowane ryciny ukazywały różne typy ukształtowania ludzkich czaszek oraz odmiany rysów twarzy. Przypisywały im, niczym w słynnych bajkach Ezopa, których wymowy w pełni nie pojmowałam w dzieciństwie, podobieństwo do rozmaitych gatunków zwierząt...

– Co to takiego?! – zapytałam, zarazem zafascynowana i przestraszona.

– Proszę się nie lękać – uspokoił mnie Dexter. – Powinienem był wspomnieć pani, że interesuję się fizjonomiką...

– Fizjonomiką? – powtórzyłam niczym echo, czując, jak prędko uderza mi serce.

– Owszem. Czyżby pani o niej nie słyszała? Zdawało mi się, że na londyńskich salonach zabawa w odgadywanie cech charakteru człowieka na podstawie jego indywidualnych rysów stała się popularną rozrywką – oznajmił Dexter nie bez krzty wyczuwalnej ironii.

– Doprawdy? – Lekko uniosłam brwi. – Zdawało mi się, że wygląd może być bardzo mylący.

Dexter skinął głową.

– Z jednej strony ma pani rację, ale z drugiej... trzeba po prostu wiedzieć, gdzie patrzeć, Madeline. Fizjonomika, badanie cech czaszki, twarzy, dłoni i postury człowieka, stanowi poważaną dziedzinę antropologii. Słyszała pani o Cesarem Lombroso i o jego badaniach nad przestępcami? W swoich książkach włoski lekarz wyjaśnia, że jego zdaniem u przestępców ujawniają się cechy atawistyczne, odziedziczone po najodleglejszych przodkach... Bliżej im do bestii niż do ludzi. Stąd wrodzona skłonność niektórych jednostek do czynienia zła.

– Zgadza się pan z tym podejściem? – Znowu uniosłam brwi. – A co z wolną wolą? Czy jest pan w stanie zgodzić się ze stwierdzeniem, że wygląd człowieka determinuje jego los?

Dexter Verinder spoważniał.

– Pyta o to pani najwłaściwszą osobę. Jako kaleka muszę stwierdzić, że nasza fizjonomia wpływa na nas dalece bardziej, niż pani przypuszcza... – popatrzył na mnie uważnie. – Ale pani nie może tego wiedzieć, ponieważ jest pani piękna.

Ostatnie słowa wypowiedział w ten sposób, że musiałam spuścić wzrok, odrobinę zmieszana.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Mówię prawdę.

Dexter podszedł do mnie o krok i nieoczekiwanie wyciągnął rękę, jak gdyby zapragnął dotknąć mojej twarzy. Jego palce, choć powykręcane jak u starca, delikatnie musnęły pasmo mych włosów, które wysunęło się z koka. Zamarłam w bezruchu, zarazem oburzona i kompletnie zaskoczona tą nagłą poufałością.

– Mówię prawdę – powtórzył, a ja lekko drgnęłam na myśl, iż ocenia mnie teraz niczym jeden z ciekawych okazów w swojej kolekcji. – Te ciemne, niesforne włosy połyskują jak jedwab. Duże brązowe oczy i wdzięczna linia

szyi... Jest pani piękną kobietą, Madeline.

Odchrząknęłam i delikatnie się odsunęłam.

– Czy jest to pana prywatna opinia, czy też mówi pan jako znawca fizjonomiki? – Uśmiechnęłam się, próbując obrócić tę sytuację w żart.

– I tak, i tak – zapewnił. On również się odsunął i wskazał na dolny rząd modeli czaszek w gablocie. – Z powodu mojego wyglądu niegdyś miałem jeszcze mniej okazji do zawierania znajomości z obcymi niż teraz... Zainteresowałem się fizjonomiką, kiedy wpadłem na pomysł, że skoro trudno mi poznawać licznych ludzi osobiście, mogę przynajmniej zagłębić się w ich wnętrze, analizując ich wygląd. Gesty, drobne tiki, nieuświadomione odruchy... To wszystko jest widowym odbiciem naszej psychiki, Madeline.

Skinęłam głową.

– Rozumiem pobudki, jakie panem kierowały. I z pewnością częściowo ma pan rację... ale przecież bogactwa naszych przeżyć i myśli nie da się streścić w rysach twarzy. To tak, jakby zamiast przeczytać książkę, przejrzał pan tylko niektóre jej urywki. Pana osąd nie mógłby być pełny.

– Podoba mi się pani porównanie do książki.

Na moment zapadła między nami cisza.

– Przeprowadziłem panią tutaj, żeby w pierwszej kolejności wyjaśnić, czemu zainteresowałem się czaszką, którą wczoraj pani odkryła. Nie chciałbym wyjść w pani oczach na pozbawionego skrupułów szaleńca, który rozkopuje stare groby.

– Więc pan uważa, że to miejsce w ogrodzie to był grób?

– Najprawdopodobniej. Wydobyłem z niego czaszkę i niemal kompletny szkielet. Oczywiście zapewniam, że docelowo spoczną na cmentarzu. Chce je pani zobaczyć?

Dexter dostrzegł głębokie wahanie w moich oczach. Skinął głową na znak, że rozumie.

– Miał mi pan opowiedzieć o klątwie szmaragdowego naszyjnika – przypomniałam, pragnąc zmienić temat.

– W istocie... Nie zapomniałem o tym. – Skinął głową. – Ze szmaragdami wiąże się wiele legend. Wszystko przez ich rzadki zielony kolor. Czy wiedziała pani, że jeden z największych znanych w świecie szmaragdów nosi nazwę Devonshire? Należał do szóstego księcia Devonshire, *sir Williama Cavendisha*. Ale nawet on nie kryje za sobą równie niezwykłej legendy jak szmaragdy rodu Verinderów...

Kuśtykający mężczyzna zaprowadził mnie do ogromnego rzeźbionego stołu i rozpostarł przede mną kartę z zagmatwanym rysunkiem drzewa genealogicznego jego rodziny. Wskazał jedno z imion swoich odległych

przodków.

– Czy mówi pani coś nazwisko John Dee?

Zmarszczyłam brwi, poszukując w głowie odpowiedzi. Nazwisko nie brzmiało całkiem obco, ale nie potrafiłam skojarzyć z nim nikogo konkretnego. Przecząco potrząsnęłam głową.

– Nie znajdzie go pani w gronie mych dostojnych przodków. Ale z pewnych starych zapisków wiem, że Dee przyjaźnił się z jednym z nich. John Dee był wprawdzie synem kupca, ale dzięki swojej inteligencji i wybitnym zdolnościom szybko zyskał na znaczeniu. Poświęcił się jednak tym dziedzinom wiedzy, które dziś wydają się nam podejrzane. Prócz matematyki, geografii i astronomii interesowały go okultyzm i alchemia.

– Alchemia? Ma pan na myśli te wszystkie tajemnicze mikstury oraz próbę przemiany ołowiu w złoto?

Dexter Verinder uśmiechnął się szeroko. Ów uśmiech obnażył w jego twarzy coś drapieżnego – coś, co w połączeniu ze zgarbioną sylwetką i kuśtykającym chodem upodobiło go do przyczajonego sępa.

– Sama pani widzi. Podejrzane, prawda? A jednak na dworze królowej Elżbiety I zarówno alchemia, jak i wiedza tajemna cieszyły się dużym uznaniem. John Dee stał się jednym z najbliższych współpracowników królowej. Podobno to on wymyślił nawet nazwę „imperium brytyjskie”. Da pani temu wiarę?

Potrząsnęłam głową.

– Ale co wiąże go ze szmaragdowym naszyjnikiem? – zapytałam.

Mężczyzna odetchnął głęboko i na chwilę złożył dłonie w piramidkę. Widocznie szukał najwłaściwszych słów.

– Żeby to pani należycie wyjaśnić, muszę na wstępie powiedzieć kilka słów o wierze w moc wiedzy tajemnej. W tamtych czasach, które dziś wydają się nam zamierzchłe, wyznawano ją nie tylko w Anglii, lecz w całej ówczesnej Europie. Alchemicy bywali doradcami królów i osobistościami wielce poważanymi na dworach. Alchemią parali się papieże, książęta i szlachta, w tym moi skromni przodkowie... Ale do rzeczy! Zwolennicy alchemii uważali, że korzenie ich sekretnej sztuki sięgają starożytnego Egiptu. To tam, według legendy, w cieniu wielkich piramid działał przed wiekami na wpół mityczny Hermes Trismegistos. Kim był właściwie? Natchnionym mędrcom? Wcieleniem jednego z egipskich bożków? A może po prostu zręcznym oszustem? Trudno powiedzieć. Zresztą dla mojej opowieści istotne jest wyłącznie to, że ów prekursor alchemicznej sztuki zostawił swym uczniom przepis na uzyskanie kamienia filozoficznego. Zapisał go, a dokładniej wyrył na olbrzymim bloku szmaragdu. Blok ów, tak samo jak wyryty na nim tekst,

nazwano Tablicą Szmaragdową.

Dexter uczynił niewielką pauzę, jak gdyby pragnął ocenić, jakie wrażenie wywarła na mnie ta przemowa. Chyba był zadowolony z efektu, który uzyskał, gdyż po chwili kontynuował z większą emfazą.

– Tablica Szmaragdowa zaginęła, a może raczej została przez kogoś ukryta, żeby chronić zawarte w niej sekrety... Wielu dawnych podróżników poszukiwało jej jako jednego z cudownych, na wpół baśniowych skarbów starożytności. I tu zaczyna się ta część opowieści, która najbardziej panią interesuje. Według niektórych podań w szesnastym wieku odnalazł ją nadworny alchemik angielskiej królowej – John Dee...

– Tablica Szmaragdowa trafiła do Anglii?

– Tak twierdzi legenda.

– Co jeszcze twierdzi? – zapytałam odrobinę niecierpliwie.

– John Dee długo próbował wydrzeć Tablicy jej sekret. Wryty w szmaragdowym bloku przepis na uzyskanie kamienia filozoficznego składał się bowiem z samych metafor, anagramów i zagadek. Badania całkiem pochłonęły naszego alchemika, odciągając go coraz bardziej od spraw dworu. Jego wrogowie zaczęli rozpowiadać, że Dee para się czarną magią i że zawarł pakt z Księciem Ciemności. W międzyczasie, w tysiąc sześćset trzecim roku zmarła w Richmond królowa Elżbieta. Pozbawiony jej protekcji uczony stał się celem bezlitosnych ataków. Wygnano go z dworu, jego dom splądrowano, a ogromną bibliotekę, która liczyła kilka tysięcy starych ksiąg, z inspiracji duchownych spalili zabobonni chłopci. Johnowi Dee udało się jednak ocalić Tablicę Szmaragdową. Uczony, który lękał się o swoje życie, oddał Tablicę na przechowanie bliskiemu przyjacielowi, Jamesowi Verinderowi. Nie muszę dodawać, że ten ostatni należy do długiego pocztu przodków mej rodziny...

W miarę rozwoju opowieści rosło we mnie napięcie. Gdzieś w ciszy między słowami przeczuwałam zaskakujący, tragiczny finał.

– Co zrobił z Tablicą Szmaragdową pański przodek?

– Cóż... Nie był on alchemikiem. Starał się być natomiast lojalnym przyjacielem i jak najlepiej spełnić powierzone mu zadanie ukrycia szmaragdowego bloku. Niestety wykazał się pewną nadgorliwością... – Dexter spojrzał mi prosto w oczy. – Uznał, że łatwiej będzie mu chronić skarb Johna Dee, a jednocześnie zwiększyć wartość klejnotu (która i tak była już niebotyczna!), jeśli każe pociąć blok na mniejsze kawałki i starannie je oszlifować. Wcale nie przejął się wrytą w bloku inskrypcją.

Poczułam, że ramiona pokryły mi się gęsią skórą. Splotłam ręce i przycisnęłam je do ciała.

- Więc szmaragdy w naszyjniku, który hrabina podarowała Claire...
- Według legendy stanowią części Tablicy Szmaragdowej.
- Pański przodek nie oddał ich Johnowi Dee?
- Cóż... Sprawa nie jest do końca jasna. Ale z pewnością może sobie pani wyobrazić, jak zareagował słynny alchemik na wieść, że klucz do dzieła jego życia został pocięty i wygładzony przez szlifierza, który usunął przy tym wszelkie ślady inskrypcji. To wówczas John Dee rzucił przekleństwo na szmaragdy i na wszystkich, którzy wejdą w ich posiadanie. Zmarł niedługo później, podobno w wielkiej biedzie – zakończył Dexter Verinder niezwykle ponurym tonem.

Czułam, że serce bije mi mocniej.

- Istnieją inne przeklęte szmaragdy prócz tych w naszyjniku?
- Jeżeli wierzyć legendzie, owszem. Ale w posiadaniu rodziny Verinderów do naszych czasów zachował się tylko naszyjnik. – Mężczyzna zmrużył oczy z dziwnym błyskiem. – Lub raczej: zachował się, dopóki go pani nie zgubiła...

12. DUCHY PRZESZŁOŚCI

Ostatnie słowa Dextera wybrzmiały w ciszy wielkiej biblioteki na poły współczująco, a na poły oskarżycielsko. Tak, to ja przyczyniłam się do tego, że naszyjnik ze szmaragdami przepadł. Lecz jeżeli w legendzie o klątwie było ziarno prawdy, to może wcale nie powinnam tego żałować?

Na zewnątrz zapadła noc, w kominie cicho świstał wiatr, a z przeszklonych gablot przypatrywały mi się gipsowe głowy, woskowe odlewy twarzy słynnych morderców i popiersia zmarłych członków rodu Verinderów... W tej niezwyklej scenerii oraz w stanie ducha, w jakim się obecnie znajdowałam, byłam bliska tego, by uwierzyć, że klątwa szmaragdowego naszyjnika jest prawdziwa. Oczyma wyobraźni niemal widziałam żyjącego trzysta lat wcześniej szalonego alchemika, który w rozpaczach rzucał na bliźnich swoje przekleństwo.

– Czy istnieją jakieś fakty mogące świadczyć o tym, że ta klątwa... działa?

– Pyta pani, czy kogoś dosięgło przekleństwo? – Różnobarwne oczy Dextera błysnęły w półmroku. – Cóż, nie opowiedziałem pani drugiej części tej legendy...

– A więc jest druga część?

– Przekleństwo Johna Dee to dopiero początek – oznajmił mężczyzna. – Zgodnie z opowieściami, które krążyły w mojej rodzinie, zapoczątkowało ono serię tajemniczych zgonów młodych kobiet z rodu Verinderów. Pierwszą z nich była żona mego osławionego przodka, Jamesa Verindera. Kolejną zaś jego córka. Opowieść mówi, że zarówno jedna, jak i druga przed śmiercią nosiły naszyjnik ze szmaragdami. Później co jakiś czas kolejne damy tytułowane *lady* Verinder dość młodo żegnały się z tym światem. Ostatni wypadek z udziałem naszyjnika wydarzył się jakieś sto lat temu... nad rzeką przepływającą przez te ogrody. – Dexter Verinder wymownie zawiesił głos. Popatrzyliśmy sobie w oczy. – Ofiarą była moja prababka.

Nagle powietrze rozdarła błyskawica. Okienne szyby w jednej chwili zaperliły się od kropel deszczu, po czym ozwał się złowrogi pomruk gromu. Na zewnątrz nad wzgórzami zaczęła przewalać się jeszcze jedna

z gwałtownych, wiosennych burz, które kończyły panowanie zimy.

– Nazywała się Deidre Verinder. Była młoda i niezwykle piękna, i jak już pani może się domyślać po tym, co powiedziałem o koligacjach małżeńskich w tej rodzinie, blisko spokrewniona ze swoim mężem, który był zarazem jej kuzynem. – Słowa Dextera popłynęły w przestrzeń razem ze zsuwającymi się z nocnego nieba biczami deszczu, które zaczęły chłostać okna i dachy monumentalnego domostwa. – Po ślubie z nim początkowo była zapewne szczęśliwa, zwłaszcza kiedy, jak przystało na żonę hrabiego, zaszła w ciążę, żeby urodzić dziedzica. To wówczas otrzymała od swego męża drogocenny naszyjnik ze szmaragdami. Jej radość nie trwała długo. Dziecko, które wydała na świat, okazało się obciążone wadami wynikłymi z bezlitosnych praw dziedziczenia.

– Dziecko było chore? – spytałam, a w mojej piersi zrodził się niemal fizyczny ból.

– Nie opisano dokładnie rodzaju choroby. – Dexter pokręcił głową. – Niemowlę umarło tuż po urodzeniu. Przyszło na świat kompletnie zdeformowane. Jego kręgosłup przyjął dziwny, nieludzki kształt. Sto lat temu ludzie, nawet wykształceni, byli jeszcze bardziej zabobonni niż dziś, panno Madeline. Niektórzy zaczęli oskarżać piękną Deidre o czary. Mówili, że jej zmarłe dziecko było nasieniem diabła.

Zadrżałam. Słowa ranią, zabijają niczym nóż albo jak tocząca nas choroba. Niektóre zapadają nam w pamięć, żeby latami wnikać w naszą duszę i zatruwać ją niewidzialną zgnilizną...

– Co się stało z Deidre? – wyszeptałam.

Dexter na moment zatopił wzrok w czarnej jamie zamkowego okna.

– Utopiła się w rzece opodal zamku. Prawdopodobnie to było samobójstwo. Tak czy inaczej jako domniemanej samobójczyni oraz kobiecie oskarżanej o czary nie przysługiwał jej pochówek w poświęconej ziemi.

– Więc pochowano ją w tutejszym ogrodzie... – wyszeptałam.

Spojrzenie Dextera potwierdziło moje przypuszczenia i dosłownie zmroziło mnie w środku.

– Miejsce jej pochówku jest nieznane – sprecyzował młody mężczyzna.

Pokręciłam głową.

– Myli się pan.

– Co ma pani na myśli?

– Pochowano ją nad rzeką, tam gdzie zginęła. – Uniosłam wzrok i spojrzałam mu prosto w oczy. – Pod starym, ponad stuletnim drzewem. Przypadkowo odkryłam na jego pniu wyryte inicjały: D.V.

– Deidre Verinder... – powiedział Dexter z błyskiem w różnobarwnych

oczach. – Wiedziałem! Po analizie fizjonomicznej budowy czaszki przeczuwałem, że należała do młodej kobiety z mego rodu. To niebywałe odkrycie, panno Hyde! Znalazła pani szczątki „damy w zieleni”.

– „Damy w zieleni”? – powtórzyłam zmartwiałym głosem. – Tak ją nazywano?

Dexter poszukał wzrokiem laski. Podałam mu ją, a on się na niej oparł, częściowo przenosząc ciężar pokracznego ciała.

– Każdy szanujący się zamek, szczególnie tak stary jak ten, ma opowieść o nawiedzającym go duchu, prawda? Podobno Deidre ukazała się w okolicy parokrotnie po swojej śmierci. Zjawa zawsze miała na sobie zieloną suknię, którą moja prababka prezentuje na obrazie w galerii portretów razem ze szmaragdowym naszyjnikiem.

Jakiś dreszcz pochodzący z wnętrza mojego ciała spłynął mi po karku niczym strużka rtęci ze stłuczonego termometru...

Zjawa w zielonej sukni!

A więc to ją zobaczyłam pośród burzowej nocy obok miejsca, gdzie pochowano jej ciało. Przypomniałam sobie oślepiające błyskawice, które obrysowywały kobiecą postać swoją wręcz nierealną zimną poświatą... Były jak świetliste pęknięcia w czarnym murze nieba, który oddzielał dwa istniejące obok siebie światy. A ja już raz otarłam się o ich cienką granicę, której nie powinno się przekraczać.

Zrobiło mi się tak zimno, że poczułam, jak dygoczę.

– Panno Madeline...

Kolejny grzmot przywołał mnie do rzeczywistości. Nerwowo zerknęłam na kieszonkowy zegarek na łańcuszku. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno! Słuchając Dextera, kompletnie straciłam poczucie czasu.

– Dobiega dziewiąta – stwierdziłam nie swoim, ochrypłym głosem. – Powinniśmy udać się na czuwanie przy zmarłej.

– Oczywiście. Zatem chodźmy. – Mój towarzysz skinął głową.

Już nie poruszył tematu legend i duchów.

Znów przemierzałam labirynt zamkowych korytarzy, zdając się przy tym niemal całkowicie na mojego przewodnika. Oboje milczeliśmy, pogrążeni w chmurnych myślach.

Kiedy dotarliśmy do głównego holu, skąd szerokie schody wiodły na piętro, stojący w kącie zegar z kurantem zaczął wybijać dziewiątą. Nagle rozległo się głośne kołatanie do drzwi. Zabrzmiało tak, jak gdyby kołatka w formie ciężkiej wilczej głowy ożyła i zaczęła wściekle kłapać mosiężnym pyskiem.

– Kto to może być? – zdziwił się Dexter Verinder.

W pobliżu nie było żadnego lokaja ani pokojówki. Zapewne służba udała się już na górę, żeby przez chwilę oddać pośmiertny hołd narzeczonej hrabiego.

Kołatanie powtórzyło się, jeszcze bardziej natarczywe. Zawtórowało mu przeciągłe zawrodozenie wiatru – niczym skowyczące wycie mosiężnego wilka, który za wszelką cenę pragnął wyrwać się z więzących go wrót na wolność. Dexter otworzył drzwi i do środka wdarł się zimny poddmuch mokrego powietrza. Zmrużyłam oczy, czując na twarzy pojedyncze krople deszczu.

Za progiem zamajaczyła skąpana w mroku sylwetka mężczyzny z postawionym kołnierzem płaszcza. Jedną ręką nieznajomy przytrzymywał na głowie cylinder. Nagle błyskawica rozświetliła ciemności nocy i jej blask prędko wyrzeźbił czyjaś twarz – niczym spadające z nieba srebrne dłuto.

To była twarz Gabriela Ackroyda.

Ujrzałam ją jak mignięcie, urywkowe lśnienie, a jednak przeszył mnie gwałtowny dreszcz – dreszcz, który poruszył każdą komórką mojego ciała. Krew gwałtownie odpłynęła mi z twarzy, jakby na moją pierś runął od wewnątrz gorący wodospad.

Mocno zacisnęłam powieki, słysząc teraz już wyłącznie kołatanie własnego serca. Obraz mężczyzny utkwiał pod moimi powiekami niczym wyrazista czarno-biała fotografia. Nadal go widziałam, mimo zamkniętych oczu – tak wyraźnie, jakby wcale nie był snem.

Szlachetne rysy, mocno zarysowany podbródek, ciemne kędzierzawe włosy i oczy – jeszcze ciemniejsze od włosów, głębokie jak sama noc... Oczy o smutnym i poważnym wejrzeniu.

Potrząsnęłam głową, próbując odegnąć natarczywe, wręcz bolesne złudzenie.

Znowu uniosłam powieki.

Był tam nadal.

Jego czarny płaszcz ociekał deszczem. Patrzył na mnie, uniósł dłoń i powoli zdjął atłasowy cylinder. Teraz całkiem wynurzył się z cienia.

W świetle lampy złudzenie zaczęło się rozplýwać, zmieniając się w łudzące podobieństwo.

Podobieństwo tego człowieka do mężczyzny, którego kiedyś kochałam.

– Madeline? – zapytał przybysz z wahaniem, skonsternowany wyrazem mej twarzy.

Gardło miałam zbyt ściśnięte, by mu odpowiedzieć, ale zrobił to za mnie ktoś inny.

– Jonathanie! – dobiegł zza moich pleców wysoki głos.

Odwrociłam się odruchowo.

Panna Alice stała u szczytu szerokich schodów przypominających wyrzezaną w drewnie kaskadę. W świetle kryształowego żyrandola jej twarz wydała mi się trupio blada. Rysy stały się cienkie i ostre – oblicze dziewczyny przypominało chłodną maskę. Nagle odcisnął się na niej bolesny grymas.

Alice przycisnęła dłoń do piersi, jęknęła i gwałtownie się zachwiała. W następnej sekundzie runęła ze schodów niczym ogrodowa nimfa z białego marmuru – zastygła w pełnej gracji tanecznej pozie, lecz niezdolna do żadnego ruchu.

Ja również nie byłam w stanie się poruszyć. Moim gardłem szarpnął świdrujący krzyk. Obserwowałam jak w zwolnionym tempie, jak spowita w ciemną suknię piękna dziewczyna uderza o kolejne stopnie i wiruje w chaotycznym rytmie. Lśniący materiał owijał się wokół jej nóg, jak gdyby zmieniał je w rybi ogon. Alice Verinder przypominała wyrzuconą z wody rybę, która bezsilnie wiła się i skakała po brzegu, walcząc o życie – a rytmiczne plaśnięcia ciała o kolejne stopnie tylko pogłębiały to wrażenie.

Jonathan Evans i Dexter Verinder rzucili się jej na ratunek. Jonathan zareagował odrobinę szybciej – pewnie dlatego, że stał naprzeciwko Alice, a imię, które wypowiedziała tuż przed upadkiem, skupiło jego uwagę. Brat Claire dopadł zamkowych schodów i jakimś cudem przechwycił bezsilną Alice w około jednej trzeciej ich wysokości. Sam przy tym zsunął się o dwa stopnie – Dexter, który był tuż za nim, powstrzymał go przed dalszym upadkiem.

To wszystko trwało zapewne parę sekund, lecz dla mnie przeciągało się w nieskończoność. Przestałam krzyczeć, kiedy u szczytu schodów zjawili się, zaalarmowani hałasami, hrabia Derek oraz jego matka. Zaczęła też zbiegać się służba.

- Alice!!!
- Spadła ze schodów!
- Jak to się stało?!
- Straciła równowagę!
- Oddycha?! Czy moja córka oddycha?!
- Jest nieprzytomna! – stwierdził Jonathan, odnalazłszy ślad pulsu na szyi Alice.

- Trzeba sprawdzić, czy kości są całe!

Po krótkich, nerwowych oględzinach Jonathan wziął Alice na rękę, żeby zanieść ją do jej pokoju. Wiotkie ciało panny Verinder przelewało mu się przez ramiona. W milczeniu kroczyłam na końcu postępującego za nimi pochodu złożonego ze wstrząśniętych domowników i prawie tak samo

przejętych służących.

Kiedy Alice ułożono na łóżku, moje ramiona aż podskoczyły od nagłego dreszczu. Oba łuki brwiowe dziewczyny były rozcięte, z kącika jej ust spływała strużka krwi, zaś na odsłoniętych częściach ciała już wykwitwały fioletowe siniaki.

Lady Verinder wydawała z siebie zdławione, gardłowe jęki. Dłonie zaciskała na chusteczce, którą szybko wytarła krew z twarzy Alice, tak mocno, że aż zbiełały jej kłykcie.

– Potrzebne są zimne okłady! – zawołałam do pokojówek.

Zrozumiałam, że przewidziane na dziś czuwanie przy zwłokach *Claire* skończyło się, zanim zdążyło się zacząć. Zgodnie z niepisanym prawem natury priorytetem stały się sprawy żywych – nie umarłych...

– Natychmiast trzeba posłać po lekarza!

– Ja pojedę – rzekł stanowczo hrabia Derek.

– Ależ to nonsens! Wyślemy stajennego! – zaprotestowała jego matka.

– Siedząc tutaj z założonymi rękami, w żaden sposób jej nie pomogę! Jadę do Farnham. – Derek rzucił prędkie spojrzenie na *Jonathana*. Co musiał czuć na widok brata zmarłej narzeczonej?! Czy zastanawiał się, co może mu powiedzieć? Jakich słów użyć, żeby wyjaśnić, co się stało? – *Jonathanie*, proszę zaopiekować się moją matką.

Młody mężczyzna tylko skinął głową.

– Panno *Madeline*, mogę prosić panią na słówko? – zwrócił się do mnie Derek nieoczekiwanie. Lokaj już podawał mu płaszcz i cylinder.

Wyszliśmy z pokoju Alice w głąb korytarza i stanęliśmy w okiennym wykuszu. Po drugiej stronie witrażowej szyby pełzały rozchełstane, wodne bicze deszczu, niczym kłębowisko srebrnych węży.

Derek na chwilę położył dłoń na moim ramieniu.

– Cały dzień myślę o tym, co mi pani powiedziała. O anonimie, który *Claire* otrzymała w dniu śmierci. Matka wyznała mi, że to ona go spaliła, mimo to nie zamierzam porzucić tej sprawy. Mówię to pani, ponieważ jadę do Londynu. Pospieszę na ostatni odjeżdżający dziś pociąg, jak tylko powiadomię o wypadku Alice lekarza w Farnham.

– Do Londynu?! Ale... po co?! – Wbiłam w hrabiego przerażone spojrzenie.

W odpowiedzi przyłożył prawą dłoń do serca.

– Może mieć mnie pani za tchórza, który ucieka przed nowym nieszczęściem i który nie potrafi spojrzeć w oczy bratu zmarłej narzeczonej. Lecz bezczynność mnie zabija, panno *Madeline*. Smutna prawda jest taka, że moja obecność wcale nie pomoże Alice, a *Claire* i tak nikt w świecie nie zdoła już pomóc. Jedyne, co jestem jeszcze w stanie uczynić dla siebie i dla

innych, to oczyścić z tajemnic śmierć kobiety, którą kochałem, oraz zadbać o nieskazitelną opinię jej przyjaciółki. – Zrozumiałam, że w tych słowach odnosił się do sprawy zgubienia przeze mnie szmaragdowego naszyjnika. Poczułam gorąco bijące mi na policzki, lecz zarazem zrozumiałam, że miał rację. Dopóki naszyjnik się nie odnajdzie, podejrzenia będą mogły padać w moją stronę niczym długie cienie mrocznej tajemnicy.

Przełknęłam ślinę.

– Więc wyjeżdża pan już teraz?

– Natychmiast. Zamierzam sprowadzić tu z Londynu słynnego prywatnego detektywa, niejakiego Aleistera Crowleya. Ostatnio gazety rozpisywały się o jego doniosłych sukcesach w zakresie rozwiązywania zagadkowych spraw. Wierzę, że nie odmówi pomocy hrabiemu, jeśli zjawię się przed nim we własnej osobie.

– Czemu pan mi to mówi?

Derek dotknął mojej dłoni.

– Chcę, ażeby uspokoiła pani moją matkę, gdy nie wrócę do domu tej nocy. *Lady Verinder* jest teraz w takim stanie, że nie mogę wyjawić jej otwarcie mych zamiarów bez wszczynania kłótni między nami. Zamierzam postawić ją przed faktem dokonanym. Rozumie to pani, Madeline? Czy mogę liczyć na pani dyskretną pomoc?

Spojrzałam hrabiemu prosto w oczy z myślą o tym, co mi właśnie powiedział. Nie, nie potrafiłabym zarzucić mu, że pragnie umknąć przed nieszczęściem, jakim był wypadek Alice, ani nawet przed konfrontacją z Jonathanem. Zrozumiałam natomiast, że Derek chciał uciec przed własną matką. Hrabia nie miał odwagi zmierzyć się wprost ze starą damą – i ja miałam stać się pośrednikiem między tą dwójką.

Derek wpatrywał się we mnie z ponagląjącą nadzieją.

Jakże mogłabym mu teraz odmówić?!

– Oczywiście, uspokoję *lady Verinder*. Proszę się nie martwić. Wyjawię, dokąd pan pojechał, dopiero gdy ona zacznie się niepokoić.

Hrabia prędko ucałował moją dłoń.

– Stokrotnie pani dziękuję! Moja obecność tutaj w niczym nie pomoże, a bezczynność przyprawia mnie niemal o szaleństwo! – powtórzył. – Wrócę najdalej za dwa dni! Proszę czuwać nad moją matką i nad Alice.

– Tak uczynię.

– Jest pani nieoceniona, Madeline. Z każdą chwilą coraz lepiej rozumiem, dlaczego Claire tak panią kochała.

Z tymi słowami młody hrabia lekko uchylił cylindra, po czym zbiegł po schodach do holu. Przeciąg zajęczał, kiedy Derek Verinder zniknął

za drzwiami, żegnany huczną kanonadą gromów.

Przez kilka sekund stałam nieruchomo, nasłuchując odgłosów nocy.

Nagle poczułam się jeszcze bardziej samotna niż wcześniej. Pustka niczym lodowata obręcz zacisnęła mi się na gardle.

13. OCZEKIWANIE

Ledwie olbrzymie, dwuskrzydłowe drzwi opatrzone mosiężną wilczą paszczą zamknęły się za hrabią Derekiem, a już pożałowałam złożonej mu obietnicy. Poczułam się jak współniczka w spisku skazanym na niepowodzenie, zaś do dotkliwego bólu po śmierci Claire dołączyło ciężkie brzemię nowych tajemnic.

Oczekiwanie na lekarza przeciągało się tak samo jak bezgłośna kaźń mojego udręczonego sumienia. Alice wciąż nie odzyskała przytomności. Jej twarz pozostawała trupio blada i tylko jej miarowo unosząca się klatka piersiowa świadczyła o tłącym się wewnątrz życiu.

Kanonady gromów zaczynały cichnąć. Jonathan opuścił resztę towarzystwa, żeby w samotności czuwać przy zwłokach zmarłej siostry. Moje nerwy były już napięte do granic możliwości, gdy lokaj poinformował wreszcie o przybyciu z Farnham doktora Wilkinsa.

– Spadła ze schodów. Niech pan ratuje moją córkę – wyjaśniła mi *lady Verinder* tak oschle i zdecydowanie, że tylko bardzo uważny obserwator mógł dostrzec czającą się za jej słowami rozpacz. Prawdopodobnie stan zdrowia panny Alice był jedną z nielicznych spraw dotyczących rodziny Verinderów będących poza zasięgiem wpływów hrabiny.

Lekarz wyprosił na zewnątrz mnie i Dextera, żeby w spokoju ocenić stan pacjentki.

Zmartwiały mi oczyma wpatrywałam się w zamkowe okno. Przypominało mi czarną, obsydianową płytę, gotową runąć na mnie w każdej chwili. Bezgwiezdna noc kleiła się do mozaiki z romboidalnych szybek strużkami cichnącego deszczu.

– Dobrze się pani czuje? – dobiegły mnie słowa Dextera Verindera.

Z trudem przełknęłam ślinę i mechanicznie pokręciłam głową.

Mężczyzna spoglądał na mnie z uwagą – a ja wiedziałam, że przed jego spojrzeniem nic nie umknie.

– Mam nadzieję, że nie przeraziłem pani zanadto opowieścią o klątwie naszyjnika ani o duchu damy w zielonej sukni. Wierzę, że jest pani zbyt

rozsądna, żeby wiązać legendę z tym, co się dziś stało. Mojej siostrze przytrafił się nieszczęśliwy wypadek.

– Wypadek? – powtórzyłam na wydechu. – Pan uważa, że to przypadkowe? Wczoraj umarła Claire, a dzisiaj Alice... – urwałam, bojąc się dokończyć zdania. Wbrew mojej woli w oczach zalśniły mi łzy. – W tej legendzie tkwi straszne ziarno prawdy! Przecież sam pan wykopał w ogrodzie ludzką czaszkę!

Dexter wyglądał na skonsternowanego.

– To tylko opowieść o duchach, panno Madeline. Tak naprawdę nie ma żadnej klątwy.

– Skąd pan wie? – spytałam cicho, lecz zarazem wyzywająco. – Nieważne. – Wzruszyłam ramionami, kręcąc głową. – Pan nie rozumie.

– Czego, panno Madeline?

– Ja... widziałam jej ducha – wyjąkałam i od razu mimowolnie się wzdrygnęłam.

– Ducha... kogo?

– Ducha damy w zielonej sukni! To znaczy... nie wiem, czy suknia była zielona, ale... Ona tam była. – Słowa popłynęły same, niczym strumień pędzący jak moje myśli. – Nad potokiem. Nim wpadłam do wody. Nagle ujrzałam ją w blasku błyskawicy. Tylko przez chwilę... Ale nie mogę zapomnieć tego widoku.

– Wierzę pani – rzekł Dexter niespodziewanie. Z zaskoczeniem podniosłam na niego mokre oczy. Nerwowo przycisnęłam do nich chusteczkę, a potem zmięłam jasny materiał w drżącej dłoni.

– Tak? – szepnęłam.

– Wierzę, że coś pani widziała – powtórzył. – Być może był to cień, zwierzę w zaroślach albo pani własne odbicie w tafli wody – wyjaśnił spokojnie. – Coś pani widziała, lecz proszę już o tym nie myśleć. Zbyt wiele nieszczęść w tak krótkim czasie maści osąd.

* * *

– Jak do tego doszło? – spytała hrabina Verinder.

Wieści od lekarza nie były pomyślne. W jego ocenie stan Alice mógł w najbliższym czasie jeszcze się pogorszyć. Doktor i wyznaczona w tym celu pokojówka czuwali przy rannej. Dexter, Jonathan Evans i ja w milczeniu popijaliśmy mocną kawę w mrocznym salonie. Każde tyknięcie stojącego w kącie zegara rozbrzmiewało w mych uszach głośno niczym wystrzał

z rewolweru. Jedynie *monsieur* Dubois, skulony na fotelu, nieporadnie próbował stłumić coraz częstszy odruch ziewania, ale senność już naginała jego starczą wolę.

– Wasza trójka była wówczas na dole. Pan pierwszy dobiegł do Alice, Jonathanie... – podjęła hrabina przesywającym głosem.

Brat Claire potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

– Panna Alice zawołała moje imię. Uniosłem wzrok, a ona się zachwiała. Stała u szczytu schodów. Puściła poręcz...

– Musiała się potknąć o brzeg sukni – mruknął Dexter. – Niektóre stroje bywają niebezpieczne dla pięknych kobiet.

– Daruj sobie te cyniczne uwagi – ofuknęła go hrabina lodowato.

– Wydaje mi się, że zasłała, a nie że się potknęła – zauważyłam niezbyt pewnym tonem.

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że panna Alice zasłała – powtórzyłam odrobinę głośniej.

– Nie zauważyłam, żeby się o coś potknęła. Kiedy wcześniej rozmawialiśmy w ogrodzie, moim zdaniem wyglądała na chorą. Była blada, miała całkiem sine usta... Sama przyznała, że nie czuje się najlepiej. Sądziłam, że tak jak wszyscy po prostu mocno przeżywa śmierć Claire.

Lady Verinder załamała dłonie ozdobione błyszczącymi pierścieniami.

– To wszystko przez tę konną jazdę w deszczu. Całą drogę do Farnham! W taką noc!

Jonathan spojrział na nią zdumiony.

– Panna Alice nocą jeździła konno?

– Kiedy pańska siostra nagle źle się poczuła, moja pojechała konno po lekarza – wyjaśnił Dexter.

– Och... – Jonathan pobladł. – Biedna dziewczyna. Chciała pomóc Claire, a teraz...

– Powinieneś być pojechać zamiast niej – rzuciła hrabina cierpkim tonem do Dextera.

– Przykro mi, matko, że najbardziej nieudane z twoich dzieci nie zapadło na zdrowiu zamiast Alice – stwierdził garbaty mężczyzna obojętnym tonem. – Pragnę ci jednak przypomnieć, że gdybym to ja, zamiast mojej siostry, był tamtej nocy nieobecny w domu, nie mógłbym uratować panny Madeline przed utopieniem się w twoim ogrodzie.

– Przed utopieniem się?! – powtórzył zdumiony Jonathan. Jego błękitne oczy przesyły mnie niczym dwie lazuruwe strzały. – Na litość boską, co tu się wydarzyło, panno Madeline?

Chciałam mu odpowiedzieć, lecz powstrzymał mnie Dexter, który

ponownie zwrócił się do hrabiny:

– Przykro mi również, matko, że musisz wciąż znosić moją obecność. Zapewne wolałabyś mieć przy sobie w takiej chwili mojego brata, a nie mnie.

Stara dama gwałtownie drgnęła.

– Derek! Gdzie jest Derek? Gdzie jest twój brat?!

Powoli wypuściłam powietrze z płuc. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przez długą chwilę wstrzymywałam oddech.

– Hrabia mówił mi, że jedzie do Londynu – wyznałam.

Wszyscy wokół popatrzyli na mnie w taki sposób, jakbym najwyraźniej oszalała.

– Do Londynu?! Ależ to niedorzeczne!

– Hrabia sprowadzi do zamku prywatnego detektywa. Przysiągł, że powróci w ciągu dwóch dni.

– Prywatnego detektywa? Dlaczego?! – Jonathan wbił we mnie pytające spojrzenie.

– Z mego powodu – odparłam zawstydzona. – A dokładniej z powodu szmaragdowego naszyjnika, który zaginął za moją wyłączną przyczyną. Hrabia uważa, że detektyw będzie w stanie go odnaleźć. – To była półprawda, ale nie miałam odwagi rzec nic więcej.

– Hrabia wyjechał z powodu naszyjnika? – oburzył się Jonathan. Jego smutne, błękitne oczy się rozszerzyły. – Jakaś błyskotka liczy się dla niego teraz bardziej niż zmarła narzeczona i ranna siostra?!

– To nie tak... – zaprotestowałam cicho.

– A jednak! – nie ustępował Jonathan. Widziałam, jak ból po stracie siostry zmienia się u niego w bezsilny gniew, a potem w tłumioną wściekłość. Wstał gwałtownie i przeczesując palcami zmierzwiłone włosy, zaczął krążyć nerwowo wokół nas. – Narzeczony Claire po prostu wyjechał! Dzień po jej zejściu z tego świata! Czy to wydaje się państwu naturalne?! A może hrabia Derek ma coś do ukrycia? Odnoszę wrażenie, że ów prywatny detektyw, kiedy tylko przybędzie, będzie miał do roboty o wiele więcej niż poszukiwanie zagubionego naszyjnika. W tym domu roi się od dziwnych zdarzeń i tajemnic! Panno Madeline, muszę natychmiast zamienić z panią słowo... Na osobności – oznajmił zdecydowanie.

Nie czułam się na siłach na tę rozmowę, ale przecież nie mogłam mu odmówić.

– Może w bibliotece? – wykrztusiłam.

Kasetonowe drzwi zamkowej czytelnicy zamknęły się za nami niczym ciężka pokrywa grobowca. W półmroku rozświetlonym wyłącznie migotaniem

kandelabrow znalazłam się sam na sam z mężczyzną, którego w tej chwili szczerze się obawiałam.

A raczej: obawiałam się jego łudzającego podobieństwa do Gabriela.

Nic dziwnego, że kiedy Jonathan pojawił się w ciemnym zamkowym holu, w pierwszej chwili wzięłam go za ducha. Jego rysy nie były równie zmysłowe ani ruchy równie pewne i sprężyste – mimo to nie miałam wątpliwości, że artysta, który chciałby uwiecznić Gabriela albo Jonathana, mógłby czerpać inspirację z jednego wzorca.

Praktycznie nie widywałam brata Claire od czasów naszego dzieciństwa. Obecnie nie było w nim ani śladu tego chłopca, który miał w zwyczaju nosić w kieszeniach szklane kulki, którymi graliśmy we trójkę w ogrodzie na tyłach ich londyńskiego domu.

Podeszliśmy do pary skórzanych foteli niedaleko kamiennego paleniska z wysokim gzymsem, które tej nocy wionęło chłodem. Mój towarzysz poczekał, aż usiądę. Pozwoliłam plecom opaść na oparcie.

Twarz Jonathana przypominała zastygłą w wyrazie bólu maskę.

– Panno Madeline, tylko pani tu teraz ufam. Zaklinam panią, przez wzgląd na pani przyjaźń z Claire i na naszą znajomość z dzieciństwa! Niech pani mi opowie, co się tutaj dokładnie wydarzyło – poprosił ochrypłym głosem. – Proszę powiedzieć o wszystkim, co działo się w tym domu, począwszy od chwili pani przyjazdu. A przede wszystkim o okolicznościach śmierci Claire. Przysięgam, że uwierzę w każde pani słowo, tak jakby padało z ust mej drogiej siostry.

A więc teraz miałam być głosem mojej zmarłej przyjaciółki!

Wzdrygnęłam się, bo nagle pomyślałam, że oto po raz drugi w moim życiu mam występować w roli swoistego medium. Claire należała już do świata duchów, z którego nie było powrotu – Jonathan reprezentował świat żywych, świat ludzkich sprawi spadającej na nas żałoby. Ja zaś znalazłam się gdzieś pomiędzy nimi – miałam przemawiać w imieniu nieżyjącej dziewczyny... lecz przecież i przede mną Claire miała swoje tajemnice!

– Madeline?

Zdałam sobie sprawę, że milczę o kilka sekund za długo.

Pomyślałam, że – jak mówi Pismo Święte – nie ma nic, co nie miałyby zostać odkryte. Wszystkie tajemnice po dostatecznie długim czasie wychodzą na jaw i biada tym, którzy chcieliby je ukryć.

Wiadomość o anonimowym liście, który otrzymała Claire przed swoją śmiercią, głęboko wstrząsnęła Jonathanem.

– List musiał napisać złodziej szmaragdowego naszyjnika. Musiało chodzić o kradzież. Bo o cóż innego?! Nie! Nie wierzę, że ktokolwiek mógłby chcieć

skrzywdzić Claire – mówił, nieustannie krążąc przed kominkiem. – Była dobra i słodka – powtarzał cicho. – Bóg mi świadkiem, że nigdy nikogo nie skrzywdziła. W stosunku do innych zawsze postępowała szlachetnie. Czy wobec tego mógł istnieć na świecie człowiek, który chciałby... pozbawić ją życia? – To pytanie z trudem przeszło mu przez gardło. – I jaki byłby motyw? Czy istniała jakakolwiek przesłanka... jakikolwiek powód do wyrządzenia krzywdy mojej biednej siostrze? Panno Madeline? – wyszeptał i potrząsnął głową.

Zadrżałam. Kto chciałby uśmiercić Claire? Tę najśłodszą, najniewinniejszą istotę, jaką nosiła ziemia.

– Nie było powodu – zapewniłam drżącym głosem. W oczach kołysały mi się łzy. – Wszyscy tutaj kochali Claire.

Jonathan podszedł i nagle chwycił moją dłoń. Jego smutne spojrzenie dosłownie przeniknęło moją duszę. Przeraziłam się, że dostrzeże ukryty na jej dnie cień wątpliwości.

– Lecz człowiek, który twierdził, że kocha ją najmocniej, wyjechał na dzień po jej śmierci do Londynu – zauważył mężczyzna. W jednej chwili jego ton się zmienił. – Czuję się tak, jak gdyby hrabia znieważył moją siostrę! Znieważył ją po śmierci, rozumie pani?

– Wróci za dwa dni, tak jak obiecał – wyszeptałam, mimowolnie odwracając wzrok.

14. KLĄTWA POWRACA

Istotnie, hrabia Derek Verinder zjawił się w ogromnym holu Dworu pod Cisami dokładnie w terminie, który mi wskazał. Zanim jednak do tego doszło i wypadki przybrały nowy, zaskakujący obrót, musiały minąć dwa niezwykle długie, deszczowe dni... Dni, które zdawały się przeciągać w nieskończoność odmierzaną tykaniem zegara, filiżankami czarnej jak noc herbaty, miarowym gulgotaniem blaszanych rynien i kapaniem kropel deszczu, który poił wiecznie nienasyconą, jadowitą zielenią ogrodu.

Nazajutrz po wyjeździe Dereka przybył koroner, żeby zabrać ciało Claire. Widok znikającego we mgle karawanu, który unosił moją zmarłą przyjaciółkę, zrobił na mnie wstrząsające wrażenie. Stojąc samotnie przy obmywanej deszczem okiennej szybie, poczułam, jak coś we mnie pęka. Zaczęłam spazmatycznie szlochać. W takim stanie znalazł mnie Jonathan.

– Madeline... – zwrócił się do mnie po imieniu, jakby nagle on również przypomniał sobie czasy, kiedy w Londynie wszyscy troje byliśmy dziećmi. Zakryłam usta dłonią, żeby stłumić cichy jęk. Cały świat rozmazywał mi się przed oczyma. Twarz Jonathana widziana przez łzy znowu mogłaby być kochaną twarzą Gabriela.

Nagle poczułam silne ramiona, które mnie objęły, i przycisnęłam mokrą twarz do męskiej piersi.

– Już dobrze, Madeline... – Dłoń mężczyzny lekko przesunęła się po moich rozpuszczonych włosach, których tego ranka nie upięłam w kok. – Proszę płakać, jeśli tego właśnie pani trzeba.

Staliśmy obok siebie w szarym świetle chmurnego poranka sączącym się z okiennego wykuszu. Nie wypowiedaliśmy żadnych słów. Dopiero kiedy zaczęłam się uspokajać, Jonathan podał mi chusteczkę.

– Wiem, jak mocno przeżyła pani śmierć Claire – rzekł łagodnie. – Wiem też, że próbę spełnienia jej ostatniego życzenia mogła pani przypłacić własnym życiem. – Zrozumiałam, że miał na myśli tamtą noc, kiedy próbowałam zakopać przekłętą szmaragdy nad potokiem. – Ale byłbym obłudnikiem, gdybym nie wyznał, jaką pociechą jest dla mnie świadomość,

że była pani przy Claire w ostatnich dniach jej życia. – Nachylił się ku mnie i nieoczekiwanie, jakby pod wpływem impulsu, z delikatnością ucałował palce mej dłoni. – Będę pani za to wdzięczny aż do końca moich dni.

Nagle słońce ozłociło jego twarz.

– Pana oczy... – odezwałam się cicho, po raz kolejny zwróciwszy uwagę na ów szczegół. To oczy najbardziej odróżniały brata Claire od Gabriela Ackroyda i przypominały mi, że mam przed sobą praktycznie obcego mężczyznę.

Skąd więc nieodparte wrażenie, że się znamy, że jest mi bliski?

– Co z nimi? – zapytał Jonathan, znów zaskoczony moim zachowaniem.

Spuściłam wzrok, po stokroć bardziej speszona od niego.

– Cóż... w wieczór pańskiego przyjazdu... w ciemności zdawały się prawie czarne. Teraz widzę, że są niebieskie – rzekłam na wydechu, modląc się w duchu, żeby nie oblać się szkarłatnym jak wino rumieńcem.

Weź się w garść, Madeline! – krzyczałam na siebie w myślach. *Zacznij się wreszcie zachowywać, jak należy! Przecież on nie jest Gabrielem i nigdy nim nie będzie!*

– Pójdę poczuwać przy panie Alice – wyszeptałam i nim Jonathan zdążył coś odpowiedzieć, czmychnęłam prędko chłodnym zamkowym korytarzem.

Panna Verinder przez całą noc nie odzyskała przytomności. Tylko siniaki pociemniały na jej ciele niczym inkaust na najjaśniejszym papierze. Alice intensywnie się pociła. W kącikach jej lekko rozchylonych ust gromadziła się pienista biała ślina.

– Urazy głowy mogą wywoływać wiele nieswoistych objawów – wyjaśnił mi doktor Wilkins, niezbyt dobrze kryjąc ton bezsilności. – Możliwe, że panna Alice doznała wstrząśnienia mózgu.

W takiej oto atmosferze przygnębienia i dławiącego niepokoju upływały kolejne godziny. Następnej nocy zasnęłam z wyczerpania w głębokim bujanym fotelu obok łóżka Alice.

Obudziły mnie delikatne, ciepłe pocałunki słońca na moim czole i policzkach. Przekręciłam głowę i popatrzyłam za okno. Błada łuna świtu wnikała do wewnątrz razem z kwileniem ptaków i szmerem zielonych liści. W powiewie wonnego wietrzyku śnieżnobiała firanka płasała obok mnie niczym panna młoda w zwiewnej koronkowej sukni. Leciutko muskała mój policzek.

Panna Alice przekręciła głowę na poduszce i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Zerwałam się z miejsca i ujęłam jej bladą rękę.

Usta dziewczyny poruszyły się bezgłośnie. Sięgnęłam po fasetową karafkę,

napełniłam szklanekę i pomogłam jej upić kilka łyków wody.

– Alice, proszę nic nie mówić. Tak się cieszę, że pani się obudziła!

Sine usta dziewczyny znowu się poruszyły.

Nachyliłam się, żeby lepiej słyszeć.

– Chyba wolałabym się nie obudzić – przeszył mnie jej suchy, świszczący szept.

Czy aż tak bardzo cierpiała?

I czy chodziło tylko o upadek ze schodów?

Zastygłam, czekając na jakieś wyjaśnienie, lecz Alice Verinder znowu opadła na poduszkę i zapatrzyła się w okno. W tej samej chwili zbudził się pochrapujący na kanapie doktor Wilkins. Lekarz zadzwonił na pokojówkę, która pobiegła zawiadomić hrabinę o przebudzeniu jej córki.

* * *

Słowa wypowiedziane przez Alice tamtego ranka przejęły moje serce nową grozą. Przez cały dzień nie opuszczały mnie złe przeczucia, toteż starałam się nie odstępować łóżka panny Verinder. Wiele pytań cisnęło mi się na usta, ale lekarz, pokojówka i hrabina nie zostawiali mnie sam na sam z chorą ani na chwilę. A przecież sprawa była zbyt delikatna, żebym śmiała poruszać ją w ich towarzystwie. Chwilami myślałam, że może mi się tylko przesłyszało. Może Alice po uderzeniu się w głowę tego ranka sama nie wiedziała, co mówi? I o co dokładnie miałabym ją spytać? Byłam zbyt skołowana, żeby zdecydować. Przeczuwałam jednak jakąś nową tajemnicę, która kryła się za jej słowami i która gasiła każdy cień uśmiechu na jej trupio bladej, wymizerowanej twarzy.

Nie mogłam wiedzieć, że wyjaśnienie sekretu nadejdzie już tego wieczora.

Doktor Wilkins i hrabina Verinder pili herbatę w barokowym salonie pełnym zapierających dech w piersiach antyków, które ostatnio przytłaczały mnie swoim nieprzydatnym i obojętnym na wszystko pięknem. Niebawem miał nadejść czas kolacji – kucharki w rezydencji przez cały dzień przygotowywały ulubione dania panny Alice, w tym bażanty i piezzonego królika.

Gdy doktor Wilkins oznajmił mi, że Alice zasnęła, postanowiłam sprawdzić, czy panna Verinder rzeczywiście śpi, i wymknęłam się do jej pokoju.

Zastałam drzwi lekko uchylone. Wąska smuga złotego światła padała na ciemniejący z każdą upływającą chwilą korytarz. Zbliżyłam się jak

najciszej, aż moich uszu niespodziewanie dobiegł głos Dextera Verindera. Zerknęłam do środka. Dźwigający ciężki garb mężczyzna z laską o złoconym uchwycie siedział przy wezglowiu łoża swojej półprzytomnej siostry i przemawiał do niej cichym głosem.

– Naprawdę się cieszę, że nie umarłaś. Jako twój starszy brat nadal jednak odczuwam niepokój o twoje zdrowie. Przykro mi, ale podejrzewam, że mogła osiągnąć cię klątwa.

Odpowiedział mu zgaszony głos, a może to było mruknięcie. W każdym razie nawet w obecnej sytuacji Alice nie potrafiła zgodzić się w czymkolwiek z bratem. Zdobyła się na cichą oznakę protestu.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię, siostrzyczko. Każde z nas doskonale zna tę legendę. W końcu słuchaliśmy jej razem, kiedy byliśmy dziećmi, prawda? Dla ciebie to były złote czasy... Dla mnie piekło na ziemi. Garbaty chłopiec o różnobarwnych oczach nigdy nie mógłby dorównać ubóstwianej przez rodzinę, ślicznej i rezolutnej córce hrabiny, którą traktowano jak księżniczkę – prychnął Dexter. – A teraz spójrz... Klątwa dotyczy tylko kobiet z tego rodu. Mężczyźni po nich cierpią, lecz nie umierają.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Wstrzymałam oddech.

– Ale klątwa nie uderza bez powodu. Zastanów się, co się mogło stać. – Z półmroku sączył się dalej głos Dextera. – Co takiego uczyniłaś, żeby ją na siebie ściągnąć? Nawet w legendach i w baśniach musi być jakaś przyczyna nieszczęść. A wierz mi, twoje życie dotąd było bajką, Alice.

Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę wypowiada te słowa. Czyż to nie on dopiero co przekonywał mnie, że klątwa to tylko wydumana rodzinna legenda, ekscentryczny wymysł znudzonych bogactwem arystokratów? Teraz twierdził coś wręcz przeciwnego. I brzmiał tak, jakby naprawdę w to wierzył.

Głośno odchrząknęłam, żeby dać znać o swojej obecności, po czym zapukałam w uchylone drzwi. Dexter drgnął.

– Nie przeszkadzam? – spytałam, starając się powstrzymać drżenie głosu.

Alice wpełzła na poduszcze z szeroko otwartymi oczyma. Nic nie odpowiedziała, lecz zwróciła ku mnie głowę.

– Proszę. Właśnie wychodziłem – odparł przygarbiony mężczyzna. – Alice nie może spać, postanowiłem więc opowiedzieć jej do snu starą baśń. Słuchaliśmy jej razem w dzieciństwie, prawda, Alice?

Dexter wstał i nie czekając na odpowiedź, skłonił się, po czym wyszedł z pokoju. Stłumiony stukot laski na miękkim dywanie wyścielającym korytarz z wolna wtopił się w ciszę chłodnych zamkowych murów. Chwyciłam klamkę i zamknęłam za nim drzwi. Usiadłam na rzeźbionym krześle, na którym spoczywał przed chwilą – nieokreślony zapach jego

obecności nadal unosił się w tym miejscu.

– Jak się pani czuje, Alice? – zadałam owo banalne pytanie, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę.

Panna Verinder nie odpowiedziała. Jej milczenie przeciągało się. Z każdą sekundą robiło się coraz bardziej nieswojo. Wreszcie usłyszałam jej cichy głos:

– Gdzie jest Derek? Nie widziałam go przez cały dzień. Nie przyszedł nawet na chwilę, by mnie zobaczyć. Muszę z nim pomówić, panno Madeline.

– Obawiam się, że w tej chwili to niemożliwe.

W jej oczach odbił się niepokój.

– Hrabia Derek pilnie wyjechał do Londynu. Nikt pani nie powiedział? – spytałam cicho.

W odpowiedzi Alice ciężko westchnęła. Jej głos nabrał rozpaczliwych tonów.

– Nikt mi tutaj o niczym nie mówi.

– Zapewne pani bliskimi kierowała troska o pani stan zdrowia.

– Nie wierzę w to. W tym domu wszyscy skrzętnie pilnują swoich sekretów. Czyżby jeszcze tego pani nie zauważyła? Jest pani bardzo łatwowierna, Madeline!

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Głowa Alice głębiej zatopiła się w poduszce.

– Wie pani, po co wyjechał Derek? Nie pojmuję, co nim kierowało – spytała, jak gdyby z trwogą.

Odetchnęłam głęboko.

– Chodzi o ten zaginiony naszyjnik. Pani brat sprowadzi z Londynu prywatnego detektywa, ażeby ów spróbował go odnaleźć... a razem z nim autora anonimu.

Alice zakryła twarz rozpostartymi dłońmi. Spomiędzy jej rozcapierzonych długich palców wydobył się nagle wariacki chichot, od którego ramiona pokryły mi się gęsią skórką.

Mój Boże! Ona naprawdę musiała odnieść uraz głowy! Bo jak wytłumaczyć te niespodziewane, przedziwne zmiany w jej zachowaniu?

– Proszę mi wybaczyć. – Cichy śmiech urwał się jak nożem uciął i dziewczyna spuściła blade ręce na pikowaną kołdrę. – Rzecz w tym, że Derek pojechał tam na próżno. Bo jeśli chodzi o szmaragdowy naszyjnik, to mam go ja.

– Pani?!

Nieznacznie skinęła głową.

– Znalazłam go nad potokiem, panno Madeline. Po naszej rozmowie

w ogrodzie tamtego południa wybrałam się na konną przejażdżkę. Naszyjnik leżał tuż przy brzegu rzeczutki, u stóp kamiennego mostku. Szmaragdy migotały w blasku słońca. Zeszłam ku wodzie i je zabrałam. Chciałam powiedzieć o tym Derekowi... ale nie zdążyłam, bo spadłam ze schodów.

– Co za ulga, że naszyjnik się odnalazł! – Miałam ochotę niemal wykrzyknąć z radości. – Nie ma pani pojęcia, jakie wyrzuty sumienia odczuwałam z powodu jego zagubienia! – Odetchnęłam pełną piersią. – Co za ulga! Wobec tego hrabia Derek istotnie trzusi się na próżno. Gdyby nie pani wypadek, pewnie wszystko byłoby już wyjaśnione.

– Wypadek... – powtórzyła cicho Alice. Popatrzyła mi prosto w oczy. – Pani sądzi, że to był wypadek? Ja zaczynam wierzyć, że to klątwa. Dexter pani o niej opowiedział, prawda?

Nagle gardło mi się ścisnęło.

– Owszem. Opowiedział mi o klątwie rzuconej na naszyjnik przez alchemika nazwiskiem John Dee. A także o Deidre Verinder, kobiecie w zielonej sukni, która przeklęła szmaragdy ponownie sto lat temu.

– Ja także znam tę legendę. Skłamałam, mówiąc pani, że nic o niej nie wiem... I że Dexter jest jedynym, który zna tę opowieść.

Zamrugałam z niedowierzaniem.

– Dlaczego nie była pani ze mną szczerą?

– A dlaczego zwykle nie jesteśmy szczerzy? Sama tego nie wiem. – Panna Verinder uciekła spojrzeniem za zionące ciemnością okno. – Chyba zanadto przywykłam, żeby zawsze odróżniać się od Dextera. Rywalizacja między nami trwa od dzieciństwa, pojmuje pani? A skoro jego interesują te wszystkie straszne historie, na przekór bratu zdecydowałam, że ja nie będę w nie wierzyć. A przynajmniej nie będę przyznawać, że je znam... i że mnie przerażają.

– Przerażają? – Lekko uniosłam brwi. Alice Verinder wyglądała na najmniej bojaźliwą dziewczynę, jaką kiedykolwiek znałam. Miałam wrażenie, że nic nie jest w stanie jej przestraszyć.

– Owszem. Nie wspominałam pani o legendzie, bo nie chciałam przywoływać własnych wspomnień. Nie chciałam, żeby wzięła mnie pani za stukniętą dziwaczkę.

– Stukniętą dziwaczkę? – Panna Alice nie bała się nonszalanckiego języka.

– Tak. – Ciężko westchnęła. – Bo widzi pani, kiedy byłam małą dziewczynką, zdarzało mi się widywać różne rzeczy. Czasem dzieci dostrzegają więcej niż dorośli, nieprawdaż? Kilka razy wieczorem widziałam przemierzającą ogród, płaczącą Deidre... – Czarne oczy dziewczyny załśniły jak ciemne opale. – Mam na myśli ducha damy w zielonej sukni.

* * *

Tamtej nocy długo nie mogłam zasnąć. Deszcz uderzał o parapet mej sypialni niczym dziesiątki bębniących niecierpliwie półprzezroczystych palców. Mocny wiatr pędził prędko skłębione chmury i tylko czasami w prześwitach pomiędzy nimi przez okienną szybę błyskała ku mnie blada, pogrążona w wiecznej zadumie twarz księżycy. Umykała, nim zdołałam się jej przyjrzeć, ginęła w wirze podniebnych bałwanów niczym opadająca w odmęty twarz topielca. Nocne powietrze pełne było szumu kropel, ale ulewa, zamiast kołysać mnie do snu, zdawała się mamrotać i szeptać uparcie czyjeś imię.

Deidre...

Deidre Verinder...

Nieszczęśliwa dama w zielonej sukni.

Myślałam o tym, co powiedziała mi Alice – że widywała ducha Deidre jako dziecko. Czy w noc śmierci Claire to Deidre zjawiła się w ogrodzie, niczym omen strasznych i smutnych zdarzeń, które miały spaść na Dwór pod Cisami i przytłoczyć jego mieszkańców swym ciężarem?

Myśli o Deidre, a zwłaszcza o rzuconej przez nią przed śmiercią klątwie, psuły mi całą radość z odnalezienia się szmaragdów. Bo przecież jeżeli to te zielone, migotliwe kamienie były źródłem tajemniczego przekleństwa, to czyż nie po stokroć lepiej by się stało, gdyby na zawsze już pozostały w ukryciu? Ale hrabina Verinder żywiła niezmacone niczym przywiązanie do rodzinnych pamiątek. Dała temu wyraz po dzisiejszej kolacji, gdy zwróciłam jej naszyjnik na prośbę Alice.

– Cóż za szczęście! – zawołała rozpromieniona stara dama, jak gdyby z twarzy opadła jej ciężka maska. – Panno Madeline, niechże panią uściskam!
– Wyciągnęła ku mnie ramiona i lekko mnie objęła. Sztywny materiał jej czarnej sukni zaszeleścił niczym ptasie pióra. Otoczył mnie niski, egzotyczny zapach jej perfum.

– Proszę wybaczyć, że ostatnio byłam dla pani oschła. Chodzi mi o ten anonim, pojmuje pani.

Skinęłam głową, a hrabina kontynuowała:

– Teraz myślę, że nie powinnam była go palić. Zadziałałam pod wpływem impulsu. Tuż po śmierci naszej drogiej Claire... po prostu nie byłam sobą. Mam nadzieję, że się pani nie gniewa.

– Nie gniewam się – zapewniłam. *Lady* Verinder odsunęła się o krok

i zajrzała mi w oczy z niemal dziewczęcą wesołością.

– To dobrze. Tak się cieszę, panno Madeline! Wygląda na to, że choć biedna Claire umarła, inne sprawy zaczynają się jakoś układać... Przez chwilę miałam wrażenie, że ciąży nad nami fatum. Ale Alice zdrowieje, a naszyjnik się odnalazł. Trzeba żyć dalej i nie oglądać się na przeszłość.

Nie wiem, dlaczego lekko się wzdrygnęłam.

– Dexter opowiedział mi o klątwie – rzekłam pozornie obojętnym tonem. – Nie martwi się pani, że szmaragdy... mogą być przeklęte?

Pokręciła głową.

– Jestem przesądna, ale nie do tego stopnia. Zresztą tylko ja będę nosiła te kamienie. W moim wieku inaczej patrzy się na śmierć. – Z tymi słowami *lady* Verinder ujęła szmaragdowy naszyjnik i zapięła go na swej szyi jednym wprawnym ruchem. Klejnoty zaśniły niczym zielone ślepia wielkiego kota.

Czarownica... Ta kobieta jest czarownicą! – przypomniałam sobie nagle słowa przerażonej Claire i przestraszyłam się własnych myśli.

* * *

Po początkowej, raczej pozornej poprawie przez cały następny dzień stan panny Alice się nie polepszał. Przeciwnie – biedna dziewczyna wymiotowała i skarżyła się na boleść brzucha.

– To może być wstrząśnienie mózgu – powtarzał znów doktor Wilkins.

Atmosfera we dworze ponownie zgęstniała, co widać było nawet w zachowaniu służby. Lokaje i pokojówki przemykali wzdłuż ścian niczym cienie – dostojnie, a jednak z pośpiechem. Wciąż coś czyszczono i polerowano – kunsztowne srebra, kryształowe żyrandole, noszące ślady zastygłego wosku kandelabry... Miałam wrażenie, że wszystkich postawiono w pogotowiu, że cały zamek na coś się przygotowuje, na coś czeka – na święto albo na tragedię. A może po prostu na powrót swojego pana.

Wreszcie wieczorem rozległo się długo wyczekiwane kołatanie. Akurat schodziłam po schodach, kiedy w okrągłym holu przykrytym szklaną kopułą, który przypominał przepastną studnię, lokaj otworzył drzwi przed młodym hrabią. Towarzyszył mu nie jeden, lecz dwóch mężczyzn, którzy wyłonili się z półmroku.

Obrzuciłam ich szybkim spojrzeniem. Elegancki dżentelmen o sumiastych czarnych wąsach nosił wysoki, połyskujący cylinder i wprost emanował pewnością siebie. To on musiał być słynnym londyńskim detektywem. Przeniosłam wzrok na drugiego pana, w meloniku...

Błysnął ku mnie świetlny refleks odbity od okrągłych szkiełek binokli, które zsunięto na sam koniuszek nosa. Mężczyzna podał lokajowi płaszcz. Odziany był w szary garnitur z kamizelką, sam niewysoki, o drobnych i harmonijnych rysach, z inteligentną twarzą, której ozdobę stanowiły starannie przystrzyżone wąsy i bródka, a także nadzwyczaj przenikliwe, ciemne oczy.

– Doktor Watson! – zawołałam z radością, pokonując kilka ostatnich stopni.

– Moje uszanowanie, panno Hyde. – Zaskoczony lekarz skłonił mi się z dyskretnym uśmiechem, który częściowo skrył się pod wąsami.

– Tak się cieszę, że pan przyjechał! – Podałam mu dłoń.

Nie potrafiłam ukryć ogromnej ulgi, jaką odczułam, gdy się pojawił.

Zawsze spokojny lekarz, zmieszany moim wybuchem, przecesał palcami szpakowate włosy.

– Chciałbym tak działać na wszystkie moje pacjentki!

– Spotkaliśmy doktora Watsona na stacji kolejowej. Okazało się, że zmierzamy w to samo miejsce, dlatego zaproponowałam mu swój powóz – wyjaśnił hrabia Derek. – Doktora już pani zna, zatem proszę poznać również naszego drugiego gościa. Panno Hyde, oto słynny tropiciel zagadek z Londynu, pan Aleister Crowley.

Detektyw przycisnął do piersi rondo lśniącego cylindra i skłonił się przede mną niczym sztukmistrz przed oczekującą go widownią. Jednocześnie stukot obcasów i szelest długiej, idealnie skrojonej sukni powiadomił nas o nadejściu hrabiny Verinder.

Stara dama w pierwszej chwili zignorowała obecność dwóch nieznanomych. Patrzyła tylko na swojego ulubionego syna. Jej naznaczona zmarszczkami twarz pozostawała nieprzenikniona. Białe policzki przypominały zmięte płatki przekwitłego, lecz niegdyś cudnego kwiatu.

– Matko. – Hrabia Derek objął ją i uścisnął. Dopiero wówczas krótko przedstawił nowych przybyszów.

– Lekarz? Dzięki Bogu! Przyjechał pan z moim synem z Londynu? – spytała stara dama doktora Watsona.

– Z Torquay w hrabstwie Devon, łaskawa pani... Panna Hyde napisała do mnie list z prośbą o pomoc w związku z dolegliwościami pewnej młodej damy.

Lady Verinder nie pozwoliła mi dokończyć. Zwróciła się ku mnie i ujęła moje dłonie.

– Droga panno Madeline, dziękuję! Dziękuję, że tak troszczy się pani o biedną Alice! Że też w tym zamieszaniu sama nie wpadłam na to, żeby poprosić o konsultację drugiego lekarza!

Zabrakło mi odwagi, żeby sprostować pomyłkę i wyjaśnić, że wysłałam list z myślą o Claire... Zresztą, cóż miałabym powiedzieć? Teraz rzeczywiście najważniejsze było zdrowie panny Verinder. Napisałam do doktora Watsona pod wpływem impulsu, tuż po śmierci mej najlepszej przyjaciółki, teraz zaś w duchu podziękowałam losowi, że nie muszę przed wszystkimi tłumaczyć się z podejrzeń, które wówczas mną pokierowały.

– Tędy, doktorze – zwróciła się hrabina do lekarza, całkowicie ignorując przy tym detektywa Crowleya. – Natychmiast zaprowadzę pana do pokoju mojej chorej córki. Biedna dziewczyna miała wypadek: spadła ze schodów. Objawy, które odczuwa, bardzo mnie niepokoją.

W ten sposób podległy słowom damy doktor Watson został z miejsca oddelegowany do opieki nad Alice. Jednak kiedy *lady* Verinder znów dołączyła do towarzystwa goszczącego się w salonie, nabrałam podejrzeń, że odprawiła lekarza, ponieważ nie chciała, żeby był świadkiem jej rozmowy z detektywem. Pojęłam, że bez względu na okoliczności hrabina nie zamierzała wtajemniczać w historię zaginięcia naszyjnika więcej osób, niż było to konieczne. Prywatnych spraw Verinderów nie omawiano w szerokim gronie. Nawet ja, jako ktoś spoza domu, wraz z wejściem hrabiny do salonu poczułam się w nim niczym intruz. Pewnie wymknęłabym się po cichutku, gdyby nie fakt, że w tej chwili zjawił się również Jonathan. A brata Claire hrabina nie odważyłaby się wyprosić.

– Panie Crowley. – *Lady* Verinder podała detektywowi bladą dłoń z migoczącym nań ciężkim pierścieniem. – Zamierzam być z panem całkowicie szczerą.

– Dziękuję, *milady*. – Aleister Crowley się skłonił. – Jako detektyw doceniam szczerą szczególnie mocno. Wyjątkowo trudno o nią w moim zawodzie. Zazwyczaj każdy coś przede mną ukrywa.

– Przejdę do sedna. Nie twierdzę, że nie cieszę się z pana odwiedzin. Zawsze warto poznawać ciekawych ludzi, a pan jest postacią z pierwszych stron niektórych gazet. Jeśli chodzi jednak o celowość pana przyjazdu, to muszę wyznać, że mój syn zanadto się pospieszył, fatygując pana do nas aż z Londynu. Uważam, że działał pod wpływem szoku po utracie narzeczonej. – Kobieta zawiesiła głos, żeby posłać Derekowi zatroskane spojrzenie, po czym oznajmiła detektywowi: – Nie mamy dla pana żadnego zlecenia. Wszystko już zostało wyjaśnione.

Przebrzmiała sekunda ciężkiej ciszy.

– Wyjaśnione? – Hrabia Derek zmarszczył brwi.

– Naszyjnik ze szmaragdami się odnalazł – oznajmiła *lady* Verinder podniosłym tonem. – Miała go Alice. Znalazła go nad potokiem. Nie zdążyła

nam powiedzieć przez ten okropny wypadek.

– Ma pani na myśli upadek ze schodów? – spytał detektyw.

– W rzeczy samej.

Hrabia Derek i pan Crowley wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Ich twarze z zatroskanych stały się ponure. Pierwszy odezwał się detektyw.

– Wybacz pani, *milady*, ale jako detektyw jestem tutaj ze zgoła innego powodu.

Lady Verinder zamrugwała.

– Jakiego?

Detektyw spojrzał na hrabiego.

Derek przetarł pobladłą twarz i sięgnąwszy po stojącą na komodzie szklaneczkę, łyknął haust czystej whisky. Odstawił na brzeg komody opróżnione naczynie.

– Matko... Po drodze do dworu razem z panem Crowleyem oraz z doktorem Watsonem odwiedziliśmy biuro koronera. Nie miałem jak pana uprzedzić, Jonathanie... – Derek zwrócił się nagle do brata Claire.

W jednej chwili powietrze stężało.

– Claire umarła od zatrucia arszenikiem.

15. KAMIENNY ANIOŁ

Parę tygodni temu moja przyjaciółka Claire Evans zwierzała mi się w liście, że pragnęła skromnego ślubu. Teraz otrzymała skromny pogrzeb, który z pewnością odpowiadałby jej życzeniom.

Tego dnia ulgę przynosiło mi odczucie, że Claire byłaby zadowolona. Zamiast monumentalnej, gotyckiej katedry w Winchesterze, w której pośród lasu jasnych kolumn, mozaikowych witraży, misternie rzeźbionych stalli, wykutych w białym kamieniu rzeźb i pamiątek przeszłości miał się odbyć olśniewający hrabiowski ślub, na miejsce ceremonii wybrano prywatną kaplicę grobową Verinderów na starym cmentarzu w Farnham. Kaplica przez długie lata istnienia rodu, znaczone zgonami kolejnych pokoleń, rozrosła się do rozmiarów małego kościoła. Miała prezbiterium z kamiennym ołtarzem, przy którym kapłan odprawiał mszę za duszę zmarłej.

Kamienny kościółek tonął w kwiatach, które ścięto w zamkowej oranżerii na rozkaz Dereka Verindera. Ich zapach z rozkosznego stawał się mdły, wywołując słodki przesyć. Może zresztą chodziło o to, żeby było duszno. Wnętrze budynku mogło pomieścić jedynie najściślejsze grono bliskich. Prócz mnie, hrabiego Dereka, Dextera i hrabiny w nabożeństwie uczestniczyli tylko Aleister Crowley oraz stary malarz, *monsieur* Maurice Dubois. A także, co oczywiste, przybyły z Londynu brat Claire – Jonathan Evans.

On nie jest Gabrielem i nigdy nim nie będzie! – powtarzałam sobie w myślach, kiedy siedziałam w kościelnej ławce, podczas gdy kapłan podniosłym tonem wygłaszał pogrzebowe kazanie. Zmusiłam się, żeby oderwać wzrok od pogrążonego w zadumie Jonathana i skupić go na jedynym innym obiekcie, który przykuwał moją uwagę.

Był nim obraz.

Oprawiony w grubą ramę portret Claire umieszczono na spowitej kirem sztaludze obok jasnej trumny. Dama ze szmaragdami spoglądała na mnie z płótna oczyma, w których zdawała się kryć jakaś tajemnica. A może to tylko ja znów dostrzegałam to, co chciałam widzieć – odbicie mych własnych obaw i przeczuć.

Pięć jadowicie zielonych kamieni lśniło na łabędziej szyi Claire i nieustannie przypominało mi o nocy, kiedy próbując złamać rzekomą klątwę, odkryłam czaszkę zakopaną w ogrodzie Verinderów. O nocy, kiedy ujrzałam damę w zielonej sukni – kobietę, której domniemane szczątki odsłoniłam.

Złote skry słońca przesączały się przez szemrzące listowie drzew jak przez szybki zielonych, migotliwych witraży. Trumna z ciałem mojej przyjaciółki spoczęła w osobnym grobie, tuż obok grobowca Verinderów, w otoczeniu bujnej zieleni. Od reszty cmentarza oddzielało go ogrodzenie z misternie kutego żelaza, któremu jakiś zdolny mistrz kowalski nadał formę kwiatów i liści maku – symboli wiecznego snu. Nieopodal kamienna figura anioła wznosiła ku niebu milczącą modlitwę za duszę zmarłej.

Dzień był tak piękny i ptaki kwiliły z takim zapamiętaniem, jak gdyby sam dobry Bóg radował się, że może przyjąć ją do siebie. Ja zaś chłonełam wiosenne ciepło świata uparcie i zachłannie, jak gdybym chciała nacieszyć się nim za dwie osoby – za siebie i za Claire.

* * *

W wieczór pogrzebu przeczuwałam, że znów nie będę w stanie łatwo zasnąć. Po kolacji, którą spożyto w przygnębiającej atmosferze, wymknęłam się więc do zamkowej biblioteki. Chciałam wymienić przeczytany już tomik utworów Tennysona na inną książkę – najlepiej powieść, która pozwoliłaby mi oderwać się choć na chwilę od otaczającej mnie chmurnej rzeczywistości.

Wielka biblioteka, po której na początku mego pobytu we Dworze pod Cisami oprowadził mnie hrabia Derek, nie mieściła w sobie na szczęście nic podobnego do dziwacznych eksponatów z kolekcji Dextera. Byłam przekonana, że niezauważona przez nikogo będę mogła swobodnie myszkować wśród piętrzących się aż do sufitu półek wypełnionych cennymi książkami, łowić błyski złożonych liter na ciasno stłoczonych grzbietach i do woli wdychać woń papieru, tuszu i słów, które czekają na odkrycie.

Spotkało mnie jednak zaskoczenie. Kiedy cicho zamknęłam za sobą kasetonowe drzwi, w obitym skórą fotelu wśród ciężkich dębowych regałów wspartych na wyrzeźbionych w drewnie lwich łapach ujrzałam skuloną postać mężczyzny. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, obojętny na delikatne jęknięcie zawiasów, które zmąciło ciszę.

– Jonathan? – szepnęłam, unosząc wyżej lichtarz z pojedynczą świecą, którą zabrałam, żeby rozświetlić sobie drogę przez mroczny korytarz.

Dopiero usłyszawszy swoje imię, mężczyzna ocknął się z głębokiej zadumy – szybko przetarł twarz i skierował na mnie lekko zamglone spojrzenie.

– Madeline... – odezwał się do mnie po imieniu, poderwawszy się z fotela, żeby złożyć mi lekki ukłon. Odpowiedziałam dygnięciem.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wyjąkałam. Znowu serce zabiło mi jak szalone. Że też akurat mężczyzna, o którym z całych sił pragnęłam nie myśleć, musiał pojawić się w miejscu, w którym szukałam samotności i wytchnienia!

A może on też ich szukał.

– Nie przeszkadzasz mi w niczym – zapewnił Jonathan. – Po prostu sądziłem, że będę tu sam...

To tak jak ja – pomyślałam z przekąsem, kładąc dłoń na mosiężnej klamce.

Jonathan zauważył ten ruch.

– ...ale proszę, żebyś została – dokończył ściszym głosem.

Przełknęłam ślinę.

– Dobrze – zgodziłam się potulnie.

Jonathan nieco się odprężył.

– Czy szukasz jakiejś konkretnej lektury?

– Raczej nie – odparłam szczerze. W półmroku malowanym drżącymi błyskami świec tak bardzo przypominał mi Gabriela! Jego oczy znowu zdawały się czarne. Zacerpnęłam głębszego oddechu. Miałam wrażenie, że brakuje mi powietrza – i nie był temu winien zbyt ciasno zasznurowany gorset. – Obawiałam się trudności z zaśnięciem. Czytanie to mój sposób na bezsenność.

– Mój także – przyznał się Jonathan i uśmiechnął się do mnie blado. – Widzę, że znaleźliśmy się tutaj z tej samej przyczyny. Przy czym ja dodatkowo spotkałem się tutaj z Aleisterem Crowleyem.

– Zadawał ci pytania na temat Claire?

– Na razie to głównie ja zadawałem pytania jemu – odparł Jonathan z cichym westchnieniem. – Wiem, że to człowiek o dobrej reputacji, ale chciałbym mieć pewność, że potraktuje sprawę śmierci mojej siostry z najwyższą sumiennością. Z pewnością sama rozumiesz. – Spojrzał mi w oczy. – Verinderowie mają mnóstwo pieniędzy, a *lady Verinder* zależy na nieposzlakowanej opinii tej rodziny... Nie chciałbym, żeby wywieriała presję na detektywa. Oczywiście ona oburza się i zaprzecza, ale chciałem pomówić z nim osobiście.

– I jesteś zadowolony z tej rozmowy?

– Jak najbardziej. Wykorzystałem ostatni wieczór przed oficjalnym rozpoczęciem śledztwa. Od jutra to detektyw Crowley będzie zadawał pytania nam wszystkim. W szczególności zaś tobie, Madeline... – Jonathan

zawiesił głos i spojrzał na mnie przeciągle. – Jako najbliższej towarzysze Claire.

Poczułam ucisk w górze brzucha. Miałam wrażenie, że oczy Jonathana przenikają mnie na wylot. Lekko zawirowało mi w głowie i na moment mocno zacisnęłam powieki.

– Madeline... – rzekł do mnie Jonathan łagodnie. – Czy pani... czy ty... czegoś się boisz?

To pytanie zawisło między nami niczym ciężka burzowa chmura.

Tak, tego wieczora odezwały się w głębi mej duszy stare lęki.

Aż dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno upiorne wydarzenia sprzed prawie dwóch lat, które rozegrały się we Wzgórzu Mgieł, wpłynęły na moją psychikę i na moje postrzeganie innych ludzi.

Co więcej czułam, że to wszystko, o czym próbowałam zapomnieć, bez ostrzeżenia do mnie powraca. Cienie przeszłości napływały fala za falą – coraz mroczniejsze, coraz bardziej wyraziste. Miałam wrażenie, że czas zatoczył dziwne koło – a najpełniejszym, najbardziej dobitnym dowodem na tę tezę był mężczyzna, który stał teraz przede mną. Jonathan Evans, wyjąwszy drobne różnice, mógłby śmiało uchodzić za sobowtór Gabriela Ackroyda. Rozpaczliwie lękałam się tego podobieństwa – a jednocześnie w tej chwili wbrew swej woli pragnęłam przekonać się, jak daleko ono sięga. Czy dotyczy wyłącznie wyglądu, czy również cech charakteru?

Spuściłam wzrok, a Jonathan lekko dotknął mojej dłoni. Przeszył mnie przyjemny, ciepły dreszcz. Całe szczęście, że wciąż patrzyłam w podłogę.

– Claire powiedziała mi jakiś czas temu o traumatycznych zdarzeniach, które stały się twoim udziałem. To znaczy o zabójstwie *lady* Lancey, w której domu podobno obecnie mieszkasz. Takie przeżycia nie przemijają bez śladu. Śmierć Claire mogła je znowu przywołać...

Wzdrygnęłam się na te słowa i lekko cofnęłam dłoń.

– Co jeszcze o mnie wiesz? – spytałam z nutką mimowolnej goryczy.

– Nie tak dużo, jak chciałbym wiedzieć. – Mężczyzna lekko ściszył głos, a ja znów poczułam ukłucie w sercu. – Dopóki nie zobaczyłem cię parę dni temu, tamtej burzowej nocy, w moich myślach wciąż byłaś małą dziewczynką z parą długich warkoczy, z którą w dzieciństwie bawiła się Claire.

– Dopóki mnie nie zobaczyłeś... A potem? – spytałam cicho, w równym stopniu zdziwiona śmiałością, co ślepą nadzieją, która kryła się za tym pytaniem.

– Odkryłem, że tamta dziewczynka stała się przepiękną młodą kobietą. I zrozumiałem, jak szybko ucieka nam czas. Po raz drugi...

– Drugi?

– Pierwszy był wówczas, gdy dowiedziałem się o śmierci Claire – przyznał, spoglądając mi w oczy. Tak dobrze rozumiałam, co miał na myśli. – Pojąłem dogłębnie, że trzeba doceniać każdy ulotny moment życia. Taki jak ten. – Zadrżałam na te słowa. – Proszę tylko spojrzeć. – Zatoczył ręką niewidzialny krąg wokół nas. – Księżyc zagląda przez okno, a my dwoje stoimy naprzeciw siebie, otoczeni przez książki napisane przez ludzi, z których większość od dawna nie żyje. A jednak zostawili coś po sobie. Wciąż są z nami poprzez swoje słowa. Tak samo jak Claire. Proszę się nie bać, Madeline. – Jego głos nabrał niezwykle zdecydowanego tonu. – Przysięgam ci, że nie spocznę, dopóki cała prawda o jej śmierci nie wyjdzie na jaw.

Jonathan skłonił się i wyszedł z biblioteki. Zostawił mnie w gąszczu słów, które zaklęto w setkach tomów – jednak w tamtej chwili wszystkie milczały.

* * *

Prywatny detektyw Aleister Crowley posiadał dwie cechy, dzięki którym, w moim przekonaniu, miał szansę zyskać pewną przychylność Verinderów: prestiż oraz wyczucie smaku.

Cała jego fizjonomia emanowała spokojną pewnością siebie. Około trzydziestopięcioletni mężczyzna o sumiastych wąsach lśniących od pomady, czarnych włosach i żółtawych oczach przypominał mi pełnego samozadowolenia kocura albo panterę – stworzenie, które przejmuje się zdaniem innych tylko na tyle, na ile służy to jego interesom. W gazetach pisano o nim, że podobnie jak koty pan Crowley lubi chadzać własnymi drogami i w pracy nie trzyma się konwencjonalnych metod.

Na londyńskich salonach poznałam ludzi jego pokroju – takich, którzy kochali błyszczyć i którym niestraszne były towarzyskie intrygi. Pomyślałam, że w gruncie rzeczy tylko podobny człowiek mógł odkrywać mroczne sekrety najbogatszych rodzin Anglii bez hamującego lęku przed konsekwencjami.

Pan Crowley rozłożył na lakierowanym na wysoki połysk blacie kieszonkowy notes w eleganckiej skórzanej oprawie. Siedzieliśmy naprzeciw siebie przy olbrzymim, staromodnym biurku z drewna orzechowego, które lśniło jak polerowany bursztyn. Zamkowa biblioteka, zgodnie z tym, co zapowiedział Jonathan, nazajutrz po pogrzebie Claire zaczęła pełnić rolę pokoju przesłuchań.

– Jeśli można, chciałbym spytać o list, który napisała pani do doktora Watsona. Nalegała pani na jego przyjazd. Spytałem doktora o datę nadania listu. To było przed wypadkiem panny Verinder.

Przełknęłam ślinę.

– To prawda.

– Zatem, czy mógłbym spytać, po co wezwała pani lekarza?

– Chciałam, żeby pomógł zdiagnozować chorobę, na którą zmarła Claire.

Kocie oczy detektywa błysnęły. Poczułam się niczym drobny ptak, któremu przypatruje się przyczajony drapieżnik.

– Chciała pani, żeby doktor Watson zbadał ciało zmarłej?

– Tak – przyznałam. – Wiedziałam, że doktor Watson ma w tym względzie doświadczenie. Ponad roku temu pomagał policji w rozwikłaniu zagadki morderstwa mojej ciotki, *lady Hortense Lancey*.

Detektyw skinął głową.

– Oczywiście słyszałem o tej sprawie. Było o niej głośno w całym kraju. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

– Dziękuję.

– Wróćmy jednak do pani listu do doktora. Czy nie ufała pani lekarzowi z Farnham?

– W żadnym razie nie zamierzałam kwestionować kompetencji doktora Wilkinsa. Po prostu ufam doktorowi Watsonowi. To był odruch.

– Rozumiem. – Detektyw zaznaczył coś w swoim notesie. – Czy panna Evans zażywała jakieś lekarstwa, o których nie wiedzieli pozostali domownicy?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A może używała arszeniku w celach kosmetycznych?

– W celach kosmetycznych? – Zrobiłam wielkie oczy.

– Na przykład na poprawę cery. Znam co najmniej jeden taki przypadek.

– Rozumiem. Nie. Nie sędzę. To prawie niemożliwe. Zresztą... na pewno policja przeszukała jej pokój.

Detektyw Crowley pokiwał głową.

– Przeszukano nie tylko pokój panny Evans, panno Hyde. Zarówno moi ludzie, jak i miejscowi policjanci sprawdzili praktycznie wszystkie miejsca w tym ogromnym domostwie.

W moich oczach musiało pojawić się pytanie. Detektyw dostrzegł to i udzielił odpowiedzi.

– Nigdzie nie znaleziono śladów arszeniku. Nawet w postaci trutki na szczury. Co więcej, w żadnej z lokalnych aptek nie odnotowano w ciągu ostatnich miesięcy zakupu tej substancji przez osoby związane z rodziną Verinderów.

Lekko zacisnęłam dłonie.

– Morderca mógł kupić go wcześniej. A także pozbyć się trucizny.

Na przykład wrzucić ją do potoku – rzekłam cicho.

Żółtawe oczy detektywa lekko błysnęły.

– Morderca? – powtórzył. Czy tylko udawał zaskoczenie? – A więc podejrzewa pani morderstwo, panno Hyde?

Popatrzyłam mu prosto w oczy.

– A pan nie? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie. – Przecież ktoś otruił Claire arsenikiem!

Pan Crowley potrząsnął głową.

– Trudno teraz o jednoznaczne wnioski. Jeśli jednak mamy do czynienia z morderstwem, zabójcą musiał kierować silny motyw. Czy przychodzi pani na myśl powód, dla którego ktoś chciałby pozbawić życia pannę Evans?

Ostatnie pytanie zadał z naciskiem, a mnie przeszył gwałtowny dreszcz.

Przed oczyma przelatywały mi kolejno twarze, które od dwóch strasznych dni wydawały mi się obliczami podejrzanych.

Pan Dubois – stary malarz, który mógł chcieć odzyskać przebrzmiałą sławę dzięki śmierci swojej prześlicznej modelki.

Apodyktyczna hrabina ogarnięta nadopiekuńczą miłością do ulubionego syna – syna, którego miała utracić na rzecz innej kobiety, młodszej, piękniejszej...

Alice Verinder – rozpieszczona dziedziczka, która przywykła do tego, że zawsze wygrywa, i której odmówiono przekazania bezcennej rodzinnej pamiątki w postaci szmaragdowego naszyjnika. Czy jej serce nie mogło zostać skażone tajoną zawiścią?

Dexter Verinder – odepchnięty przez najbliższych brat hrabiego, żyjący w świecie swoich samotniczych pasji i cokolwiek dziwacznych zainteresowań. Czy nie zazdrościł Derekowi szczęścia u boku Claire? Czy byłby zdolny posunąć się do zbrodni? Przecież sam Dexter mówił mi, że jego zdaniem pewne jednostki o zaburzonych cechach wyglądu są z natury bardziej skłonne do czynienia zła. Czy mógł mieć na myśli samego siebie? Czy był to rodzaj jego przyznania się do winy?

Nagle przestraszyłam się własnych myśli.

– Czy ma pani wobec kogoś... podejrzenia? – zapytał ponownie detektyw.

Bezradnie rozłożyłam ramiona.

– Podejrzewam wszystkich, panie Crowley – odparłam szczerze, targana wewnętrzną rozpaczą. – Podejrzewam wszystkich bez wyjątku! I to jest w tym najgorsze. Może pan nazwać mnie podłą lub niewdzięczną, ale wszyscy w tym zamku wydają mi się nieszczerzy. Chociaż sumienie nie daje mi spokoju z powodu tych myśli, patrzę na ludzi wokół jak na przestępców!

– Nie musi się pani obwiniać. Pani przypuszczenia mnie nie dziwią.

– Nie? – Spojrzałam na niego z uwagą.

– Ani trochę. W przypadku nagłej śmierci bliskiej osoby obwinianie zarówno siebie, jak i ludzi, którzy nas otaczają, nie jest doprawdy niczym wyjątkowym – zapewnił mnie detektyw. – A pani ma jeszcze konkretny powód do nieufności. – Mężczyzna nieco zniżył głos. – W końcu przed śmiercią panna Evans otrzymała anonimową wiadomość... Z tego, co mi wiadomo, oprócz hrabiny tylko pani widziała ów list.

Skinęłam głową.

– Wielka szkoda, że list spłonął. Przypomina sobie pani jego treść?

– Zapisałam ją przed rozmową z panem. – Wyciągnęłam z torebki złożoną na pół kartkę z notatką. Żółtawe oczy pana Crowleya przebiegły z uwagą po tekście:

Zostałaś przeklęta. Cięży na Tobie klątwa, której źródłem jest naszyjnik ze szmaragdami. Zadaj sobie pytanie, kto Ci go dał. Ten ktoś od początku źle Ci życzy.

Jeżeli chcesz zapobiec nieszczęściu i zdjąć rzucony na Ciebie czar – dziś o północy zakop szmaragdy pod starym dębem nad potokiem. Tylko w ten sposób klątwa zostanie złamana.

To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Tajemniczy przyjaciel

– Czy mogę zatrzymać tę kartkę?

– Oczywiście.

Kartka została znów złożona na pół i zniknęła za pazuchą jego eleganckiej marynarki.

– Czy pani zdaniem panna Evans uwierzyła w treść tego anonimu?

– Zdecydowanie tak – odparłam cicho. – W dniu swojej śmierci wyraziła głębokie przekonanie, że ktoś naprawdę rzucił na nią klątwę. Według Claire owo rzekome przekleństwo wyjaśniało jej złe samopoczucie, kłopoty ze zdrowiem oraz wypadanie włosów. Była zdecydowana, żeby zakopać szmaragdowy naszyjnik w ogrodzie bez względu na konsekwencje.

– O naszyjniku pomówimy później, panno Hyde – wtrącił Aleister Crowley. – Skupmy się na razie na pani przyjaciółce.

– Oczywiście. – Przełknęłam ślinę. Sięgnęłam po szklanekę chłodnej wody. Detektyw poczekał, aż odstawię ją na srebrną tacę, i zadał kolejne pytanie.

– Twierdzi pani, że panna Evans uwierzyła, że padła ofiarą klątwy. Musi

pani przyznać, że to dość... niezwykle przekonanie. Przekonanie, któremu Claire Evans uległa z zaskakującą łatwością.

W milczeniu skinęłam głową.

– Dobrze znała pani pannę Evans. Czy pani przyjaciółka zawsze była tak przesądna? Czy z natury łatwo ulegała perswazjom?

Lekko zmarszczyłam czoło.

– Nie – zaprzeczyłam. – Claire, jaką kiedyś znałam, była rozsądna i pogodna. Zmieniła się, od kiedy zamieszkała w Dworze pod Cisami. Zauważyłam to jeszcze przed moim przyjazdem, kiedy czytałam jej listy. Dawała w nich wyraz różnym obawom. Ulegała narastającemu przygnębieniu...

Detektyw skinął głową.

– A więc potwierdza pani, że w ostatnich dniach życia panna Evans zachowywała się nieswojo.

– To trafne określenie – potwierdziłam.

Detektyw rzucił okiem na swój notes.

– Wszyscy domownicy twierdzą to samo – stwierdził. – Zauważyli u panny Evans zmiany w zachowaniu: nerwowość, apatię i przygnębienie. Stąd bierze się moje kolejne pytanie. Proszę zastanowić się przez chwilę i odpowiedzieć na nie ze spokojem. – Detektyw zaczerpnął głębszego oddechu. – Czy sądzi pani, że panna Evans mogła chcieć popełnić samobójstwo?

– Samobójstwo? – Mój puls gwałtownie przyspieszył. – Sugeruje pan, że Claire sama otruła się arsenikiem?! To niedorzeczne! – zawołałam, piorunując detektywa spojrzeniem. Do tej pory ta rozmowa mnie przygnębiała, teraz poczułam nagły poryw gniewu. Claire samobójczynią?! Nigdy! – Panie Crowley, przecież Claire miała wyjść za mąż. Stała u progu nowego, cudownego życia. Kochała hrabiego, a on kochał ją! Czy ktokolwiek w takiej sytuacji się zabija? Nie! Claire nigdy by tego nie zrobiła! – oświadczyłam zdecydowanie. – Niech pan znajdzie lepiej autora anonimu, który miał ją zastraszyć... To ten ktoś próbował zrobić z Claire osobę szaloną! Ale ona taka nie była!

– Panno Hyde, nie chciałem pani obrazić. Ani tym bardziej urągać pamięci panny Evans – oznajmił detektyw z lekkim ukłonem. – Proszę zrozumieć, że biorę pod uwagę różne scenariusze.

Przełknęłam ślinę, walcząc z grudą w gardle. Pod powiekami zapiekły mnie suche łzy. Poczułam, że potrzebuję przerwy w rozmowie.

– Proszę znaleźć autora anonimu – powtórzyłam i poderwałam się z krzesła. – Jestem pewna, że on musiał wiedzieć coś o stanie zdrowia Claire – szepnęłam gniewnie, po czym ruszyłam do drzwi.

* * *

Chwyciłam parasolkę. Mimo siąpiącej z nieba lekkiej mżawki zamierzałam wyjść do ogrodu, żeby w samotności nieco ochłonać. Jednak znalazłszy się na wysypanej żwirem alei, w pewnej odległości zobaczyłam doktora Watsona. Lekarz w zalanych wodą binoklach kulił się na tarasie i osłaniał głowę papierowym namiotem z rozpostartej szeroko gazety.

Ruszyłam ku niemu.

– Co pan tu robi, doktorze? – Użyczyłam mu miejsca pod parasolem i przysunęłam się bliżej.

– Chronię się przed burzą, panno Madeline.

– Doprawdy? – Uniosłam jedną brew, patrząc krytycznie na rozmiękające z wolna wydanie „Timesa”.

– Mam na myśli burzliwą dyskusję. A dokładniej mówiąc, awanturę, przed którą uciekłem właśnie tutaj. Proszę mi wierzyć, najlepiej będzie, jeżeli jeszcze przez chwilę żadne z nas nie wejdzie do środka.

– Co się stało? – spytałam zaniepokojona.

Lekarz bezradnie rozłożył ramiona, co nie zdarzało mu się nazbyt często.

– *Lady Verinder*, hrabia Derek, pan Evans i *monsieur* Dubois posprzecjali się o obraz.

– O portret Claire? – dopytywałam naiwnie, zrobiwszy wielkie oczy. W gruncie rzeczy już wiedziałam, że nie mogło chodzić o nic innego.

– Nie inaczej.

– Ale... nie rozumiem...

– To tak samo jak ja, panno Madeline. Zanim wyszedłem, nie chcąc być dłużej świadkiem owej sceny, zdołałem pojąć tylko, że *lady Verinder* postanowiła przekazać portret zmarłej jej bratu. Ta decyzja nie spodobała się hrabiemu, który żywo przeciw niej zaprotestował. Oburzony pan Evans zarzucił hrabiemu, że ów nie ma moralnego prawa do zatrzymania portretu, skoro panna Evans padła ofiarą otrucia pod jego dachem. Wypomniał mu też jego wyjazd do Londynu nazajutrz po śmierci narzeczonej. Mało brakowało, a hrabia, urażony w swym poczuciu honoru, wyzwałby pana Evansa na pojedynek na pistolety!

Poczułam na ramionach gęsią skórę.

– Da pani wiarę? – kontynuował z rosnącym niedowierzaniem doktor Watson. Najwyraźniej jego spokojne i skrajnie racjonalne usposobienie z trudnością radziło sobie z podobnym pomysłem. – Ten hrabia to wielki

romantyk. Obaj panowie dali się ponieść fantazji. – Lekarz westchnął. – Na szczęście zainterweniowała hrabina, która zganiła wojownicze zapędy syna... „Co ludzie powiedzą?” – zawołała. „Będzie się mówiło, że rodzeństwo, siostra i brat, zginęli pod tym dachem z twojej ręki!”. To całkiem ostudziło zapał hrabiego, który przez chwilę był chyba nawet gotów na przeprosiny... Ale wówczas, za sprawą *monsieur* Dubois, z całą gwałtownością powrócił temat obrazu.

– Za sprawą pana Dubois? To znaczy?

Z początku malarz sącył brandy w fotelu i zdawał się nie zwracać uwagi na krzyki. Wszyscy byli tak przejęci w swoim zacierzewieniu, że nikt poza mną go chyba nie zauważył. I wtedy... – Doktor zawiesił głos. – Wtedy jakieś licho podkusiło starszego pana, żeby się odezwać.

– Co powiedział?

– Że skoro hrabina, hrabia i pan Evans nie mogą się dogadać, to on, jako twórca dzieła, z chęcią je zatrzyma. Za to stwierdzenie padły na niego gromy z ust hrabiny. Wszyscy znowu zaczęli się kłócić. Wtedy wyszedłem.

– Więc nie wie pan, co zdecydowali?

– W sprawie obrazu? O nie. Grunt, że nie będą do siebie strzelać.

Odetchnęłam.

– Ma pan rację. Ten dom nie zniósłby kolejnego nieszczęścia.

Doktor Watson ze smutkiem pokiwał głową.

– Czasem los nas zaskakuje, panno Madeline.

* * *

Doktor Watson przejął mą parasolkę, a ja ujęłam go pod ramię. Żwirową ścieżką ruszyliśmy na spacer w drobnym deszczu. Wokół nas z rozpostartego parasola zsuwały się łańcuszki srebrnych kropel.

– Przykro mi, że pana w to wciągnęłam, doktorze – odezwałam się po chwili ciszy, która jednak wcale mi nie ciążyła. Wręcz przeciwnie, szum deszczu brzmiał kojąco w porównaniu z szumem myśli. – Oderwałam pana od pańskich spraw w Torquay i od pana stałych pacjentów, a teraz... – głos mi się lekko załamał. – Czuję się winna.

– Niepotrzebnie – zapewnił mnie lekarz. – Pomagam dojść do zdrowia pannie Verinder, a więc wypełniam tu moją lekarską powinność. Proszę pamiętać, że gdybym nie mógł, to po prostu bym nie przyjechał.

– Jak długo planuje pan zostać?

– To kwestia dni. – Doktor Watson popatrzył mi prosto w oczy. – Stan

panny Verinder stopniowo się poprawia. Poza tym wierzę, że już niedługo detektyw Crowley rozwikła zagadkę śmierci panny Evans. Muszę pani wyznać, że tak jak pani czekam na to z niecierpliwością. Mam słabość do takich spraw. Ta zaś wyjątkowo mnie intryguje.

Na wzmiankę o detektywie poczułam ukłucie niedawnego oburzenia, wywołanego pytaniami o możliwe samobójstwo Claire.

– Wiem, że pan Crowley jest sławny, ale czy dość przenikliwy? – rzuciłam w przestrzeń dręczące mnie pytanie. – W końcu gazety bywają mało rzetelne, a on jest znany głównie jako bohater kroniki kryminalnej.

Doktor zajrzał mi w oczy zza okrągłych szkiełek binokli.

– Trochę się znam na ludziach i wydaje mi się, że pan Crowley wie, co robi. Westchnęłam.

– Powiedział mi, że nigdzie nie znaleziono śladów trucizny.

– Ma pani na myśli arszenik. To prawda, nigdzie go nie znaleziono. Lecz jeśli chodzi o inne trucizny, coś jednak znaleźliśmy...

– Co takiego?!

Serce uderzyło mi o takt szybciej.

– To belladonna, sok z wilczej jagody. Łacińska nazwa tej rośliny brzmi *Atropa belladonna*. Czy wie pani, że słowo *Atropa* wywodzi się od greckiej bogini przeznaczenia, najstarszej z Mojr, tej, która przecinała nić życia? Zaś *belladonna* oznacza piękną kobietę...

– *Zadziwiająca koincydencja, prawda?* – szepnęłam z goryczą, myśląc o tragicznym przeznaczeniu, które stało się udziałem pięknej i niewinnej Claire.

Doktor Watson powoli skinął głową.

– Belladonna znajdowała się w szklanym flaconie. Jak mniemam, panna Evans zakraplała ją do oczu dla podkreślenia ich urody.

Przełknęłam ślinę.

– Owszem. Czyniła to przed każdą sesją malarską. Wydaje mi się, że za namową hrabiny... *Lady Veringer* chciała, żeby spojrzenie Claire na portrecie nabrało dodatkowej głębi. – Mimowolnie się wzdygnęłam. – Czy sądzi pan, że Claire mogła się otruć belladonną?!

– Jak pani wie, objawy zatrucia, które stwierdzono u panny Evans, wskazują najprawdopodobniej na arszenik – odparł nieco wymijająco doktor Watson. – Ale przy przewlekłych zatruciach wiele przyczyn może się ze sobą łączyć, co utrudnia lekarzowi dokładną ocenę. Belladonna jest silną trucizną i jej częsty kontakt ze spojówkami oczu mógł powodować część dolegliwości, na które skarżyła się pani przyjaciółka.

– Jakże dokładnie? – spytałam.

– Cóż, w pierwszej kolejności, to znaczy zaraz po zakropleniu do oczu, wilcza jagoda upośledza wzrok. To dlatego, że zawiera atropinę, która nie tylko rozszerza źrenicę, lecz również poraża mięśnie zawiadujące pracą oka. Obraz, który widzi osoba po zakropleniu atropiny, staje się rozmazany, niewyraźny...

Pokręciłam głową.

– Nie zauważyłam, żeby Claire pogorszył się wzrok.

– Brak ostrości widzenia jest tymczasowy. W przypadku kropel, które stosowała panna Evans, zazwyczaj mija po upływie kilku godzin.

– Rozumiem. – Skinęłam głową. – Jakie są inne skutki działania wilczej jagody?

– Pobudzenie, nudności, zaburzenia wzroku i słuchu. W różnym natężeniu, rzecz jasna. W mojej opinii niektóre jej kłopoty ze zdrowiem mogły wynikać ze stosowania belladonny. To tylko hipoteza, oczywiście.

– Rozumiem – odparłam znów i zatrzymałam się na ścieżce.

Byłam tak zatopiona w chmurnych myślach i pochłonięta rozmową z doktorem, że dopiero teraz spostrzegłam, iż doszliśmy prawie nad brzeg potoku. Stare drzewo z wyrytymi nań inicjałami Deidre Verinder groźnie szumiało w siąpiącym wciąż deszczu, pochylając się nad ciemną wodą. Ślad po uderzeniu pioruna ciągnął się niemal wzdłuż całej wysokości mocarnego pnia, niczym szeroka jasna szrama otoczona czarnymi strupami spalenizny.

– Panno Madeline?

– To tutaj zgubiłam naszyjnik ze szmaragdami – rzekłam głucho. – Wypadł mi z rąk, kiedy w ciemności ujrzałam kobiecą postać.

– Widziała pani w nocy obcą kobietę? – Doktor Watson zmarszczył brwi i poprawił na nosie binokle. – To było w noc śmierci panny Evans, prawda?

Przytaknęłam.

– Czy mówiła pani o tym detektywowi?

Potrząsnęłam głową.

– Nie sądzi pan, że stałabym się niewiarygodna?

– Niby dlaczego?

– Bo wszyscy twierdzą, że to była zjawą. Duch tragicznie zmarłej damy w zielonej sukni... – wyszeptałam. – To znaczy nie wszyscy, ale jest pewna legenda...

Zawiesiłam głos, a doktor Watson dotknął mojej dłoni.

– Panno Madeline! Proszę niczego nie zatajać. I nie przejmować się, co pomyślą inni. Nie do nas należy teraz ocenianie faktów. To zadanie dla detektywa – rzekł zdecydowanie.

16. SEKRET ZIELONEJ SUKNI

Poszłam za radą doktora Watsona. Tamtego popołudnia opowiedziałam detektywowi Crowleyowi o duchu Deidre Verinder oraz o klątwie szmaragdowego naszyjnika.

– Pozostawiam panu ocenę faktów – powiedziałam, kiedy skończyliśmy rozmowę.

– Dziękuję. Proszę mi wierzyć, że nieczęsto to słyszę, panno Hyde – odpowiedział pan Crowley z lekkim ukłonem.

Nasza rozmowa była skończona i zamierzałam wstać z krzesła, kiedy poczułam poprzez suknię, jak coś miękkiego otarło się o moje złączone nogi. Schyliłam się i niepewnie wyciągnęłam dłoń, żeby delikatnie pogłaskać czarną kotkę. Jej jedwabiste futro było naelektryzowane – chwilowe, niewidzialne napięcie uderzyło opuszki moich palców. W powietrzu rozległy się cichutkie suche trzaski.

– Masz jakieś imię, hmm? – szepnęłam do pomrukującego kota. – Ja pewnie nazwałabym cię Iskrą.

Kilka następnych dni we Dworze pod Cisami upłynęło w dziwnym zawieszeniu. Po pamiętnej kłótni o portret Claire cały czas wyczuwało się napięcie między Jonathanem a hrabią Derekiem. Mimo że obaj panowie zachowywali się wobec siebie jak na dżentelmenów przystało, to prezentowali ów rodzaj lodowatej, nieprzystępnej uprzejmości, jaki zabijał każdą serdeczność.

Detektyw Crowley niczym ogromny kocur myszkował po całym domu – to znikał, to pojawiał się jak cień. Uważnie przysłuchiwał się wszelkim rozmowom, po czym co jakiś czas prosił kogoś z domowników do biblioteki na słówko na osobności. Kilka razy wyjeżdżał do Farnham, po czym wracał i dumał w ogrodzie. Tym wszystkim doprowadzał do szału hrabinę Verinder, która coraz częściej skarżyła się na migreny. Hrabia Derek zaczynał się niecierpliwić.

Miarka przebrała się przy niedzielnym śniadaniu, po rozegraniu się następującej sceny:

– Może opowie nam pan o swoich metodach pracy, panie Crowley? – zwróciła się do detektywa panna Alice, która tego dnia po raz pierwszy od wypadku zeszła na wspólny posiłek do jadalni.

– Cóż... Uważam, że klucz do pracy detektywa tkwi w zamiłowaniu do szczegółów. Potrzebny jest metodyczny umysł oraz wrodzony szacunek do precyzji. A jeśli chodzi pani o kwestie techniczne, korzystam z najnowszych narzędzi, w jakie, dzięki nauce, wyposażyła stróżów prawa nasza epoka.

– To brzmi niezmiernie ciekawie. Czy może pan rozwinąć ten temat?

– Naturalnie. Do tego właśnie zmierzałem. A więc pierwszą z technik, do których nieraz już się uciekałem, są pomiary antropometryczne.

– Cóż to takiego?

W tym momencie do rozmowy wtrącił się Dexter:

– Czyżbyś nie wiedziała, siostrze? Antropometria to technika kryminalistyczna, którą wymyślili Francuzi. Pewien urzędnik z paryskiej Sûreté, nazwiskiem Bertillon, wpadł na pomysł, żeby mierzyć przestępców, między innymi długość ich kończyn oraz obwody czaszek. Z czasem odkrył, że na podstawie tych pomiarów można z powodzeniem rozpoznać recydywistów, w szczególności chodziło rzecz jasna o tych, którzy posługują się fałszywymi dokumentami albo uciekają się do przebrania. Bertillon zaczął katalogować swoje pomiary razem ze znakami szczególnymi zbrodniarzy.

– Ze znakami szczególnymi? – spytałam.

– Takimi jak tatuaże. W ten sposób utworzył pierwszą na świecie kartotekę przestępców. – Dexter Verinder zmrużył różnobarwne oczy i lekko się skłonił w kierunku detektywa. – Przepraszam, że panu przerwałem, panie Crowley. Na swoje wytłumaczenie mogę powiedzieć, że antropometria to dziedzina nie tylko pańskich, ale również moich zainteresowań. Wiąże się z inną moją pasją, fizjonomiką.

Nawet jeśli Aleister Crowley nie był zadowolony z przerywania mu rozmowy z panną Alice, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

– Nie ma pan za co przepraszać, *sir*. – Lekko się skłonił. – Znakomicie wyjaśnił pan, o co chodzi w antropometrii. Sam z pewnością nie zrobiłbym tego lepiej. Wspaniale słyszeć, że zdobycze nauki, która wspomaga stróżów praworządności, cieszą się pańskim uznaniem. Scotland Yard na szczęście również przekonuje się do tych metod. Pewnie nie popełnię nietaktu, jeżeli zapytam, czy słyszał pan również o daktyloskopii.

– Kto o niej nie słyszał?! Od sprawy braci Strattonów gazety nie piszą o niczym innym! – zawołała na to cicho Alice, która w czasie swej zdrowotnej niedyspozycji zaznajamiała się szczegółowo z codzienną prasą.

Rzeczywiście, ostatnio we wszystkich gazetach rozpisywano się o morderstwie popełnionym przez braci Strattonów oraz o sposobie ich zdemaskowania. Ofiarą zbrodni popełnionej na tle rabunkowym był właściciel londyńskiego sklepu z farbami. Świadczyli widzieli uciekających sprawców w czarnych maskach, ale nie mogli dojść do żadnego konsensusu. Elementem rozstrzygającym okazał się odcisk umazanego w farbie kciuka, który zabezpieczono na miejscu morderstwa. Idealnie pokrywał się z odciskiem jednego z podejrzanych.

– Przepraszam, że przerywam – rzekłam cicho, spoglądając na Dextera i na detektywa. – Ale chciałabym obu panom, jako znawcom tych zagadnień, zadać pewne pytanie.

– Będziemy zaszczyceni, mogąc na nie odpowiedzieć, panno Madeline.

Skinęłam głowę.

– Na podstawie pańskiej wiedzy na temat fizjonomiki oraz antropometrii... Czy uważa pan, że może istnieć dwóch ludzi o niemal identycznym wyglądem? Wyjąwszy oczywiście przypadek bliźniaków. Chodzi mi o dwóch ludzi, którzy nie mogą być ze sobą spokrewnieni. – Kiedy wypowiadałam te słowa, ze wszystkich sił starałam się uważać, żeby tylko nie spojrzeć na Jonathana.

Dexter skinął w stronę detektywa.

– Panie Crowley, może zechce pan odpowiedzieć pierwszy?

– Ależ nie, *sir*. Panu, jako gospodarzowi, oddaję pierwszeństwo.

– A zatem: uważam, że jest to możliwe. Już od starożytności uczeni wskazywali na istnienie pewnych typów, nazwijmy to, urody ludzkiej. Jeżeli dwóch ludzi należących do tego samego typu fizjonomicznego pochodziłoby ponadto z podobnej klasy społecznej, to znaczy dorastałoby w podobnych warunkach, otrzymało podobną edukację oraz wykształcenie... W wieku dorosłym mogliby wyglądać niemalże identycznie. Z zaznaczeniem, że nigdy tak samo. A jakie jest pańskie zdanie, panie Crowley?

Prywatny detektyw podkręcił koniuszek czarnego wąsa.

– Zgadzam się z panem niemal całkowicie. Pierwsze wrażenie w przypadku obu tych ludzi mogłoby być zadziwiająco mylące i kazać postronnemu obserwatorowi traktować ich jak sobowtórów. Jednakże już choćby gruntowne pomiary antropometryczne zadałyby kłam temu przekonaniu. Natomiast zdjęcie odcisków palców obu osobników ostatecznie rozwiałoby wszelkie wątpliwości. Czy wiecie państwo, że jak do tej pory nie znaleziono jeszcze dwóch ludzi o takich samych odciskach palców?

– Doprawdy? – zdumiała się hrabina Verinder.

– Tak, *milady*. Za oceanem, łaskawa pani, w Argentynie, to podstawowa

metoda pracy policji śledczej. Za klucz do rejestrowania przestępców służy tam wyłącznie odcisk kciuka!

W tym momencie delikatnie kliknęły zawiasy czarnej walizeczki i detektyw, który nie rozstawał się z malutkim neseserem, niczym magik powierzający publiczności sekret sztuczki ukazał nam jego zawartość.

– Zapraszam do krótkiej prezentacji. Kto z państwa chciałby, żebym zdjął z tego oto przedmiotu jego odciski palców? – spytał pan Crowley, przesuwając po stole śnieżnobiałą porcelanową filiżankę.

– Zgłaszam się pierwsza! – oznajmiła panna Alice.

– Podobno mamy między nami mistrza pędzla – rzekł detektyw, tym razem kierując lekki ukłon ku *monsieur* Dubois, który z wolna zapadał w drzemkę w głębokim fotelu obok hrabiny. – Czy zechce pan, *monsieur*, posłużyć się tym narzędziem?

Pan Dubois, niczym niesforny uczeń, którego nagle wyrwano do tablicy, musiał wysłuchać prośby detektywa jeszcze raz.

– Służę pomocą – zapewnił, gładząc gęstą białą brodę.

– Zatem proszę nanieść pędzelkiem ten oto proszek na filiżankę w miejscach, gdzie dotknęła jej panna Verinder.

Stary malarz ujął pędzelek. Kilka sekund później naszym zdumionym oczom zaczęły się ukazywać pierwsze odciski. Przypominało to pojawianie się na lodowatej szybie wzoru srebrzystych liści i kwiatów, które zimą maluje na szkle ostry mróz.

– Niebywałe! – zawołała Alice. – Jeszcze przed chwilą to było dla nas niewidzialne! Jak gdyby należało do świata duchów.

– Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego – zapewnił pan Crowley. – Opuszki naszych palców, choćby były idealnie czyste, pozostawiają lekko tłustawe ślady. Proszek grafitowy przylega do nich, odwzorowując układ linii wyróżniający każdego człowieka. Teraz, za pomocą miękkiego papieru, mogę pobrać odcisk wprost z gładkiej powierzchni...

Detektyw Crowley nie dokończył zdania. Nagle ktoś z impetem uderzył otwartą dłoń w stół. Sztuńce brzęknęły nerwowo, panie podskoczyły na krzesłach. Oczy wszystkich skierowały się na milczącego dotąd Dereka. Jego dłoń zastygła na śnieżnobiałym obrusie, jak gdyby właśnie rozgniotła wielkiego pajaka.

– Dość tych cyrkowych sztuczek! – warknął hrabia z wściekłym wyrazem twarzy, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam. – Nie płacę panu za tego rodzaju rozrywkowe pokazy! Co ze śledztwem w sprawie arszeniku, panie Crowley?! Czy coś pan odkrył, czy tylko nas pan zwodzi?

W odpowiedzi detektyw zmrużył swe drapieżne, kocie oczy.

– Proszę, żeby za godzinę wszyscy państwo zebrali się w salonie obok. Wówczas wyjawię całą prawdę na temat okoliczności śmierci panny Evans.

Pan Crowley skłonił się i odszedł od stołu.

Pozostali wymienili niespokojne spojrzenia.

– Jak możesz znosić impertynencję tego człowieka?! – zawołała do syna oburzona hrabina. – I pomyśleć, że ty sam sprowadziłeś go pod nasz dach!

* * *

Kiedy godzinę później zgodnie z umową zjawiłam się w salonie, okazało się, że przyszłam jako ostatnia. Na antycznych krzesłach, tapicerowanych szeszlongach oraz puszystych kanapach siedzieli już pozostali domownicy, a wśród nich również doktor Watson, doktor Wilkins oraz pan Maurice Dubois. Spojrzenia ich nie kierowały się jednak na detektywa Crowleya, który w zamyśleniu przemierzał pokój z rękoma splecionymi za plecami... Przyciągał je oparty na sztaludze portret Claire.

Poczułam chłodny dreszcz. Obraz przypominał, że Claire nadal była pośród nas. Ona także, choćby w symboliczny sposób, miała wziąć udział w wyjaśnianiu okoliczności swej śmierci.

Morderca, jeśli naprawdę znajdował się w tym pokoju, został zmuszony, żeby raz jeszcze spojrzeć swej ofierze w twarz.

Usiadłam w obitym skórą fotelu. Po chwili pan Crowley poprosił lokaja o zamknięcie ciężkich drzwi. Wiedziałam, że było to podyktowane dyskrecją, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że detektyw pragnął podkreślić, iż ma nas wszystkich na uwadze...

Byliśmy jak w pułapce.

– Zebrałem tutaj wszystkich państwa, żeby rozwiać wątpliwości dotyczące przyczyny śmierci panny Claire Evans – oznajmił dobitnie detektyw. Jak gdyby jeszcze komuś musiał o tym przypominać... – Zamierzam przedstawić państwu nie tylko wnioski ze śledztwa, ale przede wszystkim sposób, w jaki do nich doszedłem.

Rozejrzałam się wokół. Zgromadzeni zamarli w oczekiwaniu.

– Jak wynika z opinii lekarzy, panna Evans zmarła najprawdopodobniej w wyniku zatrucia arsenikiem. Pytanie brzmi zatem: jak do tego doszło? I czy możliwe, że ktoś celowo podał jej truciznę? – spytał detektyw Crowley. Zrozumiałam, że chce, by każde z nas udzieliło sobie w myślach własnej odpowiedzi. – Pewne zmiany w zachowaniu panny Evans, które zauważyli niektórzy z tu obecnych, to jest melancholia, nerwowość, oznaki wyczerpania,

mogły wskazywać, że panna Evans popadła w depresję. Dość szybko wykluczyłem jednak hipotezę, że młoda dama mogłaby popełnić samobójstwo. Wszystko wskazuje na to, że panna Evans nie miała żadnych powodów, żeby zechcieć pożegnać się z życiem. Która młoda, szczęśliwie zakochana dziewczyna zabija się, mając w perspektywie rychły ślub? I kto odbiera sobie życie wiosną, gdy świat właśnie się do niego budzi? Przyznacie państwo, że teza o samobójstwie jest chybiona.

Nikt nie odpowiedział. Przez pokój nie przebiegł nawet szmer.

– Wobec tego – kontynuował pan Crowley – skąd u niej zmiany w zachowaniu, nerwowość, bóle głowy i melancholia? Obecny tutaj doktor Watson raczył zauważyć, że to wszystko mogły być wczesne symptomy przewlekłego działania trucizny. Jeżeli ma rację, będzie to oznaczać, że nie mamy do czynienia z otruciem jedną zabójczą dawką substancji. Przeciwnie, działanie arszeniku w tym przypadku musiałyby być rozłożone w czasie na dni, a nawet tygodnie. – Słuchając tych słów, mimowolnie się wzdygnęłam.

– Powraca zatem pytanie: czy ktoś celowo podtruwał narzeczoną hrabiego Verindera? Za tą tezę przemawiał fakt, że w dniu śmierci zmarła otrzymała anonim. Pozwolą państwo, że przytoczę teraz jego treść, tak jak ją zapamiętała panna Hyde. – Wstrzymałam oddech.

Detektyw wyciągnął zza pazuchy kartkę i zaczął czytać:

Zostałaś przeklęta. Cięży na Tobie klątwa, której źródłem jest naszyjnik ze szmaragdami. Zadaj sobie pytanie, kto Ci go dał. Ten ktoś od początku źle Ci życzy.

Jeżeli chcesz zapobiec nieszczęściu i zdjąć rzucony na Ciebie czar – dziś o północy zakop szmaragdy pod starym dębem nad potokiem. Tylko w ten sposób klątwa zostanie złamana.

To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Tajemniczy przyjaciel

– *Milady.* – Detektyw z ukłonem zwrócił się do hrabiny. – Czy może pani potwierdzić wierność słów tego listu w stosunku do oryginału?

Lady Verinder drgnęła. W jej ciemnych oczach zapaliły się chłodne, gniewne błyski.

– Jak pan śmie zwracać się do mnie z tym pytaniem? – spytała lodowato. – Czy sugeruje pan, że to ja go napisałam?

– Ależ nie – zapewnił detektyw z ukłonem. – Ale to pani go spaliła. Zakładam więc, że nim to pani uczyniła, dokładnie zapoznała się z treścią. W przeciwnym razie po cóż miałyby pani niszczyć tę kartkę?

Hrabina bezgłośnie westchnęła.

– To prawda. Przeczytałam ten podły anonim. Jeżeli go jednak spaliłam, to dlatego, iż uznałam, że jego treść nie zasługuje na przetrwanie.

– A czy ją pani zapamiętała?

– W moim wieku człowiek stara się wyrzucać z umysłu rzeczy, które przypominają o podłości innych. Spaliłam list pod wpływem impulsu, rozpacz po śmierci mej niedoszłej synowej. Wierzę, że panna Madeline Hyde – tu stara dama spojrzała na mnie przenikliwie – może lepiej niż ja zaświadczyć o prawdziwości spisanych w nim słów. W końcu przejęła się nimi tak mocno, że postanowiła wypełnić polecenie szantażysty.

Poczułam, jak policzki zalewa mi fala gorąca, a dłonie mimowolnie się zaciskają. Hrabina wypowiedziała ostatnie słowa wolno i spokojnie. Poczułam się, jakbym nagle dostała w twarz.

– Dziękuję pani za wyjaśnienie – rzekł detektyw Crowley. Znowu zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. Jego miarowe kroki na perskim dywanie zrównały się z rytmem mego serca. – W anonimie, jak sami państwo słyszeli, pojawia się wątek tajemniczej klątwy. Klątwy, w którą uwierzyła panna Evans. Ten list – detektyw uniósł w górę złożoną kartkę – wywołał na nieszczęsnej młodej damie silne wrażenie. Jak twierdzi panna Hyde, jej zwykle rozsądna przyjaciółka była zdeterminowana, żeby wykonać instrukcję autora anonimu i pozbyć się naszyjnika, który rzekomo miał być źródłem przekleństwa. Reakcja panny Evans na anonim dała mi do myślenia. Czyż i państwu nie wydaje się ona nieco... przesadzona? – Detektyw zawiesił głos, choć byłam pewna, że nie oczekuje odpowiedzi. Jego retoryczne pytanie zostało postawione po to, by przeniknąć do naszych umysłów i zmusić je do dodatkowego wysiłku w podążaniu za mówiącym. – Dlaczego panna Evans tak łatwo uwierzyła w klątwę? Odpowiedź brzmi: ponieważ miała ku temu powody.

– Powody? – wychrypiał cicho Jonathan. Moje serce przeszył ból. – O jakich powodach pan mówi? Proszę przestać igrzać z nami jak z dziećmi i zacząć wyrażać się jasno!

– Robię, co w mojej mocy, *sir*. – Detektyw się skłonił. – Proszę mi wierzyć, że dla pańskiego własnego spokoju ducha ważne jest, żeby prześledzić cały proces dochodzenia do prawdy. Tylko w ten sposób pozbędzie się pan wszelkich wątpliwości.

W salonie znowu zawisła gęsta cisza.

– Pomyślmy – mruknął znów pan Crowley. – Niestety panna Claire Evans od dłuższego czasu czuje się coraz gorzej. Zauważyła, że wypadają jej włosy. A także... Jest przygotowywana na to, żeby łatwo ulec niepokojącej sugestii. W głębi jej duszy zagnieździła się pewna opowieść... Tak, drodzy państwo! Zbyt często nie doceniamy siły opowieści!

– Opowieść? – szepnęła Alice.

– Ależ tak. Jak przypuszczam, od przyjazdu do dworu panna Evans słyszała historie krążące na temat zjawy w zielonej sukni. Od kogo? Być może od służby, od lubiących plotki pokojówek. A może od narzeczonego albo... od innego członka rodziny Verinderów? W końcu arystokracja uwielbia takie opowieści. Rodzinne legendy są tym, co wyróżnia ją spośród szarego ogółu obywateli, przydaje jej splendoru i przypomina o wysoko urodzonych przodkach.

Detektyw przeniósł na mnie swe drapieżne spojrzenie.

– Panna Claire Evans zaczyna wierzyć, że legendarna klątwa jest prawdziwa. Zresztą nie tylko ona ulega temu przeświadczeniu. Niebawem jej przekonanie, przynajmniej do pewnego stopnia, zaczyna podzielać jej przyjaciółka, panna Hyde. – Mężczyzna wykonał lekki ukłon w moim kierunku. Poczułam, jak ze wszystkich stron skupiają się na mnie uważne spojrzenia. – Kiedy rozmawiałem z panną Hyde, po raz kolejny byłem szczerze zdziwiony, z jaką łatwością rezolutna młoda dama uległa sugestii, że przekleństwo istnieje. Okazało się jednak, że panna Madeline miała ku temu dodatkowy powód. Otóż kiedy targana niepokojem w nocy udała się do ogrodu, żeby wypełnić wolę przyjaciółki i pozbyć się przeklętego naszyjnika, w czasie burzy dostrzegła nad potokiem kobiecą postać. Postać, która pojawiła się obok miejsca, w którym przed laty zakopano kobiecą czaszkę...

Spojrzenia zebranych zdawały się kłuć moją skórę niczym koniuszki zimnych szpilek.

– Widziałem tę czaszkę – rzekł detektyw. – Pan Dexter, zawołany znawca fizjonomiki, pokazał mi ją w swojej kolekcji wykopalisk. Czaszka nie należy do świata duchów. Jest prawdziwa. Może pan nam to potwierdzić, Dexterze?

– Ależ oczywiście. – Usta Dextera Verindera, który opierał dłonie na srebrnej rączce laski, wygiął grymas. – To czaszka młodej kobiety. Sam wydobyłem ją z ziemi. Mam podejrzenie, że naprawdę mogła należeć do mej prababki, Deidre Verinder, która utopiła się w potoku.

Hrabina Verinder cicho jęknęła.

– Dziękuję – rzekł detektyw. Po chwili kontynuował przerwany wątek: – A zatem podsumujmy, co wydarzyło się tamtej burzowej nocy. Panna

Madeline Hyde widzi w ogrodzie ducha kobiety w zielonej sukni. Panna Claire Evans umiera po ataku zagadkowej choroby. To aż nadto, żeby uwierzyć w klątwę, prawda? W dodatku, jak gdyby na potwierdzenie tego, że fatum rzeczywiście istnieje i dotyka damy związane z tą rodziną, nazajutrz przytrafia się coś jeszcze, coś, co wygląda na wypadek... Panna Alice Verinder spada ze schodów na widok brata panny Evans. Niemal przypłaca ów upadek życiem. Czy dlatego, że był tak groźny? Owszem. Ale widoczne gołym okiem obrażenia zewnętrzne maskują głębsze przyczyny jej złego stanu zdrowia. Sprawiają, że lekarz traci cenny czas... Dopiero przybyły z Torquay doktor Watson zaczyna coś podejrzewać. Leczy pacjentkę, lecz na moją prośbę milczy na temat tego, co według niego jest faktyczną przyczyną jej choroby.

– O czym pan mówi? – Brwi hrabiny gwałtownie powędrowały w górę, a ciemne oczy rozszerzyły się ze zdumienia. – Jakie przyczyny złego stanu Alice ma pan na myśli?

Pan Crowley spojrział na nią z powagą.

– Pozwoli pani, że przedstawię mój tok myślenia. Pani córka ma silny organizm. Kocha ruch, codziennie jeździ wierzchem. Ma również, odziedziczony po pani, silny charakter. Nie jest kobietą, która z łatwością mdleje. A jednak kiedy panna Alice Verinder stała u szczytu schodów, na widok Jonathana Evansa straciła przytomność. To wzbudziło we mnie pewne podejrzenie. Twierdzę, że za wypadkiem panny Verinder kryje się zatrucie arsenikiem... oraz ogromne wyrzuty sumienia.

– Wyrzuty sumienia?! – powtórzyła hrabina, jak gdyby wzmianka o arseniku nie wywołała na niej wielkiego wrażenia. Dla niej, jako matki, liczyło się tylko to, czy Alice miała okazać się winna.

– Wyrzuty sumienia?! – zawtórowała jak echo panna Verinder i lekko się wzdygnęła. Jej twarz, na której perłowy puder zakrywał siniaki i zadrapania, zbladła mimo starannego makijażu.

– Owszem. – Detektyw popatrzył na zdumioną młodą damę. – Kiedy niespodziewanie stanęła pani oko w oko z bratem zmarłej panny Evans, gwałtownie odezwało się pani sumienie. Przeżycie musiało być tak silne, że spowodowało omdlenie. Tym bardziej że pani organizm był już osłabiony przez truciznę.

– Przez truciznę? – Alice znowu się wzdygnęła. Jej ciemne oczy lśniły jak dwie czarne perły. – Zatem uważa pan... że ktoś chciał mnie otruć? – spytała zaskakująco spokojnie. – A może raczej twierdzi pan, że to ja stoję za otruciem Claire?

– Nie twierdzę, że otruła pani Claire Evans. Przeciwnie, nie miała pani

pojęcia o truciznie.

Tym razem Alice zareagowała bardziej żywiołowo.

– Ależ przed chwilą powiedział pan, że dręczyły mnie wyrzuty sumienia!

Pan Crowley uczynił efektowną pauzę.

– Potwierdzam każde moje słowo. Nie powiedziałem, że zabiła pani pannę Evans. Miała pani wyrzuty sumienia, ponieważ to pani napisała i podrzuciła jej anonim w dniu, w którym młoda dama wyzionęła ducha.

W salonie zaległa cisza jak makiem zasiał. Uporczywe tykanie zegara przypominało monotonne bzyczenie natrętnego owada, którego ma się ochotę ubić gazetą, nim zacznie kąsać. Alice głośno przełknęła ślinę.

– Twierdzi pan, że groziłam Claire?

– Twierdzę, że chciała ją pani przestraszyć. Przypuszczam, że od momentu jej przyjazdu do dworu nie robiła pani nic innego...

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Na początku pobytu Claire we Dworze pod Cisami szybko się z nią pani zaprzyjaźniła. Łatwo odkryła pani jej wrażliwą naturę, pod względem odporności psychicznej przyjaciółka nie mogła się z panią równać. Z początku dla zabawy zaczęła pani snuć coraz straszniejsze opowieści o dziwactwach pani kalekiego brata, a także historie o duchu damy w zielonej sukni... Panna Evans stawała się nerwowa. Być może w którymś momencie zdała sobie sprawę, że zabawia się pani jej kosztem, albo też otwarcie stwierdziła, że nie chce już słuchać żadnych upiornych opowieści. Tak czy inaczej doszło do jakiegoś spięcia, w wyniku którego odsunęłyście się od siebie.

– I podrzuciłam jej anonim w akcie zemsty? To nedorzeczne! – zachnęła się Alice.

– Proszę pozwolić mi skończyć. – Detektyw lekko się skłonił. W swym idealnie skrojonym czarnym garniturze, który leżał na nim jak druga skóra, przypominał mi znowu krążącą po klatce, przyczajoną czarną panterę. – Napisała pani anonim, ponieważ kierowała panią zazdrość. Chociaż otwarcie pani tego nie przyznaje, to, podobnie jak pani matka, po której odziedziczyła pani urodę, jest pani przywiązana do starych rodowych tradycji oraz do pięknych przedmiotów. Takim przedmiotem, pozornie nieosiągalnym, bo przeznaczonym dla żony hrabiego, stał się dla pani naszyjnik ze szmaragdami. Zapragnęła go pani dla siebie. Może dlatego, że znalazł się, że tak powiem, poza pani zasięgiem...

Alice prychnęła niczym rozeżłona kotka.

– W tym celu postanowiła pani wykorzystać słynną legendę o duchu damy w zielonej sukni – kontynuował niezrażony detektyw. – Ale posunęła się pani o jeden krok za daleko... I omal sama nie przyplącała tego życiem.

– O czym pan mówi?

– Nie powinna była pani zakładać zielonej sukni.

– Co takiego?!

– Nic z tego nie rozumiem! – wykrzyknęła nieco piskliwie zirytowana hrabina Verinder.

W salonie zapanował zgiełk i zamęt. Emocje zaczęły brać górę nad rozsądkiem zebranych. Dopiero Dexter, który poderwał się z krzesła, mocno zastukał w podłogę krańcem laski – i wokół znowu zapadła ponura cisza.

– Do licha, wciągnęła mnie ta opowieść! – zawołał brat hrabiego z charakterystyczną dla siebie nutą cynizmu. – Pozwólmy detektywowi skończyć. Dereku, czy nie po to ściągnąłeś pana Crowleya aż z Londynu?

Zdenerwowany hrabia tylko skinął głową. Odchrząknął, zarzucił do tyłu długie poły marynarki w kształcie jaskółczego ogona i usiadł na miejsce. Pozostali poszli za jego przykładem. Tylko Jonathan przez cały ten czas trwał jak skamieniały, wpatrując się w Alice, która unikała jego wzroku.

Teraz detektyw zwrócił się w stronę hrabiny.

– *Milady...* To pani córka zjawiała się w burzową noc w zamkowym ogrodzie. To ją ujrzała panna Madeline Hyde, kiedy o północy podążyła nad potok, żeby zakopać szmaragdowy naszyjnik w miejscu, które wyznaczył autor anonimu. Panna Verinder włożyła zieloną suknię, w której pozowała do portretu panna Evans, żeby z większym powodzeniem udawać ducha damy w zieleni.

– Czy to prawda? – spytała hrabina głosem chłodnym jak kamień.

Alice Verinder milczała, a ja nagle pojęłam, że pan Crowley ma rację! Alice wcale nie znalazła szmaragdów przypadkiem w czasie przechadzki po parku, tak jak mi powiedziała. Znalazła je, bo była nad potokiem, kiedy ja wypuściłam je z rąk.

A także wtedy, kiedy wpadłam do wody.

Wtedy kiedy nieomal utonęłam.

Wzdrygnęłam się od paralizującego wewnętrznego zimna, w którym tężała nawet moja dusza.

– Przypomnijmy... Jest burzowa noc. Panna Claire Evans nagle zachorowała i już wiadomo, że nie będzie w stanie wypełnić instrukcji zawartej w anonimowym liście. Lecz panna Verinder rozumie, jak bliska przyjaźń łączy Claire i Madeline. Może panna Hyde już wie o anonimie? Istnieje możliwość nie do zlekceważenia, że to panna Hyde, a nie panna Evans zjawi się o umówionej porze z naszyjnikiem. We Dworze wyraźnie nikt nie ma zamiaru kłaść się na spoczynek. Jak w tych okolicznościach panna Verinder ma wymknąć się niepostrzeżenie do ogrodu? Naszyjnik jest zbyt cenny, żeby

pozostawić tę sprawę przypadkowi i udać się nad potok dopiero nazajutrz rano... Przed panną Alice prezentuje się jeszcze jedna istotna trudność: pada deszcz. A raczej: szaleje ulewa. Jeżeli młoda dama pokaże się komuś przemoczona, niewątpliwie zwróci na siebie uwagę i będzie to dowód, że wychodziła na zewnątrz. Tym samym może dać pannie Madeline powód do podejrzeń, a nawet zostać powiązana z anonimem... W jaki sposób wybawić się z tego kłopotu? Kiedy trzeba jechać po lekarza dla panny Evans, panna Alice zgłasza się z ochotą. Więcej nawet: wybiega pędem na deszcz. Jedzie do Farnham wierzchem, a nie powozem, lecz wszyscy znają jej porywczy charakter oraz miłość do koni – nikogo to nie dziwi. A jednak, jak już powiedziałem wcześniej, młoda dama popełnia pewien ważny błąd. Tej nocy planowała udawać zjawę i już ma na sobie historyczną zieloną suknię, którą dotąd zakładała panna Claire. Trucizna, która wyniszczyła pannę Evans, zaczyna działać...

– Nie pojmuje! Pan sugeruje, że źródłem trucizny była suknia? Niczym w micie o Heraklesie i Dejanirze? – zapytał cichym, stłumionym głosem hrabia Derek.

– W istocie, *sir* – odparł detektyw. – Za chwilę pojmiecie państwo sami, że nie może być inaczej. Proszę spojrzeć tutaj.

Z tymi słowami pan Aleister Crowley podszedł do portretu Claire. Serce mi się ścisnęło. Dama ze szmaragdami spoglądała na nas z cieniem zagadkowego uśmiechu. Claire, która za życia nigdy nie lubiła być w centrum uwagi, po śmierci przykuwała spojrzenia wszystkich. Jej nieruchome oczy zdawały się podążać za widzem za sprawą tajemniczej iluzji – niczym spojrzenia świętych we wnętrzach barokowych kościołów Europy.

– Wszystko w tym obrazie odwraca uwagę widza od sukni – zaczął cicho detektyw. – Prześliczna modelka. Jej złocistorude włosy, oczy o rozszerzonych źrenicach. Dla zwiększenia efektu, za radą przyszłej teściowej, panna Evans wkraplała do nich belladonnę, która jest trująca i która z początku stanowiła fałszywy trop... Uwagę przykuwa także naszyjnik ze szmaragdami wyeksponowany na szyi dziewczyny. W rozmowach ze mną wszyscy twierdzili, że to on jest źródłem kłopotu. Podczas gdy okazała się nim suknia...

Tym razem nikt się nie odezwał. Nikt nie zaprotestował, nie zadawał pytań. Wszyscy obecni, łącznie z panną Alice, wpatrywali się w obraz jak zahipnotyzowani.

– Panie Dubois, pan jest mistrzem pędzla... – detektyw niespodziewanie zwrócił się do starego malarza – ...a także znakomitym znawcą barw. Czy może pan dla nas określić, jakiego koloru jest suknia na obrazie?

– To zieleń paryska – odparł staruszek ochrypłym głosem. Drżącą ręką

gładził białą brodę. – Niezwykle modna jeszcze pięćdziesiąt lat temu.

Pan Crowley skinął głową.

– Dziękuję, *monsieur*. Słyszeli państwo, co powiedział malarz. „Zieleń paryska” to malarska nazwa barwnika, którym nasączono materiał sukni. Chemiczy znają go jako „zieleń Scheelego”, od nazwiska aptekarza, który jako pierwszy uzyskał tę barwę w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym. Fachowa nazwa to wodorooarsenin miedzi. Składnikiem nadającym kolor jest arsenik.

Gardło ścisnęła mi groza.

Detektyw Crowley wsunął na dłonie skórzane rękawiczki, po czym uchylił drzwi salonu i zawołał pokojówkę. Laura przyniosła mu wieszak z suknią w grubym pokrowcu. Detektyw rozwinął część tkaniny. *Lady Verinder*, która wcześniej nie pozwalała nikomu oglądać sukni, teraz nie pisnęła nawet słowem.

– Porównajmy oryginał z obrazem. Proszę, przyjrzyjcie się państwo tkaninie. Moim zdaniem na płótnie widzimy idealne wręcz odwzorowanie barwy sukni przez malarza. Coś jednak umknęło artyście. *Monsieur Dubois* nie namalował tych oto plam z błota.

Detektyw Crowley pokazał brzeg sukni. Pokrywały go brunatne smugi i rozbryźnięte kleksy. Zaschnięte błoto przypominało zakrzepłą krew.

– Pan Dubois nie mógł namalować plam z błota, ponieważ kiedy panna Evans mu pozowała, na materiale jeszcze ich nie było. Błoto oblepiło dół sukni, kiedy panna Alice w czasie ulewy zakradła się w niej do ogrodu.

Zdawało mi się, że w gęstej ciszy mogę słyszeć nasze myśli niczym trzaski pękającej kry. Fragmenty lodowatej układanki tworzyły z wolna logiczną całość wokół osoby panny Verinder. Błada Alice zastygła pośród nas niczym dumna i niewzruszona Królowa Śniegu.

– Twierdzi pan, że Alice zatrzymała się arszenikiem z sukni – odezwała się cicho jej matka. – Przypomnę zatem, że zgodnie z pańską teorią Alice miała na sobie tę suknię tylko raz. A narzeczona mego syna pozowała w niej malarzowi tygodniami, zanim...

– ...zanim to ją zabiło? To zamierzałaś powiedzieć, prawda, matko? – przerwał bezbarwnym głosem hrabia Derek.

Hrabina przytaknęła powolnym, mechanicznym ruchem głowy.

– Wszystko przez deszcz – stwierdził dobitnie detektyw Crowley.

– Nie rozumiem.

– Pannę Evans przed bezpośrednim kontaktem z arszenikiem chroniły liczne warstwy bielizny. Natomiast w czasie deszczu mokry materiał przywarł do ciała panny Verinder jak druga skóra. W dodatku woda wypłukiwała

z niego truciznę, co zwiększyło istotnie jej dawkę.

Lady Verinder poderwała się z krzesła. Jej ciemne oczy patrzyły teraz na Dereka z niemym błaganiem, ślepą miłością i wielkim przestraszaniem.

– Bóg mi świadkiem, że tuż po mym ślubie z twoim ojcem pozowałam do portretu w tej samej sukni! – zawołała z rozpaczą. – I nadal żyję!

Detektyw Crowley spojrzął na nią współczująco.

– *Milady*, przypuszczam, że ocalała panią panująca moda.

– To znaczy? – Hrabina przyłożyła dłoń do czoła.

– Wiem, że nie powinno się mówić o wieku damy...

– Mój wiek jest moim najmniejszym problemem, panie Crowley! Proszę nie bawić się teraz w konwenanse! Wiem, że jestem stara! Do rzeczy!

Zbesztany detektyw tylko się skłonił.

– W czasach pani młodości pod wierzchnią suknią damy nosiły jeszcze więcej warstw bielizny niż dzisiaj. Gorset, pantalonek, halka, stelaż... – wymieniał nieco chaotycznie. – To dlatego suknią pani nie zabiła. Arsenik praktycznie nie miał kontaktu ze skórą.

Cisza znowu poraziła moje zmysły. Po nieskończonej długiej chwili przerwał ją Jonathan.

– Więc śmierć Claire to był... czysty przypadek?

Detektyw Crowley przytaknął.

– Tak, można nazwać to nieszczęśliwym wypadkiem. Bardzo mi przykro.

– Ale kto nasączył suknię arsenikiem? – wyjąkałam, czując, że cała drzę.

Nieoczekiwanie odpowiedzi udzielił Dexter.

– Być może ten, kto to zrobił, korzystał z zapisków słynnego alchemika.

– Johna Dee?!

Dexter wzruszył krzywymi ramionami.

– Alchemicy na królewskich dworach zajmowali się nie tylko próbami transmutacji ołowiu w złoto, lecz także między innymi barwieniem tkanin. Wielu z nich odkryło pewne substancje chemiczne na długo przed tym, nim na nowo ujrzała je nasza epoka.

– Ktokolwiek lata temu farbował materiał na suknię na modny zielony kolor, zapewne nie wiedział, z jak niebezpieczną trucizną igra – rzekł cicho doktor Watson. – Zieleń Scheelego była w powszechnym użyciu jeszcze pięćdziesiąt lat temu. Od tamtego czasu chemia poczyniła znaczne postępy. Obecnie prawie nie stosuje się arseniku do barwienia tkanin.

Przypuszczałam, że pozostali myśleli o tym samym, co ja. Z każdą upływającą sekundą narastało w nas przekonanie, zmieniające się w pewność, że detektyw i lekarz mają rację. W naszych umysłach tajemnica zaczynała się zasklepieć niczym rana po chirurgicznym szyciu. Jej brzegi

zbliżały się do siebie, w puste miejsca wstępowało nowe ciało. Prawda pojawiła się na powierzchni zdarzeń jak świeża blizna – patrzenie na nią przypominało o bólu.

– Alice, czy to prawda? – Ciężki głos hrabiego Dereka przeszył przestrzeń. – Czy to ty podrzuciłaś Claire anonim?

Panna Verinder bardzo powoli wstała z krzesła. Wyraz jej twarzy świadczył sam za siebie.

– Tak. Przyznaję się do wszystkiego. Gdybym wiedziała, jakie upokorzenie mnie czeka, wolałabym zabić się, spadając z tych przeklętych schodów.

– Nie pleć głupstw! – zawołała hrabina w taki sposób, że wcale nie byłam pewna, czy miała na myśli jej życzenie sobie śmierci, czy też przyznanie się do winy.

Hrabia Derek również wstał. Boleśnie zdałam sobie sprawę, że dawny czar, który bił od młodego arystokraty, całkiem się rozpułynał. Melancholijne oczy o barwie malachitu podbiły głębokie cienie. Na przygładzonych odrobiną pomady skroniach skrzyły się pierwsze pasemka siwizny. Nawet garnitur z wełny w najlepszym gatunku nie mógł ukryć zmiany w jego postawie – ramiona lekko pochylały się ku ziemi, w dziwny sposób upodabniając Dereka do Dextera.

– Ty sama wywołałaś to upokarzające przedstawienie, siostrze.

Alice powoli pokręciła głową. Ciemne włosy zsunęły się jej na ramiona.

– Nie skrzywdziłam Claire.

– Ale jej groziłaś!

– Ja tylko chciałam ją przestraszyć...

Derek gwałtownie chwycił Alice za ramiona. Dziewczyna syknęła, mocno wciągając powietrze.

– Przystraszyć?! – krzyknął jej prosto w twarz. – Z twojego powodu panna Hyde mogła utonąć! – przypomniał, wcelowując we mnie palec. – Claire odeszła z tego świata w przekonaniu, że dosięgło ją przekleństwo naszego rodu! Pojechałem do Londynu po detektywa, żeby próbować ocalić honor tej rodziny! A ty... Czemu się nie przyznałaś?! Dlaczego nic nie powiedziałaś, Alice?! Przecież miałaś szansę!

Panna Verinder patrzyła mu w oczy wyzywająco, jakby czekała, aż przy wszystkich ją spoliczkuje. Derek jednak ostatekiem sił się opanował. Oczekiwał na jej odpowiedź.

– Kiedy? Kiedy miałam ci powiedzieć? – syknęła, potrząsając głową. – Wtedy kiedy Claire umarła, a ty nie chciałeś widzieć nikogo na oczy? Miałam przysporzyć ci jeszcze więcej bólu? W tamtej chwili zniechęciłbyś mnie... Przeraziłam się, że mógłbyś pomyśleć, że to ja... że to ja mogłam mieć coś

wspólnego z jej śmiercią.

– Więc uważasz, że nie uwierzyłbym w twoją niewinność?

– Nie wiem! Miłość do Claire cię zaślepiła!

Derek odskoczył od niej jak oparzony.

– Zamilcz, siostrze, bo za siebie nie ręczę!

Jego groźba tylko rozjątrzyła Alice.

– Teraz mam milczeć?! Milczałam wcześniej! Po upadku ze schodów było za późno, żeby się przyznać. Kiedy się ocknęłam i zdałam sobie sprawę, jak wszyscy się o mnie zamartwiają... Jak miałam powiedzieć tym, którzy o mnie dbali, że nie jestem warta ich wysiłku ani ich modlitw, ni współczucia? – Z oczu panny Verinder trysnęły łzy. – Moje sumienie stało się dla mnie najgorszym katem. Uwierz mi, odpokutowałam za strach Claire!

Alice zerwała się z miejsca i wybiegła z salonu z rozwianymi włosami i rozkloszowaną suknią niczym wypłoszona nagle zjawa. Trzaśnięcie drzwi odbiło się głuchym echem w moim sercu.

Ciszę przerwał niespodziewanie ochrypły głos pana Maurice'a Dubois.

Staruszek głęboko odchrząknął, po czym zwrócił się do detektywa:

– Tak... Skoro ta sprawa jest już wyjaśniona, to chyba mam dla pana nowe zadanie. To drobnostka, błahostka... Ale dla mnie... – Stary malarz rozchylił pomarszczone usta.

– O co chodzi, *monsieur* Dubois? – ponaglił go zaskoczony pan Crowley.

– Cóż... – Staruszek nerwowo pogładził brodę. – Gdy pakowałem moje przybory malarskie, zauważyłem, że zginęła gdzieś niebieska farba. Pomyślałem, że to bardzo dziwne, prawda?

Mimo pewnej groteskowości sytuacji detektyw Crowley nie stracił zimnej krwi.

– Niebieska farba? – Bezwiednie podkręcił wąsa. – Jest pan pewien, że jej pan nie użył?

– Cóż... – Stary malarz zaczął się zastanawiać. – Wtedy zostałby chociaż pusty pojemnik, prawda?

– Nie wyrzucił pan pojemnika?

– Hmm, hmm... Nie jestem pewien.

– Niebieska farba? – Doktor Watson zmarszczył brwi.

– Niebieska farba? – powtórzył cicho hrabia Derek.

– Niebieska farba? – pisnęła hrabina, wieńcząc w ten sposób pytające *crescendo*.

Pan Dubois pokiwał głową.

– Ależ to nonsens! – zawołała *lady* Verinder z rozpaczą.

Burza uczuć, którą niewątpliwie przeżywała, dowiedziawszy się o postępku

swojej córki, nagle znalazła sobie ofiarę w postaci malarza.

– Mówiliśmy tu o sprawie śmierci panny Evans! – krzyczała *lady* Verinder.
– Mówiliśmy o winie mojej jedynej córki! A pan! – Oskarżycielsko wycelowała w niego palec. – Pan martwi się w tych okolicznościach... jakąś farbą?!

– Nie chciałbym przerywać, matko, ale po tym, co właśnie usłyszeliśmy, radziłbym z większą powagą traktować substancje nadające kolor – odezwał się przytomnie Dexter. – Chyba nie muszę przypominać, że Claire umarła, a moja siostra otarła się o śmierć właśnie z powodu „jakiejś farby”. Można stwierdzić, że zatruty się zielenią – stwierdził mężczyzna z dziwnym błyskiem w oku.

Lady Verinder przyłożyła dłoń do czoła i bez słowa opadła na fotel.

– Moja głowa... – jęknęła i ucichła.

Doktor Watson najwyraźniej jako jedyny wziął sobie do serca uwagę Dextera.

– Co to była za farba, panie Dubois? O jaką substancję chemiczną chodzi?

Stary malarz podrapał się za uchem.

– Błękit pruski, *monsieur*.

– Zatem mogę państwa uspokoić. Błękit pruski nie jest trujący. Lub raczej: nie jest zaliczany w poczet trucizn.

– Na pewno? – wyjąkała hrabina, unosząc twarz, którą dotąd ukrywała w dłoniach.

– Na pewno. Mogą państwo spać spokojnie.

Kiedy *lady* Verinder uzyskała potwierdzenie, że nie chodzi o żadną truciznę, jej rozpacz obróciła się we wściekłość graniczącą z tłumioną furią.

– I widzi pan, panie Dubois? Po cóż zawraca pan wszystkim głowę swym błękitem?! Czy sądzi pan, że mamy tu za mało zmartwień? Ach, ci artyści! Wiecznie z głową w chmurach! Na pewno sam pan gdzieś zapodział farbę. Radzę rzadziej zaglądać do kieliszka, a przedmioty wokół pana przestaną znikać!

Pomarszczone policzki malarza pokraśniały. Wstał i skłonił się głęboko.

– Raczą mi państwo wybaczyć... *Madame*... – wyjąkał skruszony. – Jeszcze raz przeszukam moje atelier. – Z tymi słowami staruszek opuścił pokój niczym złajany przez właścicielkę stary basset.

– Czyżbyśmy kończyli z hipokryzją? – spytał Dexter, zerkając na hrabinę. Odpowiedziała mu wejrzeniem zimnym jak lód.

– Powiedziałam panu Dubois prawdę. Nie ma dnia, żeby nie sączył brandy. Czy fakt, że nie upija się do nieprzytomności, może go tłumaczyć? W jego wieku to po prostu niesmaczne!

– Wielcy artyści mają słabość do używek – mruknął Dexter filozoficznie i wzruszył garbatymi ramionami. – Może alkohol pomaga mu tworzyć.

– Starość w połączeniu z brandy robi swoje – ucięła hrabina. – Uważam, że *monsieur* Dubois ma początki demencji. Rozumiem, że może gubić różne rzeczy, ale żeby wspominać o tym właśnie teraz! Wyślę pokojówkę, żeby pomogła mu szukać nieszczęsnej farby. Im szybciej on stąd wyjedzie, tym lepiej. Może chciał mnie zdenerwować, bo jest zły za ten obraz...

– Za obraz? – spytał hrabia Derek z twarzą lunatyka, którego zbudzono w środku somnambulicznego snu.

Jego matka lekko machnęła dłonią.

– Wyobrażacie sobie państwo, że Dubois chciał go odkupić? To przecież niedorzeczne! Zapłaciłam mu, żeby go dla nas namalował.

– Portret Claire?

– A cóżby innego? Przyznają państwo, że to czysta impertynencja. Ale cóż, starość sprawia, że zapominamy o manierach.

Przez chwilę wszyscy jak skamieniali wpatrywali się w cudny portret na sztaludze.

Moją duszę drążył straszny ból.

– Jakie ma pani plany wobec tego obrazu? – spytałam hrabinę ściszonego głosem.

W odpowiedzi *lady* Verinder cicho odchrząknęła. Jej głos znowu stał się spokojny i pełen troski.

– Dobrze, że pani pyta, panno Hyde. W tych smutnych i strasznych okolicznościach, w jakich się znaleźliśmy, ostatecznie zdecydowałam, że to pan Evans powinien otrzymać portret zmarłej siostry. – Zauważyłam, że Derek spojrział na nią zaskoczony, ale chyba nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi. – Jonathanie... – Spojrzała na bladego jak śmierć brata Claire. – Panu się on po prostu należy.

* * *

Przed wyjazdem z Dworu pod Cisami chciałam ostatni raz odwiedzić grób Claire. Pojechaliśmy na cmentarz razem z Jonathanem. W powozie prawie nie odzywaliśmy się do siebie. Cisza trwała również na cmentarzu. Kamienny anioł przy mogile Claire zanosił modlitwę razem z chórem świergocących ptaków, które uwiły gniazda w koronach rozłożystych drzew. Bardzo pragnęłam coś powiedzieć, ale czułam, że słowa to za mało.

– Jutro wracasz do Torquay? – spytał wreszcie Jonathan.

– Porannym pociągami. – Skinęłam głową, podniósłszy na niego wzrok. – Wyjeżdżam razem z doktorem Watsonem. A ty? Kiedy wracasz do Londynu?

– Dziś wieczorem – odparł mężczyzna kategorycznym tonem. – Nie zamierzam zostawać we dworze Verinderów ani minuty dłużej niż to konieczne.

– Więc nie wybacysz Verinderom? W końcu... śmierć Claire to był nieszczęśliwy wypadek – wyszeptałam.

– Wybaczyć ludziom, pod których dachem zginęła moja siostra? Albo mężczyźnie, któremu powierzyłam ją jak bratu, wierząc w szlachetność łączących ich uczuć, a także w to, że będzie nad nią czuwał? Nie, Madeline. – Jonathan potrząsnął głową. – Obawiam się, że nigdy nie pogodzę się z tym, co się stało. Nie jestem na to dość wspaniałomyślny.

Poczułam ucisk w głębi gardła.

– Tutaj nie chodzi o wspaniałomyślność. Wiem, że bardzo cierpisz. Ale czy nie odczułeś żadnej, najmniejszej ulgi na myśl, że to nie było morderstwo? Że w zamku nigdy nie było żadnego zabójcy?

– Morderstwo... – powtórzył cicho Jonathan, świdrując mnie spojrzeniem smutnych błękitnych oczu. – To właśnie podejrzewałaś, prawda?

Przełknęłam ślinę.

– Ale się myliłam – odparłam, nie odwracając wzroku. – I czuję ulgę, że wszystko się wyjaśniło.

Na te słowa Jonathan popatrzył na mnie zdumiony.

– Ulgę? – powtórzył miękko, jakby nie rozumiał tego słowa. – Detektyw powiedział nam, co się stało, i to ma być koniec? Nikt nie zostanie ukarany, bo to był wypadek? Żadne z Verinderów nie odpowie za to, co zrobili Claire?

– Nikt jej nie zabił... – odrzekłam na wydechu.

– Zabili ją wszyscy! – wyszeptał Jonathan zapalczywie i jednocześnie zbliżył się o krok, aż owionęło mnie ciepło jego ciała. – Nikt spośród Verinderów nie jest bez winy! Zastraszanie, anonimowy list, bagatelizowanie jej choroby... Suknia nasączona arsenikiem! A to tylko część z tego, co się tutaj wydarzyło. Czuję, że nie dowiedzieliśmy się wszystkiego. Madeline, czy ty również nie masz wrażenia, że Verinderowie cały czas coś ukrywają?

Przez krótką chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. U naszych stóp znajdował się grób Claire.

– Nie potrafię ci na to odpowiedzieć.

– Albo nie chcesz.

Drgnęłam.

– To, czego chcę, to odnaleźć wreszcie spokój.

Mężczyzna sięgnął po moją dłoń.

– Więc życzę ci, żebyś go odnalazła. Tylko tego dziś dla ciebie pragnę. Ale spokój jest poza moim zasięgiem. – Wsunął mą dłoń pod swoje ramię i ruszyliśmy w kierunku czekającego powozu. Żwir na ścieżce cicho chrząścił nam pod stopami. Lekki wiatr od wzgórz unosił rąbek mej sukni i wyswabadzał spod kapelusza niesforne pasemka moich ciemnych włosów. Z każdym krokiem spływał na mnie dziwny żal. Nie tylko taki, jaki zwykle odczuwamy na cmentarzu. Był to raczej ów rodzaj żalu, jaki powoduje stracona szansa na coś, co już nigdy się nie zdarzy, chociaż mogło...

– Więc to nasze ostatnie spotkanie? – spytałam cicho, starając się nadać głosowi bezbarwne brzmienie.

– Liczę na to, że nie – padła odpowiedź. – Jestem pewien, że znowu się spotkamy.

– Kiedy?

– Nie wiem. Pozwolisz, że do ciebie napiszę?

Skinęłam głową.

– Zrobię to za jakiś czas. – Schylił się i ucałował moją dłoń, jak gdyby chciał pożegnać się już teraz. – Ale niezbyt prędko. Czy zrozumiesz, jeśli powiem, iż będzie lepiej, jeżeli teraz będę się trzymał od ciebie z daleka?

Drgnęłam.

– Z daleka?

Czemu tak mocno zabolaty mnie jego słowa?

Jonathan przyglądał mi się z uwagą.

– Szukasz spokoju, a ja nie mogę ci go dać. Nie w tej chwili. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym zatruł twą czystą duszę moimi podejrzeniami. I moją nienawiścią – dodał po chwili. Wiedziałam, że ma na myśli Verinderów.

Przełknęłam ślinę.

– A więc: do widzenia.

Mężczyzna nachylił się i jak gdyby pod wpływem impulsu wierzchem dłoni musnął mnie po policzku. Zadrżałam pod tym niezapowiedzianym, przelotnym dotykiem i mimowolnie z rozkoszą przymknęłam oczy. Tylko po to, by tym wyraźniej usłyszeć suche słowa:

– Do widzenia, Madeline.

To jedno zdanie nadal rozbrzmiewało echem w mojej głowie, kiedy nazajutrz pociąg unosił mnie i doktora Watsona w kierunku Torquay.

– Dobrze się pani czuje, panno Madeline? – zapytał lekarz, poprawiając spuszczone na koniec nosa binokle i zerkając znad porannej gazety, której lektura mocno go pochłoneła.

Przez okienną szybę wpatrywałam się w umykający krajobraz. Łagodnie

pofalowane wzgórza, przycupnięte między nimi miasteczka, ciemniejsze połacie lasów i pawie oczka stawów skrzyły się w ciepłych promieniach wiosennego słońca, upojone swoją własną niewinną urodą.

– Czy uważa pan, że w sprawie śmierci panny Evans już wszystko zostało wyjaśnione? – spytałam po sekundzie ciszy.

– Wyjaśniono przyczynę zgonu, prawda?

– Tak, ale... Mam niejasne poczucie, że jednak nie dowiedzieliśmy się wszystkiego.

– Drugi człowiek zawsze jest dla nas zagadką – odparł filozoficznie doktor Watson. – Szczególnie wtedy, kiedy niespodziewanie umiera. Niektóre tajemnice po prostu nie należą do nas.

17. NIESPODZIEWANY LIST

Minął kwiecień, a po nim maj i letnie miesiące. Nadszedł początek września... Wiosna ustąpiła miejsca latu, a lato miedzianozłotej jesieni. Pewnego dnia po przebudzeniu spojrzałam za okno i przekonałam się, że wrzosowiska wokół Wzgórza Mgieł zmieniły się w falujący ocean fioletowych kwiatów. Był to dowód na to, że czas płynął nadal – niczym rzeka, która odgradza świat żywych od świata zmarłych.

– Panienko Madeline... – Tamtego jesiennego dnia głos Rosalind zbudził mnie z głębokiej zadumy, w jaką ostatnio zwykłam popadać. Tym bardziej że miejsce mocno skłaniało do refleksji. Rosalind i ja stałyśmy przy grobie ciotki Hortense i wuja Rogera na nadmorskim cmentarzu w Torquay. Otaczał nas milczący las kamiennych krzyży. Jedyne dźwięki stanowił niosący się od strony klifów szum oceanu. Pojedyncze mewy śmigały na tle chmurnego nieba wysoko nad naszymi głowami. Obserwowałam z zachwytem, jak niektóre z wirtuozeria pikowały w dół, wzdłuż kamiennych zboczy, bez lęku, że mocniejszy podmuch słonego wiatru roztrzaska je o skały.

– Panienko Madeline, jest panienka na to stanowczo za młoda – usłyszałam znów zatroskany głos Rosalind.

– Na co? – spytałam, czując wyrzut sumienia, że przez chwilę nie słuchałam dość uważnie.

Stara służąca, która była dla mnie jak babka, obdarowała mnie zafrasowanym spojrzeniem.

– Na to. – Bezradnie rozłożyła ramiona przykryte kwiecistą chustą, jakby chciała objąć nimi cmentarz. – Na życie w żałobie. W samotności. W tym małym miasteczku – odparła z pełnym rozpaczem błyskiem w oku. – Panienko... Ja naprawdę wszystko rozumiem. Po śmierci *lady* Hortense sama długo nie mogłam dojść do siebie. Ale ja jestem stara, a ty jesteś młoda, moje dziecko. Tak się cieszyłam, że nie sprzedała panienka domu, kiedy go panienka odziedziczyła! Ale teraz tak sobie myślę... może panience byłoby lepiej w Londynie? – Oczy kobiety nieoczekiwanie się zaszklily.

– Czyżbyś sądziła, że nie jestem tu szczęśliwa? – zapytałam, poruszona jej

słowami.

– Nie wiem. Po prostu tutaj... Przez większość czasu jest panienka całkiem sama.

– Nie jestem sama. Mam ciebie i...

– Ma panienka służących, ale to nie wystarczy. Wciąż odwiedza panienka ten cmentarz, samotnie włóczy się po wrzosowiskach...

– Kocham te wrzosowiska! – odparłam zgodnie z prawdą.

– A Londyn? Czyż przedtem nie kochała panienka Londynu? Proszę go sobie przypomnieć, a potem rozejrzeć się wokół: groby, ocean... I te ogromne, puste przestrzenie, na których zimą nie widzi się żywego ducha. – Rosalind wyciągnęła dłoń i lekko uniosła mój podbródek. – Madeline... Posłuchaj mnie, dziecino. Nie spotkasz odpowiedniego mężczyzny i nie wyjdiesz za mąż, wiecznie snując się po wrzosowiskach. Nie spotkasz go też na cmentarzu ani nawet na promenadzie w Torquay. Ale możesz spotkać go w Londynie. Wśród ludzi, na przyjęciu albo w teatrze. Jesteś młoda, bogata i piękna. Masz wszystko, żeby podbić czyjeś serce.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Chcesz, żebym wyjechała?

Rosalind objęła się ramionami, gdy chłodny wiatr od oceanu zawiął mocniej. Wciągnęłam w nozdrza zapach jodu, kamieni i morskiej soli.

– To tylko przyjacielska rada. Niechże panienka to sobie przemyśli. Przecież ja nie będę żyła wiecznie.

Przełknęłam ślinę.

– Rozumiem. Obiecuję, że się nad tym zastanowię.

Ruszyliśmy wolno ku cmentarnej bramie.

Przez całą drogę w powozie biłam się z myślami, ale Rosalind nie musiała długo czekać na moją odpowiedź. Kiedy tamtego popołudnia wróciliśmy do posiadłości, Artur oznajmił, że czeka na mnie list. Przypuszczałam, że to wieści od ojca, jednak koperta została zaadresowana innym charakterem pisma. Rozdarłam ją i opadłam na szeszlony przy kominku.

Poczułam, jak mój puls nagle przyspiesza.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

To była wiadomość od Jonathana!

Londyn, 16 września 1898 roku

Droga i wielce szanowna panno Madeline!

Wiele długich tygodni upłynęło od naszego ostatniego spotkania przy grobie tej, którą kochaliśmy oboje.

Śmierć Claire odmieniła mnie na zawsze – mniemam, że panią poniekąd również.

Ostatnie miesiące były dla mnie czasem ponurej, przepętnionej rezygnacją egzystencji. Myśl o pani jako o jedynej istocie, która jest w stanie pojąć mój ból, stanowiła dla mnie w tych gorzkich chwilach pociechę.

Nie pisałem do pani, to prawda. Pragnąłem uszanować tę żałobę, która, choć wspólna, jednak nas rozdzieliła. Dlaczego teraz przerywam milczenie?

Otóż w sposób dla mnie samego niespodziewany dokonałem pewnego odkrycia. Odkrycia, które – wyznam to pani otwarcie – od ponad tygodnia nie daje mi spokoju. Nie mogę spać, nie mogę jeść, wciąż myśląc o czymś, co być może nie ma wielkiego znaczenia... a może ma znaczenie większe, niż śmiem to przyznać. Uważam, że za ostatnimi dniami życia mojej siostry kryje się tajemnica, której nie odkrył detektyw Aleister Crowley. Więcej nawet: detektyw w ogóle nie brał pod uwagę jej istnienia.

Lecz powinienem zacząć od początku. Proszę darować mi ten niezamierzony chaos. Zapewne odzwierciedla on stan ducha, w jakim się obecnie znajduję...

Jak już wspomniałem, po powrocie do Londynu pogrążyłem się w żałobie i w marazmie, które z wolna przeżerały moje dni. Sprawy prowadzenia mojej działalności handlowej powierzyłem zaufanemu wspólnikowi – przez czas jakiś ani przyjaciele, ani rozrywki Londynu nie były w stanie dodać mi chęci do życia. Bezustannie myślałem o tym, jak bezsensowną, przypadkową śmiercią zmarła moja siostra, jak nieopatrnie ulotniła się ta piękna dusza, jak nagle urwało się to życie, które zapowiadało szczęśliwą i spełnioną przyszłość. Chwilami wręcz wstydziłem się mojego stanu – ja, dorosły mężczyzna, załamane się jak niedorostek. Porównywałem swe zachowanie z pani postawą – postawą damy z natury kruchej i delikatnej, a przecież tak dzielnie stawiającej czoła nieszczęściu.

Kiedy wreszcie jakoś się otrząsnąłem, przewrotny los przysłał do mnie człowieka, który na nowo przypomniał mi o mojej stracie.

Proszę wyobrazić sobie me zaskoczenie, gdy pewnego dnia do drzwi mojego domu zapukał nie kto inny, jak monsieur Maurice Dubois.

W pierwszej chwili nie uwierzyłem własnym oczom. Stary malarz wydawał się nie mniej przejęty niż ja. Przyszedł w eleganckim, choć podniszczonym garniturze, w cylindrze i z kolorową chustką na szyi. Oczywiście zaprosiłem go do środka i poleciłem gosposi przygotować herbatę – nie minęło jeszcze południe, nie chciałem zatem proponować brandy...

Pan Dubois wprawdzie niedosłyszany, ale dobrze czyta z ruchu warg. Rozmawialiśmy chwilę o błałych sprawach – wreszcie spytałem, co takiego go do mnie sprowadza. Wtedy to stary malarz oznajmił, że odszukał mnie,

ponieważ bardzo chciałby odkupić ode mnie obraz.

Chodziło oczywiście o portret mej nieodżałowanej siostry, który to podarowała mi hrabina Verinder. Wisiał on nad kominkiem. Siwobrody staruszek prawie nie spuszczał z niego wzroku. Jego spojrzenie przybrało wyraz zachwytu i jak gdyby niedowierzania...

Wyjaśniłem, że portret nie jest na sprzedaż. Stanowił ostatnią pamiątkę po mej ukochanej siostrze – w żadnym razie nie zamierzałem się z nim rozstawać.

Monsieur Dubois wymienił znaczną kwotę, ja zaś po raz drugi odmówiłem. Wówczas malarz wyraźnie się załamał. Niemal ze łzami w oczach zaczął mówić, że oto stoi już nad grobem, że całe życie poświęcił sztuce, zaś to dzieło uważa za swój ostatni przebłysk artystycznego geniuszu i dawnego talentu. Chciałby móc podziwiać je, kiedy będzie odchodził z tego świata. Przyznał również, że jako artysta czuje się całkowicie zapomniany. Zlecenie od lady Verinder było pierwszym od miesiący i ostatnim aż do tej pory – od dawna nikt nie kupuje od niego obrazów... Z tymi słowami spytał o kieliszek brandy.

Zrobiło mi się żal tego niegdyś sławnego malarza. Jednocześnie zawstydziłem się mojej własnej postawy – melancholii i rezygnacji, w jakich tkwiłem przez ostatnie tygodnie. O ileż trudniej musiało być w życiu staremu, osamotnionemu człowiekowi, który wszystko, co miał, oddał sztuce. Cóż mogłem o tym wiedzieć ja – młody, zdrowy mężczyzna w pełni sił.

Czy żałoba po śmierci Claire uprawniała mnie do niewdzięczności wobec życia?

Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym pomóc panu Dubois. zaproponowałem, że chętnie kupię kilka jego obrazów. Staruszek ożywił się na tę wiadomość. Zapisałem jego londyński adres i zobowiązałem się, że nazajutrz o konkretnej godzinie zjawię się, żeby wybrać interesujące mnie płótna.

W tym miejscu, droga Madeline, niczego nie podejrzewając, uczyniłem pierwszy krok ku memu dziwnemu odkryciu...

Było dżdżyste popołudnie końca lata, kiedy po pracy złapałem dorożkę przy Oxford Street i pokazałem woźnicy kartkę z adresem. Drobny deszcz prędko spowił Londyn woalem brudnej mgły, która miała jeszcze zgęstnieć do wieczora. Ulice z chwili na chwilę pustoszały – gazeciarze pochowali się w bramach, damy kryły się pod parasolkami, tu i tam sunęły lśniące od wody automobile. W takiej scenerii dorożkarz wiozł mnie przez miasto do ponurej dzielnicy Deptford. Gdy powóz stanął przed zapuszczonym domem o łuszczących się, wilgotnych tynkach, które w deszczu dziwnie przypominały gadzią łuskę, woźnica wskazał mi magazyn na parterze. Szyld głosił, że był to

sklep z farbami. Dorożkarz wyjaśnił, iż to właśnie tutaj ostatniej wiosny bracia Strattonowie dokonali owej słynnej zbrodni, o której rozpisywały się wszystkie gazety. Na pewno pani słyszała, że zamaskowanych zabójców sklepiarza i jego żony ujęto dzięki odciskowi umazanego w farbie kciuka, który to ślad zostawił po sobie jeden ze sprawców. Była to pierwsza tak znacząca sprawa rozwiązana dzięki nowej dziedzinie wiedzy, nazywanej przez jej znawców daktyloskopią, o której swojego czasu opowiadał nam pan Crowley.

Monsieur Dubois mieszka w tej nieciekawej okolicy naznaczonej piętnem słynnej zbrodni. Wynajmuje piętro wynędzniałego domu, który, podobnie jak jego lokator, najlepsze lata ma już od dawna za sobą. Mieszkanie stanowi zarazem pracownię – jak tylko wszedłem, otoczyły mnie obrazy. Pejzaże, martwe natury i portrety wisiały na ścianach w takim zagęszczeniu, że niemal mieniło mi się w oczach.

Wypiłem z panem Dubois kieliszek brandy i porozmawiałem z nim chwilę. Później, kierując się głównie jego opiniami, wybrałem kilka pejzaży i portretów, za które z ochotą zapłaciłem – chciałem wszak wspomóc finansowo starszego pana.

Patrzyłem na zakupione płótna, lecz nic niezwykłego nie zauważyłem – najtrudniej jest nam odkryć to, co mamy tuż przed oczyma... Dopiero kiedy obrazy znalazły się w moim domu, stopniowo zacząłem coś dostrzegać. Później przypadkowo zwrócili na ów fakt uwagę moi goście – i to nie jedna osoba, lecz kilka. Po tym zdarzeniu szybko zakupiłem kolejne obrazy. Moje podejrzenia rosły w siłę. Wreszcie zatrudniłem pewnego uznanego krytyka sztuki, żeby wyraził swoją profesjonalną opinię.

Zapyta pani, na czym polega moje niezwykłe odkrycie?

Zawiadę panią, lecz nie mogę zdradzić tego w liście. By się o tym przekonać, musi coś pani zobaczyć... Dlatego proszę, by przyjechała pani do Londynu, choćby z krótką wizytą. Tylko w ten sposób będę mógł w pełni przedstawić pani to, czego się przypadkiem dowiedziałem. Żywię przypuszczenie, że może mieć to jakiś związek ze śmiercią Claire – znów się powtarzam, lecz ta myśl nie daje mi spokoju.

Składam pani zaproszenie jeszcze z innego powodu – są pewne pamiątki, rzeczy po mojej siostrze, które chciałbym pani osobiście podarować.

Wierzę, że nie odmówi pani mojej prośbie. Wyczekuję na telegram od pani z informacją o pociągu, którym pani przyjedzie. Będę czekał na dworcu o porze, jaką pani wskaże.

Pani wierny i szczerze oddany przyjaciel
Jonathan Evans

Wolno odłożyłam na konsolowy stolik białe kartki wypełnione starannym pismem Jonathana. Odkryłam, że lekko drżą mi dłonie. Po lekturze bicie serca jeszcze się nie uspokoiło. Czy to ze względu na treść listu, czy też na jego autora?

Miałam szansę się o tym przekonać.

W mojej głowie zaroilo się od pytań. O jakim odkryciu pisał brat Claire? Na samą myśl, że nawet teraz, tyle tygodni od pogrzebu, jakieś nierozwikłane tajemnice mogły nadal otaczać moją zmarłą przyjaciółkę, czułam na karku chłodny dreszcz. Spokój i duchowa równowaga, które z trudem udało mi się odzyskać, zachwiały się niczym delikatny domek z kart.

Zapatrzyłam się za okno, na sięgające po horyzont wrzosowiska omiatane słonym morskim wiatrem. Kochałam ten widok. Lecz może rzeczywiście tkwiłam w tym samotnym domu już zbyt długo?

Rosalind zwróciła uwagę na moją minę.

– Czy coś się stało, panienko Madeline?

Spojrzałam jej w oczy i lekko zacisnęłam dłonie.

– Muszę się spakować – rzekłam cicho. Rosalind zrobiła wielkie oczy. – Wiesz, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Londynu?

18. SPOTKANIE W LONDYNIE

Pociąg turkotał po torach, a ja – tak samo jak kilka miesięcy wcześniej – siedząc przy oknie, odczytywałam po raz kolejny list z zaproszeniem. Jak gdyby zapisane na papierze słowa, które znałam już niemal na pamięć, mogły zdradzić mi ukrytą tajemnicę.

Tajemnicę, którą odkrył Jonathan Evans.

Tajemnicę, która według niego umknęła nawet doświadczonemu prywatnemu detektywowi, jakim niewątpliwie był Aleister Crowley.

Im dłużej o tym myślałam, tym większe zaczynałam mieć wątpliwości. Co takiego mógł wykryć Jonathan, co wiązało się ze sprawą śmierci Claire? I jeśli rzeczywiście miało to znaczenie, dlaczego żadna z osób obecnych wiosną we Dworze pod Cisami wcale tego nie zauważyła? Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim pan Maurice Dubois i jego zapomniane obrazy?

Niepotrzebnie się zadręczasz, Madeline – rzekłam do siebie w myślach. *Zdobądź się na odrobinę cierpliwości i w spokoju zaczekaj na odpowiedzi.*

Odetchnęłam głęboko. Złożyłam list i wsunęłam go do torebki, ale spokój nie powracał. Wręcz przeciwnie – ulatniał się z każdą chwilą, tak samo jak dym z komina pędzącej lokomotywy. Każda mila, która przybliżała mnie do spotkania z Jonathanem, tylko zwiększała dręczące mnie napięcie.

Kiedy lokomotywa, spowita w kłęby dymu i pary niczym czarna gąsienica w biały kokon, wtoczyła się na dworzec Paddington, nad Londynem zachodziło słońce. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo z końcem lata skróciły się dni, dopóki nie zobaczyłam zapalających się świateł wielkiego miasta – to widok, który niemal zdążyłam zapomnieć, mieszkając w odludnym domu na wrzosowiskach...

Gazowe latarnie i lampy łukowe rozświetlały główne arterie miasta. W zaułkach zapalały się lampy olejne, podczas gdy w oknach eleganckich piętrowych domów zamożnej dzielnicy Kensington źródłem światła coraz częściej była elektryczność. Mroczne plamy w tym miejskim kalejdoskopie świateł rozciągały się nad dwoma najbliższymi królewskimi parkami, otwartymi obecnie także dla zwykłych mieszkańców. Były to znany

z płomiennych przemów różnej maści oratorów Hyde Park z jeziorem Serpentine oraz znajdujący się na północ od dworca Regent's Park.

Dworzec Paddington jak zawsze tętnił życiem. Gdy pociąg zatrzymał się z ciężkim sapnięciem, na peronie zaroilo się nie tylko od podróżnych oraz ich bliskich, lecz również od gazeciarzy, woźniców, bagażowych oraz hotelowych naganiaczy. Wszyscy oni poruszali się w rytmie właściwej dworcom tajemniczej choreografii powitań i pożegnań. Morze ludzkich głów falowało niczym pole dziwnych kwiatów: ogromne, ozdobione piórami kapelusze eleganckich kobiet pyszniły się pośród atłasowych męskich cylindrów, meloników i skromniejszych kaszkietów. Mimo to, kiedy tylko stanęłam w drzwiach wagonu, jakimś cudem w tym pozornym chaosie udało mi się dostrzec Jonathana. A może to on wypatrzył mnie pierwszy. Miałam poczucie, że przyciągnęło mnie jego spojrzenie, jak gdyby mężczyzna przytrzymał moje oczy na niewidzialnej uwięzi.

Nie mogłam ich od niego oderwać. Brat Claire chwilę przeciskał się przez tłum. Podeszedł do żelaznych stopni pociągu i podał mi rękę. Wsunęłam w jego dłoń palce spowite w cieką rękawiczkę, a on pomógł mi zejść z niskich schodków. W wielobarwnym tłumie znaleźliśmy się tak blisko siebie...

– Cieszę się, że jesteś, Madeline. Dorożka czeka. Twoje bagaże?

Miałam ze sobą tylko jedną walizkę. Jonathan wydał się zaskoczony i zasmucony tym faktem. Czy dlatego, że niewielki bagaż oznaczał krótką wizytę? Poczułam w piersi słodko-gorzkie ukłucie. Czyżby liczył, że zostanę w Londynie na dłużej? Czy to tylko moja niemądra wyobraźnia?

Jonathan nie zapytał mnie o hotel ani o dawny londyński dom mego ojca. Ja również nie poruszyłam tego tematu. Kiedy wsiadaliśmy do dorożki, podał woźnicy swój adres. Ja zaś nie zaprotestowałam. W końcu przyjechałam na jego zaproszenie i najwyraźniej brat Claire za punkt honoru postawił sobie, żebym została jego gościem.

W końcu miał mi pokazać coś, co zdołałoby potwierdzić jego tajemnicze odkrycie...

Wtuliłam się w oparcie za plecami, gdy konie ruszyły. Metaliczny odgłos podków klaskających o zimny bruk mówił mi, że nie jestem już na wsi. Za oknami obserwowałam gazowe latarnie, oświetlone nimi fasady budynków, szyldy sklepów i przechadzających się wieczorem spacerowiczów. Wisząca w powietrzu mgiełka oraz para końskich oddechów sprawiały, że to wszystko zdawało mi się odrealnione. Jesienne liście drżały na drzewach niczym cieniutkie płatki srebra. Miałam wrażenie, że przejeżdżamy przez miasto z moich snów, podczas gdy prawdziwy Londyn jest gdzie indziej...

Odwróciłam się od okna. W ciemnym powozie mogłam bezkarnie patrzeć na Jonathana, który usiadł naprzeciwko mnie. Był bledszy i szczuplejszy niż parę miesięcy wcześniej, lecz poza tym wcale się nie zmienił. Ze zdumieniem stwierdziłam, że naprawdę za nim tęskniłam...

A może była to wciąż tęsknota za Gabrielem, którego tak bardzo mi przypominał?

Poczułam przypływ dławiącej, rozpaczliwej niepewności.

Niebawem kołyszająca się i turkocząca po bruku dorożka zatrzymała się przed jednym z eleganckich domów w Marylebone, na północ od Kensington Road. Gdy wychodziłam z powozu, zobaczyłam oświetloną gazowymi latarniami georgiańską fasadę z wąskimi oknami, wiktoriańskimi tarasami i rzędami łamanych gzymsów. Dom otaczało ogrodzenie z kutego żelaza na wysokiej ceglanej podmurówce. Kiedy przestąpiliśmy wysokie drzwi, moim oczom ukazał się niewielki, jasno oświetlony hol. Powitała nas sympatyczna gospoia.

– Marta sprząta dom i dla mnie gotuje. Mieszkam sam, więc starcza mi za całą służbę – wyjaśnił Jonathan, nieco skrępowany. – Wybacz, dopiero teraz wpadłem na to, że przecież możesz potrzebować pokojówki...

– Nonsens – odparłam z uśmiechem.

– Ja we wszystkim panience pomogę – zapewniła natychmiast gospoia.

– Dziękuję, Marto – rzekł do niej Jonathan z odcieniem ulgi w głosie. Sam zaniósł na górę mój bagaż i pokazał mi przestronny pokój.

Na chwilę wstrzymałam oddech.

– To przecież...

– To dawna sypialnia Claire. Oczywiście została odświeżona. Nie przeszkadza ci to, Madeline? – W jego oczach odbił się niepokój. – Jeśli wolałabyś...

Pokręciłam głową, nim zdążył dokończyć zdanie.

– Nie – odpowiedziałam szczerze. – Po prostu ten pokój przywołuje wspomnienia.

Przez chwilę spoglądałam na rząd ciemnych okien spowitych w jedwabne blad różowe zasłony, na łożę ze ślimacznicami wąskich kolumnienek, które przykryto muślinowym baldachimem. W marmurowym kominku cicho szeleścił ogień, szepcząc o dawno minionych czasach. Niczym dobre wspomnienie w mrokach niepamięci ozłacał obite pluszem sofę i fotele, a także komody i komódki, dwie toaletki, taborety, półki z książkami oraz wydzielony chińskim parawanem buduar z wysokim tremo, z szezlongami, ogromną szafą i wieszakami na kapelusze... Były też lalki.

Lalki, które spoglądały na mnie niemal zewsząd.

Prześliczne porcelanowe panienki w misternie uszytych strojach, w bajkowych kapelusikach, o różnych kolorach włosów, w rozmaitych rozmiarach – z półek, komódek i sekretarzyków wszystkie zwracały na mnie swoje koralikowe oczy.

Pomieszczenie wyglądało prawie tak samo jak wówczas, gdy jako dziewczynki bawiłyśmy się tutaj z Claire.

Lekko rozchyliłam usta z wrażenia.

– Niczego tu nie ruszałem... – szepnął znowu Jonathan. – Na pewno ci to odpowiada?

– Tak. – Położyłam mu dłoń na ramieniu i zaraz ją cofnęłam, zaskoczona moim śmiałym gestem. – Wszystko w porządku – zapewniłam.

Jonathan widocznie się odprężył.

– Musisz być bardzo zmęczona podróżą. Pewnie chciałabyś teraz odpocząć.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Przede wszystkim chciałabym porozmawiać. Bardzo zaintrygował mnie twój list. Pisałeś o jakimś ważnym odkryciu. Co takiego miałeś na myśli?

Wpatrywał się we mnie przez ułamek chwili, jak gdyby się zastanawiał, w jakie słowa ubrać odpowiedź. W jego oczach zatańczyły tajemnicze iskierki.

– Czy przed kolacją dasz się namówić na kieliszek wina w salonie?

Przeczuwałam, że za tym pytaniem kryje się coś więcej. Skinęłam głową.

– Za chwilę zejść. Chciałabym się odświeżyć – powiedziałam, ignorując fakt, że mocniej uderza mi serce.

– Oczywiście. – Skłonił się i zostawił mnie samą.

Usiadłam jak oniemiała na brzegu wielkiego łóżka. Miękki, pachnący lawendą materac lekko zapadł się pod moim ciężarem. W półmroku rozświetlonym błyskami ognia i kilkoma lampkami rozglądałam się po tym ogromnym wnętrzu.

Ach, Claire! – westchnęłam w myślach. *Dlaczego wszystko potoczyło się w ten sposób?*

Skorzystałam z łazienki, umyłam zęby i wyszczotkowałam włosy, po czym upięłam je w niewyszukany luźny kok. Wolno zeszłam po drewnianych schodach, po czym z holu przeszłam do salonu. Zatrzymałam się w progu i mimowolnie rozchyliłam usta.

W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Potem przez głowę przebiegły mi niespokojne myśli.

Zacynałam poważnie martwić się o Jonathana. Widok salonu sprawił, że musiałam zadać sobie pytanie, czy po śmierci Claire jej brat nie popadł w niepokojącą obsesję...

Wszystkie ściany pomieszczenia zostały wypełnione obrazami – tak szczelnie, że nie sposób było dostrzec ani skrawka wolnego miejsca. Malarskie dzieła wisiały stłoczone jedne przy drugich – po części oprawione, a po części pozbawione ram. Martwe natury, portrety kobiet, kopie francuskich impresjonistów, pejzaże w różnych porach roku oraz dnia, wysmakowane akty i uliczne scenki z życia mieszkańców Londynu... Wszystkie naraz atakowały moje zmysły, jak gdyby każde domagało się mojej uwagi.

Dama ze szmaragdami wyróżniała się na tle tego morza przelanej na płótno farby. Wisiała na honorowym miejscu nad kominkiem. Tak bardzo mi bliska, a zarazem tak już obca...

Jonathan również spoglądał teraz tylko na nią. Stał przed kominkiem, odwrócony do mnie plecami. Nawet nie zauważył, kiedy weszłam.

Lekko zakręciło mi się w głowie. Z westchnieniem oparłam dłoń o framugę drzwi.

– Madeline!

Mężczyzna ujął mnie pod ramię i z delikatnością posadził w miękkim fotelu. Podał mi szklankę wody. To pomogło.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Ja – pełna pytań, odrobinę przestraszona, i on – z niemą prośbą w oczach, jak gdyby obawiający się mojej reakcji.

– Co to wszystko znaczy? – spytałam cicho.

– To obrazy, które kupiłem od *monsieur* Dubois. Chciałem ci je pokazać.

– Obrazy? – Staralam się zachować spokój. Nie chciałam przyznać, że czuję rozczarowanie. – Kupiłeś je wszystkie? Nic nie rozumiem... W liście pisałeś, że to może mieć związek ze śmiercią Claire... – zawiesiłam głos.

Jonathan impulsywnie przykrył dłońią moją dłoń.

– Zaufaj mi. – Przeszyło mnie ciepło. – Za chwilę wszystko się wyjaśni. Należę wina, a ty przypatruj się obrazom.

Bez słowa skinęłam głową.

Jonathan napełnił dwa kieliszki z weneckiego szkła czerwonym burgundem. Wręczył mi jeden z nich i lekko go trącił – szkło brzęknęło delikatnie wysokim tonem.

– Za twój przyjazd, Madeline. Za nasze ponowne spotkanie. – Uśmiechnął się.

Miałam wrażenie, że patrzy uważnie, jak moje usta zbliżają się do brzegu naczynia. Upiłam mały łyk. Wino było wyborne. Jego aromat mile połechttał me nozdrza, owionął mnie niczym wieczorny wietrzyk pełen dojrzałych w słońcu zapachów wczesnej jesieni.

Kołysząc kieliszek w dłoni, patrzyłam na ogień w kominku. Jego ciepło, w połączeniu z mocą wina, sprawiło, że szybko się rozluźniłam. Zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście byłam zmęczona podróżą. Zapragnęłam na moment zapomnieć o obrazach i po prostu sączyć wspaniały napój w towarzystwie Jonathana – ale nie mogłam...

– Teraz powiesz mi, co odkryłeś? – spytałam cicho.

– Chciałbym nic nie mówić – odparł mężczyzna. Jego niski głos niósł przyjemną, przenikającą moje ciało wibrację. – Chciałbym po prostu móc cieszyć się twoim towarzystwem. – Potrząsnął głową. – Ale nawet teraz mam wrażenie, że gdzieś w tym domu unosi się duch Claire. Że nie jesteśmy tu sami.

– Nie powinieneś tak mówić – wyszeptałam. – Śmierć Claire została wyjaśniona. To był straszny, nieszczęśliwy wypadek... Powinieneś skończyć z tajemnicami.

Jonathan upił kolejny łyk burgunda.

– Powiedz mi, czy uważasz, że to podłe, że w głębi duszy nie umiem wybaczyć Verinderom?

Cóż mogłam mu odpowiedzieć?

– Nie potrafię tego ocenić. Nie chcę tego robić. Myślę, że po prostu wciąż cierpisz. Verinderowie zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby wyjaśnić tamtą straszliwą zagadkę...

– Zrobili wszystko, co w ich mocy? Nie jestem pewien. Czasem wydaje mi się, że to, co zobaczyłem we Dworze pod Cisami, było jak wyreżyserowane przez kogoś przedstawienie. Wyjazd hrabiego Dereka do Londynu zaraz po śmierci jego narzeczonej był taki... absurdalny. Nie sądzisz?

– Jego motywy wydawały się przekonujące. W końcu to dzięki Derekowi Aleister Crowley odkrył arsenik w tkaninie sukni. – Zawahałam się. – Zresztą hrabia działał pod wpływem szoku. W ciągu dwóch dni przygwoździły go dwa nieszczęścia. Jego plany na przyszłość się rozpadły. Utracił kobietę, którą kochał. To go po części tłumaczy, nie sądzisz?

Jonathan pokiwał głową w zamyśleniu. Mimo wszystko nie wydawał się przekonany.

– Może masz rację. Może jestem egoistą. Wiem jednak, że Verinderowie nie powiedzieli nam wszystkiego.

Zmarszczyłam brwi.

– Co masz na myśli?

Jonathan uniósł dłoń z kieliszkiem i wyciągnął ją w kierunku olejnej podobizny zmarłej siostry. Wino zamigotało między szklanymi ściankami intensywnie niczym świeża krew.

– To nie *monsieur* Dubois namalował ten obraz – oznajmił z niebywałym spokojem, który w moich uszach kontrastował z niedorzecznością tego stwierdzenia.

– Co takiego? – Zamrugałam i wyprostowałam się w fotelu. Delikatnie zawirowało mi w głowie.

– Na czym polega magia obrazów? – usłyszałam pytający męski głos. Miałam wrażenie, że nie należy on do Jonathana, ale do Dextera Verindera. – Tak jak lustra, zakłamują rzeczywistość. Tworzą złudzenie prawdy, która jest miła dla oka. Pokazują coś, czego już nie ma. Przenoszą nas w czasie. Dają życie tym, którzy umarli... Prawda obrazu kryje się nie tam, gdzie patrzysz. Prawdziwa jest praca pędzla, kolejne warstewki farby, łączenie poszczególnych kolorów oraz odcieni. To wszystko zdradza nam prawdę – ale nie o przedstawionym obiekcie, tylko o jego odtwórcy. O artyście... A artystą, w tym przypadku, nie był pan Maurice Dubois.

Kieliszek wina w mojej dłoni drgnął. Na powierzchni rubinowego płynu utworzyły się delikatne zmarszczki.

– Czemu to mówisz?

– Mówię prawdę.

– Skąd masz tę pewność? – To wszystko wydawało mi się niedorzeczne, a przecież jakiś podszept intuicji zbudził moją uśpioną czujność.

Jonathan podniósł się z fotela. Odstawił kieliszek na brzeg rzeźbionej komody i podszedł do portretu Claire.

– Przyjrzyj się uważnie.

Wstałam i zbliżyłam się o krok.

– Przez ostatnie dni wiele się nauczyłem na temat malowania obrazów. *Monsieur* Dubois byłby znakomitym nauczycielem. Opowiada o malowaniu z pasją. Ubolewa, że od dłuższego czasu drżą mu dłonie. Już wcześniej zwróciłem uwagę na ów szczegół. Choć na starość drżenie rąk i reumatyzm nie są przecież niczym nadzwyczajnym.

Skinęłam głową.

– Być może alkohol pomaga mu zachować pewność ręki – rzekłam cicho, zaglądając Jonathanowi w oczy. Spojrzenie mężczyzny zdradziło mi bez słów, że jego zdaniem chodzi tutaj o coś więcej.

– Pan Dubois maluje farbami olejnymi. Wyjaśnił mi, że zasadniczo wyróżnia się dwa sposoby tworzenia: jeden to taki, kiedy maluje się „na mokro”, zanim poprzednie warstwy farby zdążą wyschnąć. Kolory łączą się bezpośrednio na płótnie. Ostatecznie farba pokrywa obraz jedną grubą warstwą. Tutaj liczy się szybkość, nie można dopuścić, żeby farba wyschła, zanim nie ukończy się malowania. Tym sposobem cały obraz może powstać

w jeden wieczór.

– Ale Claire pozowała do portretu codziennie przez wiele dni...

– Właśnie. – Jonathan skinął głową. – *Monsieur* Dubois od lat nie stosuje techniki „na mokro”. Jego sposób malowania jest inny: czasochłonny, odznaczający się dbałością o detale. Popatrz tylko na jego pejzaże. Jest w nich więcej jasności, są bardziej świetliste niż jego dużo starsze obrazy, malowane właśnie techniką „na mokro”. Te dawne dzieła wiszą tam, w rogu pokoju. Różnica jest bardzo wyraźna.

Po chwili przypatrywania się barwnym widokom musiałam przyznać Jonathanowi rację. Moje zaciekawienie jeszcze wzrosło.

– Sam powiedziałaś, że tamte obrazy pochodzą z okresu młodości pana Dubois. Ale czego to dowodzi? Moim zdaniem tylko tego, że styl malarski po prostu zmienia się z wiekiem – zauważyłam.

– Niewątpliwie – odparł Jonathan. – Ale tkwi w tym coś jeszcze... Spójrz na szmaragdy na portrecie mojej siostry. Wyglądają, jakby wychodziły do widza. Warstwa farby jest w tym miejscu bardzo gruba. Pewien koneser sztuki, któremu, jak wiesz, zapłaciłem, żeby wyraził swoje zdanie o tych obrazach, twierdzi, że nałożono ją bezpośrednio na płótno, a potem wymodelowano malutką szpachelką. Czy pan Dubois, którego zmysły stępił już okrutny czas i któremu drżą dłonie, zdecydowałby się na użycie takiej techniki?

W moich myślach zrodziła się pewna wątpliwość. Jeżeli jednak Jonathan sądził, że zdoła mnie w ten sposób przekonać do swojej tezy o tym, że ktoś inny namalował portret Claire, to znalazł się w błędzie.

– Naszyjnik ze szmaragdami to tylko mały fragment tego obrazu...

– ...ale wymagający dużej zręczności...

– ...którą *monsieur* Dubois niewątpliwie nabył razem z latami doświadczenia. Co z pozostałymi elementami portretu? Wydaje mi się, że sposób malowania jest tu inny.

– Jesteś spostrzegawcza, Madeline. – Uśmiechnął się Jonathan.

– Albo po prostu szybko się uczę – odparłam skromnie. – Ty także wiele się nauczyłeś o malarstwie – odwdzięczyłam mu się komplementem za komplement. – Nie spodziewałam się tego.

Oczy mężczyzny błysnęły.

– To dopiero początek – zapewnił, po czym przeniósł wzrok na *Damę ze szmaragdami*. – Zwróć uwagę na ten mały zawijas na obrazie. To zniekształcony inicjał pana Dubois. Podpis artysty... Teraz porównaj go z inicjałami na pozostałych płótnach.

– Na zdecydowanej większości obrazów podpis znajduje się w prawym

dolnym rogu – stwierdziłam po chwili. – Ale na portrecie Claire widnieje po lewej.

– Wiesz dlaczego?

Pokręciłam głową.

Mężczyzna chciał mi odpowiedzieć, lecz w tym momencie od strony opustoszałej ulicy dało się słyszeć turkotanie dorożki, która zatrzymała się przed domem. W następnej chwili rozległo się kołatanie do drzwi. Mimo późnej pory Jonathan nie wyglądał na zaskoczonego.

– Nie jest łatwo to właściwie wyjaśnić, dlatego pozwoliłem sobie zaprosić kogoś jeszcze... – Z tymi słowami skłonił się przepaszająco i pospieszył otworzyć drzwi.

Z oparów wieczornej mgły i przytłumionej zielonkawej poświaty gazowych latarni wyłonił się niski mężczyzna w meloniku. Jegomość posiadał cienkie kończyny, nieproporcjonalnie baryłkowaty brzuch, zamyśloną twarz z grubymi bokobrodami i z cienką jak przecinek kosią bródką.

– Madeline, oto pan Hermogenes Hastings z Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zgodził się nam poświęcić swój cenny czas tego wieczora. Panie Hastings, to moja dobra znajoma i przyjaciółka mojej nieżyjącej siostry... Panna Madeline Hyde.

Dżentelmen z kosią bródką ukłonił się głęboko, ale nie podał mi ręki.

– Proszę wybaczyć... – Uniósł czarną skórzaną rękawiczkę. Przy bliższym przyjrzeniu się pojęłam, że tylko udaje ona jego dłoń. Była naciągnięta wprost na przegub ręki, całkowicie pozbawionej palców.

– Oczywiście. – Skinęłam głową.

– Panie Hastings, zjawił się pan w samą porę. Właśnie rozmawialiśmy z Madeline o obrazach pana Dubois – rzekł Jonathan, napełniając burgundem trzeci kieliszek. Z wdziękiem wręczył go swemu gościowi. Jegomość w meloniku zakołysał kieliszek w dłoni i z widoczną przyjemnością wciągnął w nozdrza bogaty aromat wina.

– Dobrze znam prace pana Maurice'a Dubois – zapewnił z cieniem uśmiechu. – To wielce uzdolniony artysta, o którym jakiś czas temu słuch praktycznie zaginął. Niegdyś cieszył się renomą, chociaż muszę przyznać, że raczej w swojej rodzimej Francji niż w Anglii. Uważam, że nasza publiczność obeszała się z nim dość niesprawiedliwie. Może niektórym osobistościom, które mogłyby dopomóc mu w karierze, nie podobało się to, że nigdy nie zależało mu na członkostwie w Akademii, chociaż wielokrotnie miał na to szansę... Cóż, tak to jest wśród artystów, silny indywidualizm nie sprzyja długotrwałym karierom. W młodości Dubois był związany z preraphaelitami, co do tej pory można dostrzec w jego portretach.

Wysłuchałam tej krótkiej przemowy z uwagą.

– Podobno uważa pan, że to nie on jest autorem portretu panny Evans – rzekłam, zaglądając mu w oczy.

– W istocie. Swoje przekonanie opieram na szeregu różnic, które dostrzegam między tym portretem a pracami, które niewątpliwie wyszły spod pędzla artysty.

Skinęłam głową.

– Jonathan właśnie wskazał mi jedną z tych różnic. Chodzi o inicjał malarza. Na portrecie Claire umieszczono go po lewej, a nie po prawej stronie. Czy wyjaśni nam pan dlaczego?

– Na portrecie damy ze szmaragdami cały ciężar kompozycji jest przeniesiony na lewą stronę. Proszę zwrócić uwagę na pierwszy i drugi plan, na umiejscowienie modelki względem elementów tła. Wygląda to tak, jak gdyby obraz malowała osoba leworęczna albo taka, co jest prawie niemożliwe, która równie sprawnie posługuje się przy sztaludze obiema rękami.

Mimowolnie zerknęłam na czarną rękawiczkę na przegubie pana Hastingsa. Powinnam była przewidzieć, że jako człowiek okaleczony przez los jest mocno wyczulony na ludzkie spojrzenia. W każdym razie mój gest mu nie umknął. Uniósł skórzaną atrapę dłoni i pokiwał głową.

– Pewnie zastanawia się pani, czy wiem to wszystko z osobistego doświadczenia. Ależ tak, chociaż jako specjalście od sztuki naprawdę nie byłoby mi ono potrzebne, żeby zwrócić uwagę na kompozycję tego portretu. Straciłem dłoń w wypadku ponad dziesięć lat temu. Nie przestałem malować, ale moja lewa ręka musiała nauczyć się od podstaw tego, co przedtem robiła prawa.

– Przykro mi – rzekłam cicho.

– Dziękuję. Kiedyś to była dla mnie wielka tragedia, lecz każde nieszczęście blaknie pod wpływem czasu...

Spojrzałam w zamyśleniu na portret Claire. Pomyślałam, że w przypadku mojej nieodżałowanej przyjaciółki czas również rozpoczął już swą skrzętną pracę. Ziarenka drobnych, codziennych zdarzeń godzina po godzinie przesypywały się przez klepsydre ludzkiej pamięci, żeby pokryć drogie wspomnienie piaskiem zapomnienia.

Lekko się wzdrygnęłam.

– Więc twierdzi pan, że Claire namalował ktoś, kto jest mańkutem? – wyszeptałam.

– Jestem tego pewien. A *monsieur* Maurice Dubois jest praworęczny...

– Rozumiem.

– To niejedyna różnica między tym obrazem a pozostałymi pracami. Portret damy ze szmaragdami wyróżnia się na ich tle pracą pędzla. Każdy malarz inaczej traktuje farbę, nieco inaczej ją nakłada i rozprowadza. Znajduje to również odbicie w nasyceniu kolorów. Na portrecie damy w zielonej sukni są one silnie nasycone, świeże, bardzo odważne. Jest w nich coś... młodzieńczego. Coś, czego od lat nie widać na obrazach Maurice'a Dubois. No i ten wyrazisty, wręcz zamaszysty sposób, w jaki ukazano naszyjnik ze szmaragdami. To przykład znakomitego *impasto*.

– Rozumiem, że chodzi o tę grubą warstwę farby... Jonathan wytłumaczył mi, że uformowano ją szpachelką. To dzięki temu szmaragdy wydają się wypukłe.

– Wspaniały efekt, prawda? – zachwycił się pan Hastings. – Ale kompletnie nie w stylu pana Dubois. Wiek robi swoje... Jego styl jest bardziej konserwatywny, a technika ze wszech miar klasyczna.

– Na czym dokładnie polega ta metoda? – zapytałam. Pod wpływem uwag pana Hastingsa co chwila dostrzegałam na portrecie Claire nowe szczegóły.

Mój rozmówca spojrzał na mnie krytycznie i pomyślałam, że mógł poczuć się dotknięty moją niewiedzą. Niemniej postanowił jej zaradzić.

– Polega ona na nakładaniu na zagruntowane płótno cienkiej podmalówki, ma się rozumieć temperowej lub olejnej. Następnie nakłada się barwną imprimaturę, a później nawet kilkanaście warstw farby, oczywiście każdą z nich po wyschnięciu poprzedniej. Wiele warstw jest półkryjących, niemal półprzezroczystych. Malowanie w ten sposób jest bardzo czasochłonne, ale efekt, jak sądzę, wart oczekiwania. Obrazy wykonane tą techniką odznaczają się wyrafinowaną kolorystyką oraz niezwykłą głębią barw.

Upiłam spory łyk wina. Przez chwilę biłam się z myślami.

– Czy możliwe, że obraz nie przypomina pozostałych, ponieważ artysta, kiedy go malował... – odchrząknęłam – ...znajdował się pod wpływem alkoholu? – zapytałam i szybko spuściłam wzrok. – Przepraszam, ale musiałam o to spytać.

– Wiem, że artyści eksperymentują z używkami – zapewnił pan Hastings. – Ale żaden alkohol nie wpłynąłby na malarza do tego stopnia, żeby nagle zaczął malować lewą ręką. I kompletnie zmienił swój wieloletni styl... Tego obrazu nie namalował pan Maurice Dubois. Ręczę za to moją reputacją.

Jonathan przysunął się o krok.

– Rodzi się zatem pytanie: kto jest autorem?

Obaj mężczyźni milczeli. Zapatrzyłam się w zielone oczy Claire uwiecznionej na barwnym płótnie.

Kieliszek z winem niemal wysunął mi się z dłoni.

Miałam wrażenie, że wyczytałam odpowiedź na pytanie Jonathana.

Poczułam, jak mój puls gwałtownie przyspiesza.

– Ja wiem, kto namalował ten obraz... – szepnęłam.

– Co takiego?

Odwróciłam ku Jonathanowi pobladłą twarz.

– Wiem, kto mógł namalować portret.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Kto taki, Madeline?

– Dexter Verinder.

19. ZAPOMNIANY ARTYSTA

Pan Hastings postanowił się taktownie pożegnać. Jonathan odprowadził swojego gościa do drzwi, wymieniwszy z nim jeszcze kilka uprzejmości. Po krótkiej chwili koneser sztuki ze skórzaną protezą dłoni rozpułynał się w gęstej londyńskiej mgle. Jonathan i ja znów zostaliśmy sami.

Siedziałam w fotelu przy kominku z bijącym mocno sercem. Przez moją głowę przelatywało mnóstwo myśli. Przypominałam sobie urywki chwil, które spędziłam we Dworze pod Cisami w towarzystwie Dextera Verindera. Byłam przekonana, że się nie mylę. Z pozoru nic nieznaczące słowa, drobne aluzje, jego obsesja na punkcie historycznych portretów przodków, jego wyostrzony zmysł obserwacji oraz talent do rysunku – to wszystko układało się w mojej głowie w spójną całość.

Pozostała już tylko jedna, lecz jakże istotna wątpliwość...

– Madeline... – Jonathan podszedł do mnie od tyłu i dotknął mojego ramienia. Delikatnie przechyliłam głowę ciężką od rozmyślań i oparłam policzek na jego dłoni.

Czy to intensywny aromat wina sprawił, że nie panuję nad swoimi gestami?

By pokryć zmieszanie, upiłam mały łyk trunku. Alkohol rozlał się po moim ciele niczym leciutki, mrowiący dreszcz.

– Wyjaśnisz mi to? – spytał cicho mężczyzna. – Dlaczego uważasz, że to brat hrabiego namalował portret Claire?

Skinęłam głową.

– Wyjaśnię. Ale najpierw ty wytłumacz mi jedną rzecz, dobrze?

– Co masz na myśli?

– Jak na to wszystko zareagował *monsieur* Dubois? Czy rozmawiałeś z nim na temat autorstwa obrazu?

Jonathan zasiadł w fotelu naprzeciwko. Westchnął cicho.

– Tak. Chociaż tamta rozmowa, delikatnie mówiąc, nie potoczyła się najlepiej.

– To znaczy?

– Szkoda, że zanim tam poszedłem, nie wysłuchałem mądrości pana Hastingsa. On ma rację... Artyści to wrażliwi ludzie, silnie skupieni na swojej indywidualności. W każdym z nich drzemie spora doza próżności. Jeżeli chodzi o pana Dubois, to swoim pytaniem nieświadomie śmiertelnie go obraziłem. Poczuję się głęboko dotknięty, że podaję w wątpliwość autorstwo obrazu. W dodatku obrazu, z którego, jak wiesz, był taki dumny.

– Zaprzeczył, że ktoś inny mógł namalować Claire?

– Był oburzony moim brakiem wiary w niego. Powiedział, że po tym, jak zakupiłem tak wiele jego dzieł, moje pytanie jest niczym nóż wbity mu znienacka w plecy. Madeline, on był naprawdę wstrząśnięty. Sądził, że pokochałem jego sztukę, że te obrazy jakoś do mnie przemówiły, i schlebiał sobie, że oto pod koniec życia zostawi po sobie w moich rękach prywatną kolekcję. Tymczasem chyba pojął, że tym, co mną kierowało, kiedy płaciłem mu za kolejne dzieła, była chęć porównania jak największej liczby jego prac z portretem mej siostry... W istocie musiało być to dla pana Dubois niezwykle gorzkie rozczarowanie.

– Przeprosiłeś go?

– Oczywiście! Przeprosiłem, tłumaczyłem moje motywy, lecz mimo to nie rozstaliśmy się w przyjaźni. Nasza znajomość jest najwyraźniej skończona. Biedny staruszek... Nawet teraz, kiedy o tym myślę, czuję się winny.

Na moment zapadła między nami cisza.

– Może ja mogłabym z nim porozmawiać? – zapytałam z odrobiną zawahania.

Jonathan spojrzał mi prosto w oczy. Zamigotały w nich maleńkie ogniki.

– Naprawdę chciałabyś to zrobić?

– Oczywiście. Pan Dubois zna mnie dłużej niż ciebie, przez jakiś czas mieszkaliśmy razem we dworze Verinderów. Zawsze był dla mnie bardzo uprzejmy. Może jako kobiecie uda mi się poruszyć temat portretu Claire... – zawiesiłam głos, wahając się nad doborem słowa – ...z większą delikatnością.

– Uważam, że to świetny pomysł – zgodził się Jonathan.

Odpowiedziałam mu bladym uśmiechem.

– W każdym razie na pewno warto spróbować. Wierzę, że *monsieur* Dubois zdecyduje się na szczerą. Chyba że... – znów zawiesiłam głos. – Chyba że zareagował na twoje pytanie tak nerwowo, ponieważ sam nie jest do końca pewien, co malował..

Jonathan lekko zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

Przełknęłam ślinę.

– Nie rozumiesz, bo nie przebywałeś we Dworze pod Cisami tak długo jak

ja. Jest mi przykro to stwierdzić, ale... pan Dubois przez większość spędzonego tam czasu był pijany. Nieustannie raczył się brandy, które podsuwali mu służący Verinderów. Chwilami był nieobecny duchem. Jak gdyby tracił kontakt z rzeczywistością. Na początku myślałam, że może specjalnie stwarza takie wrażenie. Że to taktyka, którą przyjął w towarzystwie, ponieważ poważnie niedosłyszany. Sądziłam, że przez problemy ze słuchem czuł się wykluczony z wielu rozmów, więc postanowił udawać, że go nie dotyczą... Że nie zwraca uwagi na ludzi wokół, co wybaczano mu ze względu na jego wiek. Prawdę mówiąc, wszyscy, łącznie ze mną, traktowali go po trochu jak nieszkodliwego dziwaka. Nie jestem z tego dumna, Jonathanie. Ale może zachowanie malarza nie było ani wynikiem starczego zgorzknienia, ani fanaberią artysty. Może on naprawdę... Może czasem nie wiedział, gdzie się znajduje i co tam robi. Ani nawet po co dokładnie sprowadzono go do Dworu pod Cisami. – Głos lekko mi zadrżał.

Jonathan skinął głową.

– Możesz mieć rację. Może po prostu mózg biednego staruszka nie funkcjonuje już najlepiej? Przypominasz sobie, jak twierdził, że ukradziono mu farbę? Chciał nawet, by tą sprawą zajął się detektyw. Biedak zrobił z siebie wtedy pośmiewisko. A kiedy wyszedł szukać swojej zguby, *lady Verinder* stwierdziła, że pan Dubois cierpi na demencję.

– Oczywiście, że sobie przypominam. – Po moim kręgosłupie przebiegł dreszcz. Odetchnęłam głęboko. Jonathan dolał mi wina i zwrócił mi kieliszek. Znowu usiadł naprzeciwko mnie w fotelu.

– Teraz twoja kolej – rzekł, skupiając na mnie całą uwagę. – Powiedz, dlaczego uważasz, że prawdziwym autorem portretu mojej siostry jest Dexter Verinder.

Odstawiłam kieliszek na brzeg stolika. Splotłam dłonie, wzięłam głębszy oddech, po czym wolno wypuściłam powietrze z płuc.

– Dlatego że to jedyna możliwość. Wszystko się zgadza. Wszystko do siebie pasuje. Jeśli obraz miałby namalować ktoś inny niż *monsieur Dubois*, to po prostu musiał być Dexter.

– Mów dalej – zachęcił mnie Jonathan.

Zatopiłam wzrok w portrecie Claire. Moje serce uderzało o takt szybciej.

– Zapewne tego nie wiesz, lecz Dexter w niemal obsesyjny sposób interesuje się fizjonomiką.

– Masz na myśli studiowanie rysów twarzy? – Mężczyzna lekko uniósł brwi.

– Rysów twarzy oraz kształtu czaszki – potwierdziłam. – Dexter uważa, że na tej podstawie można przypisać każdą osobę do jednego z pewnych

typów osobowości. A także powiedzieć wiele o jej przodkach, o odziedziczonych po nich cechach i pewnych wrodzonych skłonnościach. Czy mówi ci coś nazwisko Cesare Lombroso?

– Nie jest mi ono całkiem obce... Czy to aby nie ów słynny psychiatra, który prowadził badania nad przestępcami?

– To on. – Skinęłam głową. – Dexter jest zwolennikiem jego teorii, że zbrodniarze odznaczają się pewnymi cechami wyglądu, które świadczą o ich przewrotnej, atawistycznej naturze.

– Wybacz, Madeline, ale moim zdaniem to absurd. Nie wybieramy przecież swoich przodków.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Wspomniałam o tym wyłącznie dlatego, żeby zilustrować ci zainteresowania brata hrabiego. To nie wszystko. Może nie powinnam o tym wspominać, ale w swoich prywatnych pokojach Dexter posiada kolekcję odlewów ludzkich głów oraz twarzy... Jak w Muzeum Madame Tussaud. – Spojrzałam prosto w oczy Jonathana. – Kiedy je zobaczyłam, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to wszystko ociera się o jakąś obsesję.

– Do czego zmierzasz?

– Musisz przyznać, że tak dogłębne studia nad rysami ludzkich twarzy mogą rozwijać zdolności do portretowania bliźnich. Chodzi mi o rysowanie i malowanie – podkreśliłam.

Jonathan słuchał mnie z coraz większym napięciem.

– Oczywiście.

Odetchnęłam. Spróbowałam się rozluźnić.

– To nie wszystko. Dexter bardzo interesował się portretami swoich przodków – rzekłam powoli. – Z tego, co wiem, w trakcie mojego pobytu prawie wszystkie wieczory spędzał w pomieszczeniu, w którym zebrano je i utworzono z nich galerię. Sam powiedział mi, że ma do przodków ukryty żal... Żal za kalectwo, które go dotknęło. Uważał, że to kwestia dziedziczenia. A raczej aranżowanych małżeństw, które Verinderowie zawierali nader często w obrębie ścisłej rodziny.

– Przypuszczasz, że Dexter tak często oglądał tamte portrety, żeby podpatrzeć, jak samemu malować?

– To niewykluczone, nie sądzisz?

– Niewykluczone... – potwierdził cicho Jonathan. Nie wyglądał jednak na w pełni przekonanego. Ja tymczasem, w miarę wypowiedzania na głos własnych myśli, pozbywałam się resztek wątpliwości.

– Dexter jest leworęczny – wypaliłam. – Z powodu garbu podczas chodzenia często pomaga sobie laską. Garb jest umiejscowiony po prawej

stronie jego pleców. Dlatego od dziecka musiał posługiwać się lewą ręką.

Niebieskie oczy Jonathana wyraźnie się rozszerzyły. Zamigotały w nich niespokojne ogniki. Tym razem był pod wrażeniem moich słów. A przecież najważniejsze, co miałam do powiedzenia, zostawiłam na sam koniec...

– Z powodu swojej zniekształconej sylwetki Dexter mógł z powodzeniem udawać przed Claire starszego pana. Wystarczyła tylko sztuczna biała broda, żeby w jej oczach upodobnić go do *monsieur* Dubois.

Mój towarzysz zamrugał ze zdziwienia.

– Madeline, wybacz... Uważasz, że Claire nie odróżniłaby przebranego Dextera od prawdziwego malarza? Podczas każdej sesji siedziała naprzeciw niego przez co najmniej godzinę. Jakim cudem niczego by nie zauważyła?

To pytanie zawisło w powietrzu między nami niczym trzepocąca ćma. Wstałam z fotela i wskazałam na portret mojej nieodżałowanej przyjaciółki. Przez moje serce przetoczyło się nagłe poczucie niewytłumaczalnej grozy.

– Popatrz, proszę, na oczy Claire na obrazie... – wyszeptalam.

Przez chwilę nasze spojrzenia utkwiły w tym samym miejscu.

– Zakraplała sobie do oczu belladonnę, żeby zwiększyć wizualny efekt – rzekłam, pokonując lekką chrypkę. – Jako mężczyzna zapewne nigdy tego nie robiłeś.

Jonathan wolno pokręcił głową.

– Na jakiś czas traci się wtedy ostrość widzenia. – Przełknęłam ciężką grudę, która utkwiła mi w gardle. Mimo to nie mogłam pozbyć się chryпки. – Wyjaśnił mi to doktor Watson. Powiedział, że belladonna zawiera atropinę – substancję, która upośledza pracę oka... No i w widoczny sposób rozszerza źrenicę. Podobno czasem stosują ją okuliści.

Zwróciliśmy ku sobie twarze w tej samej chwili. Brat Claire był głęboko poruszony.

– Więc Dexter naprawdę mógł to zrobić! – rzekł cicho. – Mógł z powodzeniem spróbować zmienić swoją tożsamość!

– Nie tylko mógł... On już raz tego dokonał. – Nie wiedzieć czemu wzdrygnęłam się na tamto wspomnienie. – Kiedy przyjechałam do Farnham, ze stacji kolejowej odebrał mnie właśnie Dexter. Tyle tylko, że przyjechał po mnie w przebraniu prostego woźnicy...

* * *

W zamyśleniu spoglądałam przez okno dorożki. Pojazd zaprzęgnięty w dwójkę koni toczył się spowitymi w dywan mgieł, coraz to węższymi

i bardziej zabłoconymi ulicami wschodniego Londynu. Tak jak zapowiadał Jonathan, okolica stawała się ponura – dzielnica Deptford nie była zbyt przyjaznym miejscem. Ja jednak nie zwracałam na to uwagi, pogrążona w chmurnych rozważaniach.

Od wczoraj nie mogłam oprzeć się niepokojącemu przeczuciu, że w sprawie śmierci Claire coś nam umknęło...

– Wszystko w porządku, Madeline? – zapytał z troską Jonathan, który siedział w dorożce obok mnie.

– Tak. – Uśmiechnęłam się blado, lecz mój wyraz twarzy musiał zdradzić mu coś innego.

– Powiedz tylko słowo, a w każdej chwili możemy zawrócić. Jeśli zmieniłaś zdanie... Nie musisz tego robić.

– Ale chcę – zapewniłam – Chcę porozmawiać z *monsieur* Dubois o tym obrazie.

Jonathan popatrzył na mnie z uznaniem. W jego błękitnych oczach zatańczyły maleńkie iskierki.

– Jesteś niezwykła, wiesz? Zawsze będę ci wdzięczny za to, co dla mnie robisz...

Znowu szybciej zabiło mi serce. Lekko potrząsnęłam głową.

– Nie tylko ty chcesz zrozumieć całą prawdę o ostatnich dniach życia Claire – rzekłam cicho.

I o jej śmierci... – dodał natychmiast głosik w mojej głowie.

Mężczyzna nieoczekiwanie dotknął mojej dłoni. Gdy się ku mnie nachylił, napotkałam jego poważne, smutne oczy zaledwie kilka cali od mej twarzy.

– Nie to chciałem powiedzieć. Nie myśl, że nie wiem, jakie to dla ciebie ważne, Madeline.

Przez ułamek sekundy znowu poczułam, jak jakaś niewidzialna siła popycha mnie w jego stronę. Czy powodem tego stanu była samotność oraz poczucie wspólnej z nim, głębokiej straty? Czy jednak za tym wzajemnym przyciąganiem mogło kryć się coś więcej? Broniałam się przed podobnym myślami. Nawet teraz szybko powtórzyłam sobie, że po prostu oboje tęskniliśmy za Claire. W naszych sercach ona była z nami nadal.

Istniało coś, co wciąż nie pozwalało jej odejść.

Konie stanęły. Dorożka zatrzymała się przed zapuszczonym budynkiem, który w liście opisał mi Jonathan. Na parterze znajdował się stary skład z farbami. Nieopodal, w zabłoconym zaułku, grupka dzieci w zbyt dużych, pocerowanych ubraniach ćwiczyła celność, rzucając kamieniami do ustawionych na rozwalonym murku pustych butelek.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, bym poszedł z tobą? Czekanie w dorożce,

podczas gdy ty będziesz tam sama z nieznajomym, w gruncie rzeczy, mężczyzną, teraz nie wydaje mi się dobrym rozwiązaniem.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy w słowach Jonathana zagrała nutka obawy o mnie, a może nawet... okruszyna zazdrości?

– Tym mężczyzną jest pan Dubois, a nie ktoś nieznajomy.

– Jesteś pewna? – Jonathan uniósł jedną brew i rzucił mi cień uśmiechu. – Po tym, jak wczoraj opowiedziałas mi, że brat hrabiego Dereka powitał cię na stacji kolejowej w przebraniu woźnicy, zaczynam się niepokoić. Mam nadzieję, że nasz szacowny malarz nie ma w zwyczaju noszenia sztucznej brody, tak jak Dexter... I że teraz nikt się pod niego nie podszywa.

– Jeszcze nie mamy absolutnej pewności, że to Dexter namalował obraz...

– Staram się o tym pamiętać.

Odpowiedziałam mu bladym uśmiechem.

– Skoro *monsieur* Dubois nie chce cię widzieć, muszę odwiedzić go sama. To może być nasza jedyna szansa, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Z tymi słowami otworzyłam drzwiczki pojazdu i przytrzymując jedną ręką rąbek sukni, wyszłam z powozu na błotnistą uliczkę.

Zakołatałam do drzwi pokrytych łuszczącą się farbą. Trzy uderzenia zaśniedziałego pierścienia kołatki odbiły się głuchym echem w moim sercu. Odetchnęłam głęboko, kiedy po dłuższej chwili otworzyła mi szczupła staruszka w obszernym czepcu.

– Nazywam się Madeline Hyde. Czy mam przyjemność z panią Dubois?

– Z panią Dubois? – zamruczała starsza pani z wyraźnym zaskoczeniem. – Z panią Dubois? Ależ nie! Pan Dubois nie ma żony! Jestem jego gosposią.

– Rozumiem – odchrząknęłam. – A czy zastałam pana Dubois w domu?

Starowinka rozejrzała się na boki, pospiesznie lustrując otoczenie. Potem znowu przeniosła wzrok na moją twarz.

– Proszę wejść – rzekła cicho, a ja pospieszyłam za nią w nagłej obawie, że zamknie mi drzwi tuż przed nosem.

Deski podłogi zaskrzypiały mi pod nogami, stęknienia drewna przypominały stłumione jęki. Staruszka zostawiła mnie w salonie umeblowanym z rzadka sprzętami, które wręcz raziły swoim zaniedbanym pięknem. Większość z nich wymagała pilnej renowacji. Na powierzchni bladych ścian odcinało się mnóstwo jaśniejszych, prostokątnych plam – śladów po wiszących tu do niedawna obrazach. Towarzyszyły im nagie, sterczące smętnie gwoździe. Ogołoczone z malowideł mury zionęły chłodem i przejmującym smutkiem. Przygnębiająca atmosfera sączyła się ze wszystkich zakątków tego miejsca niczym krew z nieświeżej rany. Po chwili udzieliła mi się do tego stopnia, że kiedy nadszedł ubrany

w szlafrok pan Dubois, musiałam użyć całej siły woli, żeby wykrzesać z siebie powitalny uśmiech.

– Witam, *monsieur!* – Dygnęłam dość głęboko.

Stary malarz ze zdziwienia zamrugał swoimi wyblakłymi oczyma. Krzaczaste brwi powędrowały w górę, podkreślając głębokie bruzdy na czole.

– Panna Hyde! Nie może być! Nie spodziewałem się równie miłego gościa!

– Zaparzę herbaty! – rozległ się nagle bezceremonialny, zaskakująco gromki okrzyk starej gospodyni. Po chwili zdałam sobie sprawę, że głos dobiegł do nas za pomocą metalowej rynny, zapewne połączonej z kuchnią. Jako że pan Dubois nie dosłyszał, takie rozwiązanie ułatwiało porozumiewanie się bez konieczności czytania z ruchu warg.

– Zechce pani spocząć?

– Z przyjemnością.

Usiedliśmy przy stole wciśniętym w kąt salonu. Z pewną ulgą stwierdziłam, że dziś spojrzenie pana Dubois jest bardziej przytomne niż zwykle. Nie czułam też unoszącego się wokół niego zapachu brandy. Dość elegancki szlafrok narzucił na płócienne spodnie i rozchełstana koszulę, miejscami ubrudzoną farbą.

Czyżby stary mistrz pędzla zaczął znowu malować?

– Od dawna przebywa pani w Londynie? – padło grzecznościowe pytanie.

– Przyjechałam zaledwie wczoraj – odpowiedziałam, po czym nastąpiła cisza.

Szukałam w myślach tematu, którego mogłabym się chwycić.

– Podobno Królewska Akademia Sztuk Pięknych organizuje w najbliższym czasie kilka ciekawych wystaw. Czy mógłby mi pan którąś polecić? – zapytałam.

– Wystawy? – powtórzył *monsieur* Dubois, jak gdyby chciał się upewnić, czy dobrze słyszy. – Zatem przychodzi pani po radę, które obrazy warto zobaczyć? – spytał głucho.

– W końcu niewiele zna się na sztuce tak jak pan.

Przebrzmiały artysta w zamyśleniu pokiwał głową. Przez chwilę gładził się po zapuszczonej białej brodzie. Pomyślałam, że w tym świetle upodabnia go ona do znanej podobizny samego Leonarda da Vinci.

– Nie jestem pewien – wychrypiał w końcu z wahaniem.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Nie jestem pewien, czy się jeszcze na tym znam.

Po mojej twarzy przebiegł cień.

– Dlaczego pan tak mówi?

Monsieur Dubois zapatrzył się w okno wychodzące na ceglana ścianę sąsiedniego budynku. U góry majaczył tylko wąski paseczek nieba.

– Jestem zmęczony życiem, panno Madeline – oznajmił wreszcie ołowianym tonem. – Tak zmęczony, że czasem mam wrażenie, że zapadam w sen, będąc na jawie. Wydarzenia i osoby, które znałem, nagle nakładają się na siebie niczym zbyt grube warstwy farby na zużytych płótnie. Nie wiem już, co jest prawdą... a co moją wyobraźnią.

Przełknęłam ślinę i zebrałam się na odwagę, żeby zadać dręczące mnie pytanie.

– Czy to się tyczy również portretu panny Claire Evans?

Mgiełka zasnuwająca oczy staruszka się rozviała. Na jego poranej głębokimi zmarszczkami twarzy odmalowały się zawód i rezygnacja.

– Rozmawiała pani na ten temat z Jonathanem Evansem?

– Nie ukrywam, że tak – odparłam cicho.

Monsieur Dubois pokiwał głową.

– Przyznaję, że ostatnio nie byłem dla niego zbyt uprzejmy... Poniosły mnie nerwy. Sama pani rozumie... Czy pan Evans żywi do mnie urazę?

– Nie wydaje mi się – odparłam szczerze.

– Co powiedział pani o obrazie?

– Rozmawiał ze mną o jego autorstwie. Pan Evans i ja spotkaliśmy się z ekspertem z Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, panem Hermogenesem Hastingsem.

– Hastings... Hastings... – zaczął mamrotać pan Dubois, wyraźnie szukając czegoś w pamięci. Dłuższą chwilę obracał to nazwisko na języku niczym gorzkie lekarstwo, którego z jakiegoś powodu nie mógł przełknąć. – Znałem Hastingsa! – W końcu pokiwał głową. – Stracił rękę w wypadku dylizansu, czyż nie? Ale nauczył się tworzyć drugą. Kalectwo go do tego zmusiło, pojmuje pani? Hastings jest jeszcze młody... Rozumie nowoczesne prądy. Dla niego moje obrazy to już przeżytek. Nigdy nie był mi przychylny – wymamrotał.

– Podziwiał *Damę ze szmaragdami*. Uważa, że namalował ją ktoś leworęczny – odezwałam się łagodnym tonem, uważnie ważąc każde słowo.

– Leworęczny? – mruknął *monsieur Dubois*. – Możliwe.

Drgnęłam. Czyżbym się przesłyszała?

– Ale pan maluje prawą ręką, prawda?

– Oczywiście.

W tej samej chwili nadeszła gosposia z herbatą, jednak ja nawet nie zwróciłam na nią uwagi.

– *Monsieur*... – Zacerpnęłam głębszego oddechu. – Czy ma pan absolutną pewność, że to pan namalował portret Claire?

Staruszek patrzył na filizankę z herbatą. Pogładził się po brodzie.

– Czasem myślę, że ja tylko nakładałem farbę na dzieło tworzone przez kogoś innego. Czy czuła pani kiedyś natchnienie, panno Hyde? Prawdziwe natchnienie... przypływ weny... szeptanie muz... Prawdziwa sztuka dzieje się wtedy, kiedy artysta na jakiś czas przestaje istnieć. Ma się wrażenie, że ktoś prowadzi pani rękę, że dzieło jest tworzone przez niezależny byt. Przestaje się odczuwać upływ czasu... To właśnie musiałem czuć, malując portret. Jak gdyby malował go ktoś całkiem obcy. Ktoś zdolniejszy i bardziej śmiały ode mnie.

Nie odrywałam oczu od starego malarza.

– Ale czy tym kimś był pan?

Monsieur Dubois przetarł twarz drżącymi dłońmi.

– Nie wiem – odparł nagle z rozbijającą szczerością, która wydała mi się wręcz bolesna. – Nie potrafię pani powiedzieć. Niczego już nie jestem pewien, panno Hyde. A dlaczego? Z powodu jednego szczegółu...

– Co ma pan na myśli?

– Chodzi o tamtą brakującą farbę. – Staruszek spojrzał na mnie z desperacją.

– Pamięta pani?

Pokiwałam głową. Co to miało do rzeczy?

– Ten błąd szczegół nie daje mi spokoju... Może na starość rzeczywiście tracę rozum? Bo widzi pani, żywię przekonanie graniczące z pewnością, że ktoś ją zabrał. Bardzo dbam o moje malarskie przybory. To nawyk jeszcze z czasów młodości, pojmuje pani? Nawyk, który pielęgnowałem przez całe życie. Tak długo, aż zamienił się w szereg odruchów. A moja niebieska farba po prostu zniknęła! To nie do wiary... Ciągle uważam, że ta zagadka to sprawa dla detektywa!

Zmarszczyłam brwi.

– Więc pan przypuszcza... że ktoś prócz pana korzystał z pańskich farb?

– Jeśli tak było, to ten ktoś zabrał błękitną farbę.

Pan Dubois sięgnął po filiżankę z herbatą. Porcelana brzęknęła, gdy oderwał ją od spodka. Głośno siorbiąc, upił kilka łyków. Z kolejnym brzękiem odstawił filiżankę na stół. Dłonie drżały mu jeszcze bardziej niż wcześniej.

– Błękitna farba... – zamruczał cicho, tym razem bardziej do siebie niż do mnie. – Błękitna jak krew płynąca w żyłach tych arystokratów...

Czy miał na myśli „błękitną krew” Verinderów? Czasem słowa wyprzedzają rzeczywistość, a słowa pana Dubois dziwnie utkwiły mi w pamięci. Jednak miał upłynąć jeszcze jakiś czas, nim odkryłam ich prawdziwe znaczenie.

20. POŚMIERTNE ODKRYCIE

– Po co Dexter Verinder miałby malować portret Claire? Jaki miałby w tym cel? – spytał Jonathan, kiedy ponownie razem siedzieliśmy w dorożce. Kłaskanie końskich kopyt i turkotanie kół nadawały rytm moim skłębionym myślom.

– Może uważał, że w ten sposób będzie mógł zaistnieć? *Dama ze szmaragdami* wszystkich zachwyca... Może Dexterem kierowała chęć wzbudzenia podziwu? – zastanawiałam się ściszonego głosem.

– Podziwu? – mruknął Jonathan. – Nie jestem przekonany. Przecież cały podziw za stworzenie tego obrazu od początku spływał na *monsieur* Dubois.

Lekko potrząsnęłam głową.

– Nie znasz Dextera tak dobrze jak ja. To bardzo specyficzny człowiek. Z jednej strony jest błyskotliwy, inteligentny i niezwykle spostrzegawczy. Z drugiej zaś przez swoje kalectwo już od dzieciństwa żył na uboczu tej rodziny. Stał się zamknięty w sobie i wycofany. I nauczył się strzec swoich tajemnic. Przypuszczam, że dla niego liczył się sam fakt, że on zna prawdę co do autorstwa obrazu. Może nawet odczuwał pewnego rodzaju satysfakcję, że udało mu się przechytryć wszystkich wokół? Wszystkich, łącznie z panem Dubois...

Jonathan lekko zmarszczył brwi.

– Chyba rzeczywiście dobrze go znasz...

– Tak. To niezwykle człowiek. Nie wierzę, żeby był... naprawdę zły.

Mężczyzna spojrział mi prosto w oczy. Nieoczekiwanie jego dłoń na chwilę spoczęła na mojej.

– Na pewno nie jest – zapewnił miękko. – W końcu to on ocalił ci życie.

Przełknęłam ślinę. Ja również o tym myślałam. Być może Dexter oszukał pana Dubois oraz swoje otoczenie, malując obraz w przebraniu malarza, ale czy to znaczyło, że był doszczętnie zepsutym człowiekiem? Z pewnością nie! Nie mogłam zapomnieć, że to on wyciągnął mnie z zimnych fal potoku, kiedy brzeg osunął mi się spod nóg. Jako jedyny poszedł za mną w tamtą burzową noc, kiedy wybiegłam z domu ze szmaragdami Claire. Gdyby nie

on, dziś mogłoby mnie tu nie być.

– Może masz rację – odezwał się znów Jonathan. – Może Dexter Verinder chciał zabawić się kosztem nas wszystkich. A może nie miał odwagi, żeby w inny sposób ujawnić swój malarski talent. Ale rodzą się inne pytania, które domagają się odpowiedzi. Jak choćby: Co w takim razie w czasie sesji malarskich robił pan Dubois? Czy staruszek był tak pijany, że kompletnie niczego nie pamięta? A może istnieje jakiś inny obraz i inna modelka, która pozowała prawdziwemu malarzowi? A przede wszystkim... – Mężczyzna wolno wypuścił powietrze z płuc. Jego głos znowu zabrzmiał chłodno i zdecydowanie. – Przede wszystkim chcę wiedzieć, czemu Dexter nie reagował, skoro musiał zauważyć zły stan Claire. Sama stwierdziłaś, że jest wyjątkowo spostrzegawczy. Przy każdej sesji przebywał z moją siostrą sam na sam. Czy mogło mu umknąć, w jak fatalnym jest ona stanie? Dlaczego nie zaproponował przerwy w tworzeniu portretu? – zauważyłam, że dłonie Jonathana lekko się zacisnęły. – Muszę to wiedzieć, Madeline. Muszę go o to spytać.

– Rozumiem cię – odparłam cicho. – Masz prawo poznać całą prawdę.

– On nie wyjawiał prawdy nawet prywatnemu detektywowi, którego sprowadził do posiadłości jego brat – zauważył Jonathan z nutą goryczy. – Zastanów się, Madeline. Zataił coś, co mogło być ważne dla śledztwa.

Na plecach poczułam mrowiący, chłodny dreszcz.

– Przecież udowodniono, że Claire zabił arszenik, którym nasączono zieloną suknię – szepnęłam głucho, spoglądając na mojego towarzysza szeroko otwartymi oczyma. – Arszenik, którym zatruta się również panna Alice.

Jonathan zanurzył twarz w dłoniach.

– Sam nie wiem. Może jednak jest coś, o czym nikt wcześniej nie wiedział? Nawet detektyw Crowley? Bo przecież Dexter niczego mu nie wyznał...

A może wyznał? – miałam ochotę wyszeptać, lecz pytanie pozostało w moich myślach. Nie! Jeśli rzeczywiście udało mi się do pewnego stopnia poznać Dextera i wyrobić sobie o nim własne zdanie, to przemawiało ono przeciwko tej tezie. Dexter Verinder potrafił dochować tajemnicy. I mimo że żywił żal nie tylko do swoich przodków, lecz również do żyjących członków rodziny, to jednocześnie czuł, że jest jej częścią i tak samo jak hrabina wyznawał bezwzględną lojalność wobec bliskich.

Do tej pory zastanawiałam się, czy tamtej nocy, kiedy wpadłam do wody, spotkał nad potokiem swoją siostrę.

Byłam niemal pewna, że tak...

A mimo to nic o tym nie powiedział.

A mimo to postanowił ją chronić.

Nawet jeśli na co dzień on i Alice okazywali sobie jawną wrogość.

– Nie mogę uwierzyć, że po tak długim czasie śmierć Claire wciąż otaczają tajemnice, które wymagają wyjaśnienia – rzekł Jonathan, spoglądając za okno. Nutka bólu, którą dosłyszałam w jego głosie, głęboko przeszła mi serce.

– Znowu chciałbym cię o coś prosić, Madeline... – Teraz odwrócił się w moją stronę. Jego smutne błękitne oczy przejrzały się w moich. Ciemne włosy lekko opadały mu na czoło. Zdjął cylinder i bezwiednie obrócił go w dłoniach, jak gdyby chciał je czymś zająć, żeby ukoić targający nim niepokój.

Cokolwiek zechcesz... – szepnęło moje serce, lecz ja tylko lekko zacisnęłam usta.

– Pojedziesz ze mną do Dworu pod Cisami? Wiem, że proszę cię o wiele... Zaledwie zaprosiłem cię do Londynu, a już myślę, żeby znów wyjeżdżać. Ale ty lepiej ode mnie znasz Verinderów. Przez jakiś czas mieszkałaś z nimi pod jednym dachem. Dexter uratował ci życie. Jeśli będzie chciał wyznać prawdę na temat ostatnich dni Claire, to tylko przed tobą. Ty jedna wzbudziłaś jego zaufanie.

Moje serce, które na chwilę zwolniło, znowu uderzyło śmielszym rytmem. Przełknęłam ślinę.

– Ja też chcę poznać całą prawdę, Jonathanie. – Spojrzałam mu prosto w oczy. – Oczywiście, że z tobą pojedę.

– Dziękuję. – Mężczyzna ścisnął moją dłoń. – To wiele dla mnie znaczy. Jutro wyślę telegram Verinderom.

Nasza dorożka zatrzymała się przy szykownej restauracji niedaleko West Endu. Jonathan oznajmił, że zaprasza mnie na obiad.

Weszliśmy do wnętrza dyskretnie rozświetlonego gazowymi lampami, z żyrandolami, które spływały z sufitu niczym misterne kryształowe pajęczyny. Boazerie i tapety z wytłaczanymi motywami ptaków i gałązek drzew dodawały sali przytulności. Kelner poprowadził nas do stolika w wykuszu wysokiego okna ujętego w pluszowe zasłony z lambrekinem, za którym roztaczał się widok na sąsiednią ulicę. Przytłumiony gwar rozmów toczących się wokół harmonijnie łączył się z cichym, melodyjnym brzękaniem pianina.

– Cieszę się, że tu jesteś, Madeline – rzekł Jonathan, gdy kelner przyjął nasze zamówienie.

– Cieszę się, że do mnie napisałeś – odparłam.

– Powinienem być zrobić to dużo wcześniej. Kiedy się ze sobą żegnaliśmy, obiecywałem ci, że napiszę... Jeszcze przy grobie Claire. Nie powinienem był

zwlekać.

– Oboje potrzebowaliśmy czasu – odparłam cicho i mimowolnie spuściłam wzrok.

Jonathan potrząsnął głową i spróbował się uśmiechnąć.

– Wybacz mi. Dość dziś już rozmawialiśmy o śmierci mej siostry. Nie zaprosiłem cię tutaj, żeby nieustannie cię zasmucać. Zależy mi na twojej przyjaźni, Madeline. I na tym, żebyś przyjemnie spędziła ze mną czas. Co powiesz na to, byśmy wieczorem wybrali się do teatru?

Poczułam, jak mocniej uderza mi serce.

– Z radością.

Rozmowa toczyła się między nami coraz swobodniej. Pomyślałam, że mogłabym godzinami słuchać kojącego głosu Jonathana. Jego brzmienie niosło niską, zmysłową wibrację, która niezauważalnie przenikała moje ciało. Nasza konwersacja miała w sobie coś z muzyki, która porywa i nadaje myślom nowy rytm. Rozmawialiśmy o Londynie, o życiu w Torquay, o książkach... Mimo narastającego niepokoju, który nadal gdzieś we mnie tkwił, w tej chwili nie żałowałam ani trochę, że wybrałam się w tę podróż do Londynu.

Po powrocie zajrzałam na dno mego bagażu. Spoczywała tam skrzętnie zapakowana przez Rosalind wieczorowa suknia z satyny w odcieniach morskiego błękitu, z odsłoniętymi plecami, maleńkimi bufkami oraz bezkompromisowym dekoltem. Ów ostatni zapewne uczyniłby mnie tematem plotek, gdybym pokazała się w niej w Torquay – ale Londyn i jego stroje rządziły się własnymi prawami.

Tego wieczora po zakończonej toalecie stanęłam przed owalnym tremo i spojrzałam w nie badawczo. Marta kończyła upinać moje niesforne włosy mnóstwem cieniutkich srebrnych spinek. Suknia podkreślała mą figurę – na krańcach materiału pienila się obszyta cekinami falbana, która rozlewała się w powłóczysty tren niczym błyskająca w słońcu fala. Do sukni włożyłam sięgające łokcia, cieniutkie rękawiczki z połyskliwej siateczki oraz pantofle z błękitnymi różami. Po mojej twarzy błąkał się delikatny uśmiech. Byłam zadowolona z uzyskanego efektu.

Jonathan w eleganckim fraku czekał na mnie w salonie wypełnionym aż po sufit obrazami pana Dubois. Kiedy odwrócił się od płonącego kominka i stanął naprzeciw mnie, ujrzałam swoje odbicie w jego oczach. Zamiast słów z jego piersi wyrwało się ciche, przeciągłe westchnienie. Potrząsnął głową, jak gdyby tym ruchem pragnął odpędzić natrętną myśl, po czym z uśmiechem podał mi ramię.

– Chodźmy.

Chłonełam atmosferę londyńskiego teatru, jak gdybym odwiedzała go pierwszy raz w życiu. Zajęliśmy miejsca w jednym z półkolistych balkonów, które kilkoma spiętrzonymi rzędami okalały położoną niżej widownię. Dżentelmenom zwykle towarzyszyły strojne damy – niektóre wyciągały z torebek wachlarze, inne zaś lorgnony, żeby móc z większą dokładnością obserwować nadchodzący spektakl, a może po prostu ulubionych aktorów. Szmer rozmów ucichł, kiedy przygasły światła. Płonęły już tylko lampy ustawione długim rzędem wzdłuż rampy. Kiedy kurtyna poszła w górę, przekonałam się, że ich blask ożywia grą ruchliwych światłocieni skomplikowaną scenografię i podkreśla każdy gest aktorów. Na scenie przyozdobionej malowniczymi dekoracjami wystawiano adaptację *Burzy* Szekspira. Wśród widzów najwięcej emocji wzbudzała postać Kalibana – pół człowieka, pół potwora, którego wygląd w oczach wszystkich umiejscawiał go gdzieś pomiędzy zwierzętami a ludźmi, niczym łączące ich brakujące ogniwo. Grający stwora aktor przywdział zwierzęcą skórę oraz groteskową maskę. Ja jednak tego wieczora patrzyłam na tę postać inaczej niż kiedyś – w zawieszanej w półcieniu łoży myślałam o mrocznych teoriach fizjonomiki, a także o tym, że to biedne stworzenie zrodzone w wyobraźni Szekspira nie było winne swojego wyglądu...

W drodze powrotnej rozmawialiśmy z Jonathanem o spektaklu. Dorożka sunęła po dywanie z mgieł, który wyścielił londyńskie ulice miękkim puchem. Gazowe latarnie malowały go hipnotycznym deseniem zielonkawych łun – a przecież mimo mgły między dachami wysokich domów niebo skrzyło się od jesiennych gwiazd.

– *Burza* to moja ulubiona sztuka Szekspira – wyznałam z uśmiechem.

Jonathan wydawał się uszczęśliwiony.

– Doprawdy? – Uniósł brew z zawadiackim błyskiem w oku. – A z którą z postaci utożsamiasz się najbardziej?

– Pytasz, czy pod jakimś względem przypominam Mirandę? Zapewne większość kobiet mogłaby odpowiedzieć twierdząco na to pytanie.

– Nie interesują mnie inne kobiety. Tylko ty – rzekł Jonathan, nieznacznie zniżając głos, a mnie serce nagle zatrzepotało w piersi.

Mimowolnie spuściłam wzrok, bo na mej twarzy zaczął wykwitać rumieniec. Przełknęłam ślinę.

– Jeśli chodzi o mnie, to postacią, którą rozumiem najlepiej, jest Ariel.

– Ariel? – mruknął Jonathan z nutką zaskoczenia. – Ten leśny duszek zaklęty w pniu drzewa? – Uśmiechnął się, a ja się ucieszyłam, że udało mi się go trochę rozbawić. Odchrząknęłam.

– Owszem. Na końcu Prospero go uwalnia.

– Tak, wiem... Ale dlaczego właśnie on?

Podniosłam oczy na mojego towarzysza.

– Dla mnie to najtragiczniejsza postać w całej sztuce. Może dlatego, że nikt nie traktuje go poważnie. Losy innych postaci znajdują szczęśliwe zakończenie, ale nie jego...

– Przecież na końcu Ariel otrzymuje wolność, której od początku pragnie. – Jonathan znów był zaskoczony. Odpowiedziałam mu bladym uśmiechem.

– To, czego pragnie, nie jest tym, czego naprawdę potrzebuje. Na końcu sztuki Ariel już nie jest tą samą istotą, którą był, zanim zetknął się z Prosperem. Nie przynależy już do żadnego z dwóch światów. Wolność oznacza dla niego zarazem samotność.

Jonathan nachylił się ku mnie. Patrzył mi prosto w oczy – jego dłoń na moment odszukała moją.

– To wiele o tobie mówi, Madeline – powiedział cicho. – Ty i ja... oboje jesteśmy samotni. Ale chciałbym, żebyś przy mnie zawsze mogła czuć się wolna.

Z lekkim uśmiechem spojrzałam za okno dorożki – kątem oka dostrzegłam, jak między dachami przemknęła spadająca gwiazda.

* * *

Po powrocie Jonathan odprowadził mnie pod drzwi sypialni.

– Chciałem ci coś pokazać – odezwał się cicho. Nagle poczułam, jak mocno łomocze mi serce, a wyobrażenia wbrew mej woli zaczyna snuć słodkie i zarazem zakazane wizje... Ale gdy mężczyzna nacisnął klamkę, moim oczom ukazał się stojący na podłodze drewniany kufer. Jonathan uniósł jego kunsztownie rzeźbione wieko.

– To rzeczy, o których ci wspominałem. Chciałbym, żebyś je przejrzała i wybrała sobie, co zechcesz.

– Pamiątki po Claire... – szepnęłam. Niezwykła atmosfera, która towarzyszyła nam w teatrze i która dogłębnie przypominała mi o urokach życia w Londynie, ustąpiła przed powracającym poczuciem nieodżałowanej straty.

Jonathan skinął głową.

– A także kilka pamiątek po naszej matce, które zgodnie z jej wolą miałem przekazać Claire w dniu jej ślubu. – Jonathan potarł czoło. – Możesz wziąć, co zechcesz.

Rzuciłam okiem na zawartość kufra.

– To dość osobiste rzeczy. Jesteś pewien, że nie chciałbyś ich zatrzymać?
Mężczyzna zaprzeczył.

– Jak się przekonasz, większość z nich to kobiece bibeloty. Nie mam drugiej siostry... ani narzeczonej. – Czy tylko mi się zdawało, że wypowiedział ostatnie słowo, rzucając mi przeciągłe spojrzenie? – Jeśli zaś chodzi o mnie, to te pamiątki tylko przypominają o złym losie, który spotkał moją siostrę. Wierz mi, będę spokojny, kiedy część z tych drobiazgów trafi do ciebie. – Jonathan zbliżył się i lekko dotknął mojej dłoni. – Jestem pewien, że właśnie tego chciałyby Claire...

– Więc zajmę się tym od razu. – Uśmiechnęłam się blado. – Trochę pomyszkuję tu przed snem.

– Dziękuję. – Ujął moją dłoń i złożył na niej najdelikatniejszy pocałunek, ulotny niczym muśnięcie skrzydeł motyla. – Dobrej nocy, Madeline.

Drzwi zamknęły się za nim z cichutkim trzaskiem. Z moich ust wyrwało się ciche westchnienie.

Rozebrałam się, a potem w samej sięgającej kostek halce uklęknęłam na podłodze. Zaczęłam w mało metodyczny sposób przeglądać zawartość kufra. Mieściły się w nim mniejsze skrzyneczki, pudła i puzderka. Skrywał broszki, kolczyki, dziecięcą pozytywkę, poduszeczki do igieł, naparstki, tamborki do wykonywania haftów, chustki z inicjałem, ręczne zwierciadło... Te przedmioty, przesiąknięte dotykiem Claire, nadal emanowały niewidzialną aurą swojej właścicielki. Świadczyły jej małych codziennych gestów, jej wahań nad doborem stroju, jej przygotowań do pierwszego w życiu rautu, jej krytycznych spojrzeń w lusterko i chwil samotnej zadumy – spoczywali w drewnianej skrzyni niczym w trumnie.

Na dnie odnalazłam również książkę. Była zawinięta w biały jedwab. Wzdrygnęłam się lekko, kiedy uniosłam skórzaną obwolutę i zrozumiałam, że to zbiór ballad Alfreda Tennysona... Zdało mi się, że nagle w mrocznym pokoju rozbrzmiał znajomy, melodyjny głos Claire:

*Tkań z okna wnet szybuje w dół,
Zwierciadło z trzaskiem pęka w pół,
Kłątwa, ach, kłątwa na mnie już!?*
Woła pani z Shalott...

Serce zabiło mi szybciej. Przekręciłam kilka pierwszych stronnic. Ku memu zdumieniu okazało się, że za początkowymi kartkami znajduje się skrytka

z metalowym zamkiem...

Z pośpiechem podkręciłam płomień lampy naftowej i zanurkowałam w głąb kufra w niecierpliwym poszukiwaniu kluczyka. Przetraszałam zawartość skrzyni dobre pół godziny, a ostatecznie i tak wysunęłam z włosów spinkę i za jej pomocą zaczęłam manipulować przy mechanizmie. Zamek ustępował tylko odrobinę, po czym uparcie stawiał opór. W końcu odpuścił niespodziewanie. Szufladka wysunęła się ze skrytki i runęła na podłogę – a razem z nią szeleszczący stosik listów przewiązanych czerwoną wstążką, która błysnęła w świetle niczym strużka świeżej krwi.

Zamarłam. Rzecz jasna dobre wychowanie zabraniało czytania cudzej korespondencji. Lecz przecież kiedy człowiek raz już posiada sztukę składania liter, nie ma sposobu, żeby przed nią uciec. Pismo ma nad nami wielką władzę – o wiele większą, niż zazwyczaj myślimy... Wystarczy, że wzrok raz padnie na którąś z części alfabetu, a mózg zaczyna wysnuwać z niej sieć znaczeń niczym sidła zastawione na nasz umysł.

I ja w nie wpadłam. Ujęłam jedną z kartek w dłoń. Serce mi się ścisnęło, kiedy spojrzałam na datę, a zaraz potem na zwrot do adresata. Był to list napisany przed śmiercią przez schorowaną matkę Claire do córki. Pięć lat temu... Opadłam na brzeg łóżka. Miałam wrażenie, że nagle opuściły mnie siły. Kurczowo ścisnęłam list w dłoni, jak gdyby mógł wyrwać mi się bez ostrzeżenia, rozwinąć papierowe skrzydła i wyfrunąć przez okno w mrok nocy niczym przerażony ptak.

Najdroższa córko!

Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że masz powód do głębokiego smutku oraz do wielkiej radości. Do smutku – ponieważ mnie, Twojej matki, nie ma już pośród żywych. Do radości – ponieważ wyszłaś za mąż. Niczego tak nie pragnę, jak wierzyć, że mężczyzna, którego poślubiłaś, będzie wart Twojej miłości.

Poprosiłam Jonathana, żeby ofiarował Ci szkatułkę z listem w dniu Twojego ślubu. Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnęłabym wręczyć Ci ją sama, ale jestem realistką. Zdaję sobie sprawę, że mój stan zdrowia pozwala spodziewać się najgorszego. Uśmiecham się do Ciebie, udaję, że walczę, lecz w głębi duszy doskonale wiem, że dni mego życia są policzone. Nie będzie mi dane być na Twoim ślubie, dziecko. A zanim umrę, muszę wyjawić Ci dręczącą mnie tajemnicę... Cierpliwy papier przechowa ją aż do dnia Twego zamążpójścia, kiedy to nazwisko męża, które zaczniesz nosić po ślubie, każe zapomnieć Ci nazwisko Twojego ojca, bez względu na to, kim był ten ostatni.

Pióro drgnęło w mojej dłoni, skoro nie mogę już dłużej odwlekać mojego wyznania.

Claire, mój mąż, Thomas Evans, który wychował Cię jak swoją córkę, nie był Twoim prawdziwym ojcem.

Jesteś córką hrabiego Jamesa Verindera.

Nim mnie potępisz, błagam – przeczytaj do końca mój list!

W ramiona Jamesa Verindera pchnęła mnie wieloletnia miłość – zapadł mi w serce już w czasach wczesnej młodości. Na moje nieszczęście – z wzajemnością. Bardzo chcieliśmy się pobrać, ale rodzina Jamesa sprzeciwiła się naszemu ślubowi, on zaś, jak przystało na dobrego syna, usłuchał. Nie będę Ci teraz opisywała, jak mocna była więź między nami – na dowód zostawiam Ci wszystkie listy, które napisał do mnie James, a także te, które ja wysłałam do niego. Po Twoich narodzinach hrabia Verinder zwrócił mi je co do jednego na moją prośbę. Przeczytasz w nich o naszym spotkaniu po latach, kiedy oboje już byliśmy w związkach małżeńskich, przeczytasz o cudownych chwilach i o najczarniejszych wyrzutach sumienia, które były zbyt silne, by nasz zakazany związek mógł trwać dłużej.

Córko, w tych listach odkrywam przed Tobą moją duszę. Stanowią one, jak zapewnił mnie hrabia, jedyny istniejący dowód mojego związku z Twoim prawdziwym ojcem. Zniszcz je natychmiast po ich lekturze. Teraz, kiedy jesteś już mężatką, kiedy nosisz nazwisko swego męża, jesteś wprawdzie bezpieczna od plotek i towarzyskich prześladowań – lecz nadal mogą istnieć osoby, które podejrzewają, czyją jesteś córką. W szczególności mam tu na myśli żonę Jamesa Verindera, która mogła domyślić się romansu męża. Wiem, jak bardzo ją skrzywdziłam – nie pozwolę jednak, by ta kobieta o ogromnych wpływach i o miażdżącej sile ambicji kiedykolwiek zyskała dowody na to, że jesteś przyrodnią siostrą jej dzieci. Obawiam się, że mogłaby zechcieć Ci zaszkodzić, Claire, w ramach zemsty na Twojej matce – a ta myśl staje się dla mnie nieznośna.

Nie potępiaj mnie, Claire. Mój mąż mi wybaczył – u kresu życia mogę żywić zatem krzepiącą nadzieję, że Ty uczynisz to samo. Konwenanse i ludzkie języki są o wiele bardziej okrutne dla kobiety niż dla mężczyzny – a przecież nasze dusze nie różnią się w niczym, tak samo jak miłość, którą odczuwamy. Chcę, byś wiedziała, że niczego nie żałuję – dlatego że najpiękniejszym owocem mojej zakazanej miłości jesteś Ty. W dniu Twojego urodzenia przysięgłam sobie, że nie wrócę nigdy na ścieżkę mego grzesznego przywiązania do hrabiego Verindera, i dotrzymałam słowa. Córko, stałaś się słońcem mojego życia, które opromieniło nawet najgłębsze mroki mej duszy. Chcę, żebyś świeciła jasno do końca swych dni.

Spal listy i ciesz się życiem.

Twoja kochająca Matka, Elizabeth Evans

List bezszelestnie wysunął mi się z dłoni. Opadł na puszysty dywan u moich stóp. Przez dłuższą chwilę nie mogłam się poruszyć. Patrzyłam w okno. Półkolisty księżyc zawisł wśród czarnych gałęzi starego drzewa, w wieńcu oszronionych chłodnym blaskiem, znieruchomiłych liści. Gazowe latarnie po drugiej stronie ulicy przypominały zastygłe we mgle błędne ogniki. Zielonkawa poświata otulała układające się do snu miasto niczym cienka, aksamitna peleryna.

Miałam wrażenie, że to, co odkryłam, jest tylko snem.

Zwinęłam się w kłębek na pachnącym lawendą łóżku. Byłam znużona, ale nijak nie potrafiłam zasnąć. Cichy głosik w mej głowie powtarzał urywki z listu, każdy z nocnych odgłosów uspionego domu sączył się do mych uszu niczym czyjś urwany szept. Bałam się ruszyć, nieomal bałam się oddychać. I bałam się listów – nie śmiałam podnieść ich z podłogi. Przymknęłam oczy – pod powiekami piecił się chaos obrazów.

Claire była przyrodną siostrą Dereka Verindera!

Czy ktoś o tym wiedział?!

Czy ktoś mógł się tego domyślić?!

Odpowiedź pojawiła się jak sen.

Oprzytomniałam i krzyknęłam:

– Dexter!

Siedziałam na łóżku w samej halce, ciężko dysząc. Kark i czoło miałam złane potem. Pokój wypełniały długie szare cienie świtu. Ktoś głośno pukał do drzwi.

Był to Jonathan.

– Madeline! Krzyczałaś! Wszystko w porządku? – zapytał.

Nie miałam siły mu odpowiedzieć.

Zsunęłam się z łóżka.

Drzwi się uchyliły. Jonathan zobaczył najpierw mnie, a potem listy.

Patrzyłam na niego lekko zamglonymi oczyma, wewnątrz czując straszną pustkę.

– Przeczytaj.

* * *

Siedliśmy naprzeciw siebie w głębokich fotelach w niewielkim gabinecie Jonathana. Owinęłam się użyczonym mi przez niego grubym szlafrokiem, który chwilę po wejściu do mego pokoju zarzucił mi na ramiona. W milczeniu sączyliśmy kawę – zaprawiłam moją odrobiną mleka. Dookoła nas wzbierała szarość miejskiego świtu. Od okna dobiegał pomruk budzącej się do życia ulicy – turkotanie dorożek, kroki robotników, okrzyki gazeciarzy roznoszących wokół siebie intensywny zapach farby drukarskiej. Lecz wokół nas unosił się jeszcze aromat świeżo parzonej kawy – niby rozsnuwający się z wolna ciepły kokon, w którym skrywały się ostatnie okruchy snu.

– Czy przerażę cię, jeśli powiem, że cieszę się, że Claire nie dożyła tej chwili?
– wyszeptał Jonathan.

– Są rzeczy, które przerażają mnie o wiele bardziej – odparłam cicho. Spojrzałam mu w oczy. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Nawet nie chcę myśleć, co poczułaby Claire, gdyby w dniu ślubu dowiedziała się, że jej mąż jest zarazem jej przyrodnim bratem.

– To byłby dla niej straszliwy cios... – rzekł Jonathan. W jego słowach dało się słyszeć ból.

Nagle zapragnęłam doszukać się w wyrokach losu ukrytej dotąd łaskawości, jak to często czynią ludzie w razie nieszczęścia.

– Pomyśl, że gdyby nie ten wypadek... Gdyby nie suknia nasączona arsenikiem... – urwałam, myśląc o tym, że oszczędzono Claire bolesnej wiedzy na temat jej nieprawego pochodzenia.

– Więc nadal wierzysz, że to był wypadek? – przerwał mi mężczyzna ze spokojem.

Zamilkliśmy.

– Nie. Nie wierzę – odparłam po dłuższej chwili zgodnie z prawdą.

– Ja też nie. Claire nie umarła przypadkowo. Nie sądzę też, żeby otruto ją arsenikiem. Szmaragdowy naszyjnik, czaszka zakopana pod drzewem, wypadek panny Verinder, a nawet tamta przeklęta suknia... To wszystko były tylko fałszywe tropy.

Zamrugałam.

– Więc jaki jest prawdziwy?

– Obraz. Ten, kto go namalował, ma wiele do ukrycia.

– Dexter.

Patrzeliśmy na siebie w milczeniu. Ogrzewałam dłonie o porcelanową filiżankę z kawą, a mimo to znów poczułam, że mam gęsią skórę. – Myślę, że on mógł odkryć prawdziwe pochodzenie Claire – wyznałam.

– Czy mógł również dopilnować, żeby nie wyszła za hrabiego Dereka? – szepnął Jonathan, a ja się wzdrygnęłam.

– Jeszcze dziś musimy spotkać się z detektywem Crowleyem. Jego biuro znajduje się przy Oak Street.

– Chcesz pokazać mu list twojej matki? – Moje oczy lekko się rozszerzyły. – Wyjawić, że miała romans z ojcem hrabiego? Nie obawiasz się... wybuchu skandalu?

– Skandalu? – Kącik ust mężczyzny wygiął się w grymasie goryczy. – Owszem, chcę, żeby wybuchł skandal. I by uderzył on w rodzinę Verinderów.

To poniekąd również rodzina twojej zmarłej siostry – pomyślałam, lecz zachowałam tę myśl dla siebie.

– Czy masz żal do swojej matki? – spytałam cicho.

– Żal? Nie. Jakże mógłbym mieć do niej żal o to, że urodziła Claire? Moja siostra była darem od losu, Madeline. Ty to wiesz... – Jonathan wbił wzrok w zamglone okno. – Cały mój żal zachowuję dla Verinderów.

21. DOMYSŁY I CIENIE

Biuro prywatnego detektywa Aleistera Crowleya, ulubieńca londyńskiej kroniki kryminalnej, znajdowało się przy Oak Street pod numerem osiem. W przestronnym, podłużnym pokoju ozdobionym czarno-białymi fotografiami, oprawionymi w ramki podziękowaniami wdzięcznych klientów oraz wycinkami z gazet, które opisywały rozmaite kryminalne wypadki z całej Anglii, przywitał nas sekretarz słynnego detektywa. Młody mężczyzna o szczupłej twarzy i delikatnych ruchach oznajmił, że w tej chwili pan Crowley jest zajęty.

– Kiedy zatem będziemy mogli z nim pomówić?

– Nie dzisiaj, *sir*.

– To sprawa wielkiej wagi.

– Tutaj wszyscy przychodzą z takimi sprawami, *sir*. Ze sprawami, które chcą utrzymać w tajemnicy.

– Chodzi o zagadkę śmierci pewnej młodej damy. Pan Crowley zajmował się tą sprawą pół roku temu.

Młodzieniec złożył dłonie w piramidkę. Ze współczującą miną kiwał głową, przytakując każdemu słowu Jonathana.

– Rozumiem. Lecz proszę zrozumieć także mnie. Skoro nie byliście państwo umówieni...

Jonathan był nieustępliwy.

– Proszę powiedzieć panu Crowleyowi, że przychodzę w imieniu hrabiego Dereka Verindera.

Mojej uwadze nie uszło lekkie drgnienie w twarzy mężczyzny za biurkiem.

– Za pozwoleniem... z tych Verinderów? – spytał z wyczuwalną emfazą.

Jonathan uniósł jedną brew.

– A są jacyś inni?

Młody człowiek wstał.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedział, po czym lekko się skłonił i żwawo ruszył na piętro po drewnianych schodach wyłożonych zielonym chodnikiem.

– Czemu to powiedziałaś? – zwróciłam się do Jonathana, kiedy zostaliśmy sami.

– Inaczej by nas nie przyjął. – Mężczyzna lekko wzruszył ramionami. – A hrabia Derek to przyrodni brat mej siostry, czyż nie? Poza tym: oboje wiemy, że on też chciałby wiedzieć, co tak naprawdę spotkało jego narzeczoną...

* * *

– Uważamy, że ktoś dowiedział się, że Claire jest przyrodnią siostrą rodzeństwa Verinderów. Panna Hyde jest zdania, że tą osobą był brat hrabiego Verindera.

Żółtawe oczy Aleistera Crowleya błysnęły z zaciekawieniem. Po tym, jak asystent powiadomił go, iż przybywamy z ramienia rodziny Verinderów, słynny detektyw przerwał swe zajęcia i od razu znalazł dla nas czas. Zaczęliśmy od sprostowania niewinnego kłamstwa Jonathana. Detektyw Crowley zanadto się tym nie przejął – zamiast tego zaczął z zainteresowaniem przeglądać sekretne listy nieżyjących hrabiego oraz pani Evans, które Jonathan położył na jego biurku.

– W jaki sposób kaleki brat hrabiego miałby wejść w posiadanie takiej wiedzy? Z tego, co mi wiadomo, rzadko kiedy opuszcza rodzinny dom. Nie bywa w towarzystwie... Nie słucha plotek. A w liście sprzed lat pańska matka sama stwierdza, że nikt nie zna prawdy o jej relacji z Jamesem Verinderem. A więc: jak?

– Dzięki znajomości zasad fizjonomiki oraz antropometrii – odparłam na to drżącym głosem. – Dexter niezwykle pociągają oba te zagadnienia. Posiada mnóstwo książek na ten temat, ponadto bada wykopane z ziemi kości. Zebrał także kolekcję odlewów głów znanych morderców.

– Gipsowe głowy?

– Część z nich jest wykonana z gipsu, a część z wosku – przytaknęłam.

– Pan sam był raz świadkiem, jak Dexter Verinder opowiadał o swojej pasji – podjął Jonathan. – Z pewnością pan pamięta.

– Naturalnie, pamiętam – potwierdził detektyw. – Jego zainteresowanie tym tematem nie mogło ujść mojej uwadze, jednakże to nie jest żaden dowód.

– Jest coś jeszcze – oznajmił Jonathan. – Mamy prawie absolutną pewność, że to Dexter Verinder, a nie Maurice Dubois namalował portret mej siostry.

– Co takiego? – Detektyw Crowley podkręcił czarnego wąsa.

Jonathan wyciągnął złożone pismo na czerpanym papierze z inicjałem.

– To pisemna opinia znanego krytyka malarstwa z Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, pana Hermonegesa Hastingsa.

– Faktycznie dość znane nazwisko... – mruknął pan Crowley i rozłożył pismo przed sobą.

– Owszem – potwierdził Jonathan. – Pan Hastings jest skłonny położyć na szali swoją reputację konesera współczesnego malarstwa, do tego stopnia jest przekonany, że to nie *monsieur* Dubois namalował *Damę ze szmaragdami*.

– Powstaje zatem pytanie: jak to możliwe? – mruknął detektyw, jednocześnie przebiegając skupionym wzrokiem pismo z opinią eksperta.

Jonathan odchrząknął i spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Moja siostra, co może potwierdzić kilka osób, przed każdą sesją malarską zakraplała do oczu belladonnę, która upośledza wzrok.

– Wiem, że Dexter miał zwyczaj przebierać się, żeby ukryć swoją prawdziwą tożsamość, a raczej związane z nią kalectwo – podjęłam. – Kiedy przyjechałam do Farnham, to on odebrał mnie ze stacji kolejowej. Uczynił to przebrany za starego woźnicę.

– I pani go nie poznała?

– Ależ nie. Po pierwsze, nie widziałam go nigdy wcześniej. Po drugie, jego wygląd był w pełni przekonujący. Przyzna pan, że z jego zgarbioną sylwetką i z nogą, którą lekko powłóczy, przy odpowiednim dopasowaniu sztucznej brody z powodzeniem mógłby udawać starca.

– Czyli pana Maurice'a Dubois... – zamruczał detektyw, patrząc mi w oczy. Dostrzegłam w nim narastającą ciekawość i towarzyszące jej igrające w oczach błyski.

– Tak jest. Zwłaszcza przed siedzącą nieruchomo dziewczyną...

– Przed dziewczyną, która była przejęta tym, żeby się nie poruszyć. I której oczy zostały zakropione atropiną wchodzącą w skład soku z wilczej jagody – mruknął znów pan Crowley, a ja lekko uniosłam brwi, zaskoczona jego przenikliwą wiedzą na temat tych chemicznych substancji.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc.

Detektyw Crowley splótł dłonie za plecami. Zaczął w zamyśleniu przechadzać się za biurkiem – to w lewą, to w prawą stronę, niczym krążąca po klatce pantera.

– A co na to sam malarz? Pan Maurice Dubois, co on na to wszystko? – spytał niespiesznie po chwili przedłużającego się milczenia. – Z tego, co wiem, otrzymał pieniądze za sportretowanie panny Evans. Czy byłby skłonny potwierdzić w sądzie to, co państwo mówicie?

– Madeline z nim rozmawiała – rzekł Jonathan.

Skinęłam głową.

– Twierdzi, że niczego nie pamięta. To znaczy nie pamięta, jak malował obraz. Ale wciąż sądzi, że zaginęła mu wówczas niebieska farba. Że ktoś ją ukradł... Jest przekonany, iż była tam oprócz niego jeszcze jedna osoba... – powiedziałam powoli.

– Ale czy będzie skłonny powtórzyć to przy świadkach? – spytał pan Crowley. – A w razie potrzeby również na sali sądowej? Jego świadectwo byłoby bardzo istotne.

– Pomówię z nim jeszcze raz – zapewniłam impulsywnie. – Spróbuję skłonić do tego, by nam pomógł.

– Pan Dubois musi zrobić to z własnej, nieprzymuszonej woli – stwierdził detektyw Crowley dość surowo. – To bardzo wiekowy, w dodatku nieco zdziwaczały jegomość. Nie chcemy, żeby ktoś rzucił podejrzenie, że wypowiada się z inspiracji osób trzecich. To postawiłoby w złym świetle jego wiarygodność. Rozumie pani?

– Rozumiem. Odwiedzę go jeszcze dzisiaj.

– A ja z tobą – powiedział Jonathan.

– Jak najszybciej dajcie mi państwo znać, jaki będzie efekt tej rozmowy – poprosił detektyw.

– Tak uczynimy.

– Zatem pozostajemy w kontakcie. – Pan Crowley odprowadził nas do drzwi. Uścisnął dłoń Jonathana i skłonił się przede mną. Kiedy znalazłam się już za progiem, usłyszałam, jak detektyw mamrocze sam do siebie, jak gdyby nad czymś intensywnie się zastanawiał: – Niebieska farba... Hmm... Hmm... Niebieska... farba.

* * *

Jonathan i ja znów siedzieliśmy obok siebie w dorożce, a zamglony Londyn przewijał się za jej oknami niczym ożywione obrazy z kinematografu. Niebo pokrywały burzowe chmury – ciemnoszare i ciężkie jak ołów. Na ziemię nie spadła jeszcze ani kropla deszczu, lecz jego zapowiedź wisiała w dusznym powietrzu, w którym przemykały smugi dymu z kominów i nieliczne miedzianozłote liście. Kolory gasły, robiło się coraz ciemniej. W takich okolicznościach zaniedbana dzielnica Deptford wydała mi się jeszcze bardziej ponura niż poprzednim razem. Dziś pokryty łuszczącym się tynkiem dom pana Dubois ukazał mi się jako to, czym był w istocie –

kruszejącą ze starości rudera, która dawno przestała udawać miejski pałac...

Dorożka zatrzymała się po drugiej stronie błotnistej ulicy.

Niespodziewanie Jonathan przykrył dłonią moją dłoń.

– Dziękuję ci za to, co powiedziałaś Crowleyowi.

– Nie powiedziałam nic prócz prawdy – odparłam.

– Wiem. Ale wiem też, że Dexter Verinder ocalił ci życie. Musi być ci niełatwo mówić o tym, że teraz podejrzewasz, że miał coś wspólnego ze śmiercią Claire.

Przełknęłam ślinę.

– To prawda. Nie jest mi łatwo – przyznałam. – Kiedy mieszkałam we Dworze pod Cisami, w pewien sposób zaprzyjaźniłam się z Dexterem. To on uratował mnie przed utonięciem tamtej nocy, kiedy umarła Claire. Gdyby nie on... byłoby nas dwie – wyszeptałam.

– Nawet tak nie mów. – Błękitne oczy Jonathana spojrzały na mnie w przeszywający sposób. – Nie mógłbym stracić również ciebie.

Choć serce zabiło mi jak szalone, wysunęłam dłoń z jego ręki.

– Więc ci na mnie zależy? – wymówiłam szeptem, uciekając wzrokiem za okno.

– Czyżbyś tego nie zauważyła? – spytał w odpowiedzi równie cicho i nachylił się ku mnie. Jego ciepły oddech owionął moje usta niczym ulotny cień pocałunku. Chciałam pochwycić go niczym morską bryzę przelatującą po wrzosowisku. Chciałam, by buszował w moich włosach jak wiatr, żeby powiew spadł na moją szyję i spłynął dalej, w zagłębienie nad obojczykiem, tylko po to, by wspiać się ku szczytom moich piersi... Chciałam przymknąć oczy, by skupić się na wyczekiwanym doznaniu. Lecz wówczas, już spod spuszczonej rzesy, zobaczyłam czarny wóz koronera zatrzymujący się po drugiej stronie ulicy.

Przed domem, który za moment mieliśmy odwiedzić.

– Koroner – rzekłam głośno, wskazując za okno i burząc niespokojną magię chwili.

Czar prysł.

Jonathan podążył za moim spojrzeniem. Czy jego również ogarnęło złe przecucie?

– Przyjechał pod dom pana Dubois – wyszeptałam.

– On wynajmuje tylko jedno piętro w tym budynku.

– Nie widziałam tam śladów innych lokatorów. A ty?

Nie odpowiedział.

– Chodźmy.

Wyszliśmy z dorożki. Widok konnego wozu koronera w mgnieniu oka

przyciągnął z okolicznych zaułków ciekawskie dzieciaki w pocerowanych ubraniach, kilka starych kobiet oraz lokalnych pijaczków o zniszczonych, purpurowych, zawiedzionych twarzach.

Dlaczego świat jest tak niesprawiedliwy? Czemu dzieci wychowują się w takich miejscach?

Dzieci obiegły karawan, niektóre głaskały konie, gdy reszta gapiów w milczeniu obserwowała widowisko. Nikt nas nie zatrzymywał. Nikt o nic nie pytał.

Drzwi z zaśnieżonym pierścieniem kołatki stały otwarte na oścież. Zatrzymaliśmy się przed nimi na odgłos kroków.

Dwóch pomocników koronera wynosiło z wnętrza zmarłego złożonego na marach – ciało było przykryte grubym prześcieradłem. Minęli nas i zanieśli zwłoki do wozu. Za nimi z wilgotnej i ciemnej sieni wyszła stara gospodyni w wielkim czepcu – ta sama, która wpuściła mnie tu ostatnim razem. Do nosa przyciskała mokrą chusteczkę. Nagle spojrzała na mnie czerwonymi od płaczu oczyma. Rozpoznała mnie.

– To pani! Przyszła pani do niego, prawda? Spóźniła się pani! Ach... i pan! – rzuciła złowrogo, gdy zobaczyła u mego boku Jonathana, jakbym przywlekła ze sobą intruza. – To pan... kupił wszystkie jego obrazy! – Chuda staruszka się rozpłakała.

– Czy możemy pani jakoś pomóc? – zapytał miękko Jonathan. Podał jej świeżą chusteczkę. Ten drobny gest widocznie wiele dla niej znaczył.

– Darujcie... Niechże państwo wejdą na górę. Prawie nie miał przyjaciół. – Wytarła oczy mocnym, zamaszystym ruchem. – Wejdźcie.

– Zaraz dołączę – rzekł Jonathan i odszedł pospiesznie, żeby zamienić kilka słów z koronerem. Po chwili wóz odjechał, brnąc w błocie, a my wspięliśmy się po stromych drewnianych schodach za gospodynią.

22. UMRZEĆ DLA SZTUKI

Jeszcze na schodach wyczułam niski, przytłaczający zapach śmierci. Zapach, który zapamiętało kiedyś moje ciało... Z uśpionych zakamarków umysłu przywoływał najbardziej upiorne wspomnienia. Rozchodził się w dusznym, burzowym powietrzu niczym lepkie nitki niewidzialnej pleśni, która przenikała całą przestrzeń wokół nas. Mieszał się z silną, kwaśną wonią octu, która unosiła się wokół starej gospodyni. Zrozumiałam, że kobiecina musiała niedawno zmywać octem podłogę.

Weszliśmy do małego salonu, w którym ugoszczono mnie poprzednio. Drzwi do sąsiadującej z nim sypialni były otwarte – ujrzałam brzeg skołtunionego łóżka. Wzdrygnęłam się na myśl, że pan Dubois spał w nim zapewne jeszcze tej nocy.

– Ja się bałam, że nikt o niego nie spyta. A to przecież był artysta, prawda? Wszystkim tak o nim mówiłam... Przeczuwałam, że umrze, ale tak nagle...

– Przeczuwała pani, że *monsieur* Dubois umrze?

– O tak. Pozbył się obrazów. – Gospodyni powiodła posepnym wzrokiem po ogołoconych ścianach ze sterczącymi zeń groźnie gwoździami, które przywodziły na myśl narzędzia tajemniczej karni. – Jednego dnia przychodzę tutaj z kolacją dla niego i patrzę, a tu wszystkie ściany gołe! To był zły omen! Tak się przeraziłam, że i mnie to o mały włos nie zabiło. Czułam, jakby miało wysiąść mi serce. A on mi mówi, że wszystko sprzedał... panu. – Stara kobieta spojrzała na Jonathana ze złowieszczym błyskiem w oku. – To go zabiło. Wiedziałam, że tak będzie. To był stary człowiek, przywiązany do swoich malunków. Mówił czasem, że te obrazy to jego dusza. Ja się na tym nie znam, ale rozumiałam... Aż nagle sprzedał tę swoją duszę panu. Jak diabłu. Żebym jeszcze wiedziała, za ile! – zamilkła.

Usłyszałam, jak Jonathan cicho przełknął ślinę.

– To pani go znalazła? – zapytał cicho.

– A jakże. Któż by inny? Mam swoje lata, ale jak żyję, nie widziałam tyle krwi!

Poczułam gwałtowny ucisk w gardle. Puls mi przyspieszył.

– Krwi?

Zaczerwienione, zimne oczy kobieciny przeszły mnie ze zdumieniem.

– Jeszcze pani nie wie? Tam leżał. – Machnęła chudą ręką ku sypialni. – Dobrze, że jesteście, to przeczytacie... Posiałam gdzieś okulary. Zostawił list.

Wymieniliśmy z Jonathanem pytające spojrzenie. Stara gospodyni po chwili wróciła do nas z wyświechtaną kopertą. Na jej grzbiecie widniał zamaszysty inicjał malarza – podobny do tego, który znajdował się na portrecie Claire.

Usiedliśmy we trójkę na chybotliwych krzesłach. Drżącą dłonią wyjęłam list z koperty, która nie była zapieczętowana. Gospodyni patrzyła na mnie wyczekująco. Domyślałam się, że może spodziewa się testamentu, w którym zostałaby wymieniona...

Za oknem rozległ się grzmot. Pierwsze krople deszczu rozprysły się o szyby. Powstrzymując drżenie głosu, zaczęłam czytać:

Moja sztuka się skończyła.

A tym samym moje życie.

Jedynę, co mogę zrobić, to umrzeć wraz z nią.

Wiem, że nie pojmie tego nikt, kto nie myśli tak jak ja.

Największe dzieło moich ostatnich lat zostało uznane za falsyfikat.

Krytycy nie zostawią na mnie suchej nitki. Nie dadzą mi żyć. Tylko śmierć zamknie im usta, więc odchodzę – tak, by mnie zapamiętano.

Maurice Dubois

Skończyłam czytać. Prawie bałam się oddychać.

Miażdżącą ciszę przerwała stara gospodyni. Pociągnęła nosem i spojrzała na mnie i Jonathana – na poły żałosnie, a na poły mściwie. Zamruczała powoli:

– Zastrzelił się z rewolweru. Włożył sobie lufę w usta. Ja nawet nie wiedziałam, że on ma rewolwer. To wszystko przez alkohol. I przez te jego obrazy... Przeczuwałam, że to go wykończy.

* * *

Przez całą drogę powrotną do domu Jonathana prawie nie odzywaliśmy się do siebie. Nie tylko dlatego, że w obliczu śmierci wszelkie słowa nic nie znaczą. Każde z nas toczyło samotną walkę z własnymi, demonicznymi

myślami. O dach powozu niecierpliwie bębnił deszcz, który odcinał nas od reszty świata szumiącą kurtyną. Od reszty świata – i od siebie nawzajem...

Wreszcie cisza stała się nie do zniesienia. Zacisnęłam powieki.

– Myślisz to samo, co ja? – spytałam szeptem, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc.

– To znaczy?

– Że to nasza wina. Moja, twoja... Że przyczyniliśmy się do jego śmierci.

Jonathan wbił we mnie przestraszony wzrok.

– Madeline, nie powinnaś tak myśleć.

– Kiedy to prawda! – Lekko zacisnęłam dłonie. – Nawet napisał o tym w swoim ostatnim liście. Pan Dubois był samotnym staruszkiem. Nie zostało mu nic prócz jego sztuki. A my mu ją odebraliśmy. Sam wiesz, jaki był dumny z tego obrazu... – Przymknęłam oczy, żeby stłumić łzy. – Mówił mi, że czasem, kiedy maluje, całkiem się w tym zatracą. Zapomina o czasie i o miejscu, w jakim się znajduje. Przed oczyma ma tylko artystyczną wizję... – zawiesiłam głos i odetchnęłam głęboko. – A myśmy to wszystko zniszczyli!

– Wszystko?

– Jego dumę z obrazu. Może pan Dubois uznał, że mamy go za oszusta? Tak naprawdę ten obraz... i pan Hastings... Verinderowie... – Znowu zaczerpnęłam powietrza. – To wszystko zniszczyłoby jego reputację malarza, na którą pracował całe swoje życie.

Widziałam, jak Jonathan bije się z myślami. W końcu potrząsnął głową.

– Madeline... My tylko próbowaliśmy odkryć prawdę.

– Za jaką cenę? – spytałam z rozpaczą. – Prawda go zabiła!

– Nie. – Nakrył dłonią moją dłoń. – Zabiło go kłamstwo. Oszustwo popełnione przez prawdziwego autora portretu. To on zawinił. Nie my. To wszystko zaczęło się dużo wcześniej. To zło, którego jesteśmy świadkami, ma swoje źródła we dworze Verinderów.

– *Monsieur* Dubois się zastrzelił – powtórzyłam, kręcąc głową. – Z powodu tego, co mu powiedzieliśmy. Najpierw ty, a później ja.

– Nie możesz znać wszystkich jego powodów – odparł cicho Jonathan. Spojrzałam mu w oczy. – Nie znasz ich, Madeline. Mówimy o odebraniu sobie życia. Takiej decyzji nie podejmuje się pod wpływem jednego impulsu. Musiały istnieć inne okoliczności. Może jednak cierpiał na chorobę umysłową? A może popadł w chorobliwą melancholię? Alkohol też robił swoje. A sama wiesz, że nigdy go sobie na żałował.

Przygryzłam usta.

– Myślisz, że mógł zabić się dlatego... że on także miał coś wspólnego ze śmiercią Claire? – spytałam cicho, czując mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się. – Jonathan zawiesił głos i popatrzył mi w oczy.

Przeszył mnie dreszcz. Zdało mi się, że na dnie mych myśli słyszę znowu ochrypły głos pana Dubois, tak jak pewnego wieczora we Dworze pod Cisami:

W oczach publiczności nic tak nie podnosi wartości dzieła jak zgon jego twórcy lub modela. Słyszała panienka o Holendrze nazwiskiem van Gogh? Nie? Zabił się kilka lat temu... Wróżę jego pracom wielką przyszłość!

Z zadumy zbudził mnie głos Jonathana:

– Odkryjemy tożsamość mordercy, Madeline. Obiecuję – powiedział z mocą.

Przełknęłam ślinę i uniosłam wzrok.

– Musimy powiedzieć o śmierci pana Dubois panu Crowleyowi.

Jonathan skinął głową.

– Jutro rano. Dobrze? Odwiedzę go po śniadaniu.

– A ja z tobą.

Spojrzał na mnie z wahaniem, ale i z nadzieją.

– Jesteś pewna, że...? Myślałem, że po tym, co się stało... – urwał.

– Chcę rozwiązać tę zagadkę tak samo jak ty.

Mężczyzna rozluźnił się. Głowa opadła mu na oparcie za plecami.

– Myślę, że dziś oboje powinniśmy trochę odpocząć – mruknął, spuszcżając powieki, jakby marzył, żeby zapaść w sen. Ja zaś skwapliwie skorzystałam z tej chwili, by móc bezkarnie patrzeć na jego piękną twarz.

* * *

Następnego dnia jednak nie odwiedziliśmy Aleistera Crowleya. Detektyw ubiegł nas i zjawił się u Jonathana pierwszy.

– Wiem już o samobójstwie pana Dubois. Bardzo mi przykro – rzekł od progu, zdejmując przy tym z głowy czarny melonik.

– Już pan wie? – Podniosłam się z krzesła. Marta jeszcze przygotowywała śniadanie, z kuchni dobiegał nas przyjemny zapach grzanek, smażonych jajek i świeżo zmielonej kawy.

– Panno Hyde, w moim fachu byłbym nikim, gdybym nie miał na mieście odpowiednich informatorów. Szczególnie w dzielnicy takiej jak Deptford. – Detektyw Crowley zmrużył kocie oczy.

– Rozumiem. – Przełknęłam ślinę.

– Właśnie mieliśmy zasiąść do śniadania. Zje pan z nami? – zapytał

Jonathan.

– Dziękuję za zaproszenie. Starczy mi kawa. Kiedy pochłania mnie jakaś kwestia, żołądek mam związany w supeł. W takich chwilach napędza mnie nie pożywienie, lecz ciekawość w swej najczystszej formie, niczym ożywiający ciało fluid.

Na krótki moment zapanowała niezręczna cisza.

– Zamierzam dziś porozumieć się z pastorem w sprawie pogrzebu pana Dubois – rzekł Jonathan cicho. – Jego gospodyni twierdzi, że nie miał żadnej rodziny. Myślę, że pogrzeb powinien odbyć się szybko. Przy tej okazji chciałem zorganizować wystawę jego prac.

Detektyw skinął głową. Od chwili, w której przestąpił próg salonu, z uwagą rozglądał się po ścianach szczelnie zapełnionych obrazami, zachował jednak niewzruszoną minę kogoś, kto nie takie dziwactwa już widywał w swoim życiu.

Krótko skinął głową.

– Wierzę, że ma pan słuszność.

– Panna Hyde i ja uważamy, że z szacunku dla zmarłego prawdziwe autorstwo portretu mej siostry nie powinno wyjść na jaw. Przynajmniej nie do szerszej publiczności – kontynuował Jonathan.

– *Monsieur* Dubois nie żyje i nie może się bronić. Ani przed reakcjami krytyków sztuki, ani przed oskarżeniami o oszustwo – dodałam cicho.

– Rozumiem państwa dobre intencje. Wiem, że nie powinno się mówić źle o zmarłych – powiedział pan Crowley. – Jeżeli to państwa uspokoi, to nie podejrzewam, żeby *monsieur* Dubois dobrowolnie uczestniczył w tym oszustwie. Raczej nie był świadom tego, co się stało. Uważam, że został wykorzystany.

Jonathan skinął głową.

– My również tak sądzimy. Ale z pewnością nie wszyscy podzielą nasz pogląd.

Detektyw Crowley poprawił się na krześle.

– Podzielę go, jeżeli tylko udowodnimy przed sądem, że pan Dubois nie był niczemu winien. Wyrok to wyrok. Kiedy zapadnie, nie będzie już miejsca dla niemądrych dyskusji. Zamiast plotek i przypuszczeń muszą przemówić fakty.

Mój puls przyspieszył.

– Proszę mnie poprawić, jeśli opacznie zrozumiałam pana słowa... Pan uważa, że jest szansa na to, żeby w sprawie śmierci Claire kogokolwiek postawić przed sądem? – spytałam z napięciem.

– Ale kogo, panie Crowley? Kto według pana odpowiada za śmierć mej

siostry? – zawtórował mi Jonathan.

– Cierpliwości – rzekł wolno detektyw. Skrzyżował ramiona. – Powiedziałem „jeżeli”, a nie „kiedy”. A moje „jeżeli” oznacza hipotezę. W dodatku hipotezę bardzo kruchą, obłożoną pewnym szczególnym warunkiem. Muszę wyznaczyć, iż możliwość jej dowiedzenia zależy od odpowiedzi na dwa niezwykle ważne pytania.

Odetchnęliśmy głęboko.

– Jakie pytania?

– Cierpliwości – powtórzył detektyw. Swoim zwyczajem zaczął przechadzać się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby poprzez ruch koniecznie musiał wyładować nadwyżkę swojej niewyczerpanej witalnej energii. – Proszę dać mi jeszcze krótką chwilę. Chciałbym dobrze państwa na to przygotować.

Mężczyzna splótł dłonie za plecami.

– Jeżeli odpowiedzi na pytania będą nie takie, jakich oczekuję, udowodnienie mojej hipotezy może okazać się niezwykle trudne. Najprawdopodobniej wręcz niewykonalne. A wówczas moje domysły, które snułem przez całą dzisiejszą noc, domysły oparte na zawodowym doświadczeniu i na logice, pozostaną, być może na zawsze, wyłącznie w sferze dociekań... Muszę wyznaczyć państwu, że nie zwykłem się mylić. Dlatego to, z czym do mnie przyszlście, tak szalenie mnie zaintrygowało. Od wczoraj rozmyślałem o tym nieustannie. Spotkałem się nawet z paroma osobami... Tak czy inaczej, być może wcześniej się myliłem. Być może istnieje inne wytłumaczenie śmierci panny Evans niż to, które przedstawiłem we Dworze pod Cisami.

– Co to za wytłumaczenie, panie Crowley? – spytał Jonathan z naciskiem. – Jak brzmi pańska nowa hipoteza?

– Jest to hipoteza dotycząca metody otrucia. A także substancji, która spowodowała zgon.

– Więc jest możliwość, że tą substancją nie był arszenik?

– Przewlekłe zatrucia są mocno skomplikowane pod względem wykrycia i opisanego. Panna Evans miała kontakt nie tylko z arszenikiem, lecz także z belladonną oraz prawdopodobnie z innymi chemicznymi substancjami, w które obfitowała pracownia malarska. Podobnie jak po wypadku panny Verinder jedne objawy mogły maskować inne. Istnieje substancja, która po zażyciu wywołuje symptomy bardzo zbliżone do arszeniku... Ale jest od niego bardziej toksyczna.

– Panie Crowley, proszę wyjawić wreszcie pańską hipotezę!

Detektyw odetchnął.

– Najpierw pytania. Czy są państwo na nie gotowi? Proszę pamiętać,

że nieprawidłowa odpowiedź może oznaczać brak możliwości udowodnienia moich przypuszczeń.

– Jestem gotów – rzekł Jonathan.

Skinęłam głową.

– Ja również. Tylko czegoś nie rozumiem... Czy to znaczy, że to my mamy odpowiadać?

Żółtawe oczy detektywa skupiły się na mnie.

– Dokładnie rzecz ujmując, to pani, panno Madeline – oznajmił. – Pani musi udzielić odpowiedzi.

– Ja? – szczerze się zdumiałam.

Zaskoczony Jonathan rzucił mi pytające spojrzenie.

Nagłe napięcie stało się wręcz nie do zniesienia. Przełknęłam ślinę.

– Dobrze. Niech pan pyta – rzekłam cicho i wstrzymałam oddech.

Dwaj mężczyźni, a nawet Marta, która w tej chwili weszła do środka z dzbankiem kawy, spoglądali na mnie zastygli w oczekiwaniu. Detektyw odchrząknął.

– A zatem: pytanie pierwsze. Skąd ma pani srebrny medalion, który nosi pani na szyi?

Zadrżałam, bo w pierwszej chwili pomyślałam o srebrnym krzyżu Gabriela, który spoczywał na moim sercu. Dlaczego tak się przeraziłam, że detektyw chce, bym przy Jonathanie wyjawiała historię mojej niepojętej miłości?

Ale jemu chodziło o coś innego...

– To prezent od Claire – wyszeptałam. – Przysłała mi go razem ze swoim ostatnim listem.

Coś drgnęło w poważnej twarzy detektywa.

– Drugie pytanie. Czy może mi pani powiedzieć, co znajduje się wewnątrz medalionu?

Spojrzałam mężczyźnie prosto w oczy.

– W środku znajduje się pukiel włosów Claire.

23. MRO CZNY DWÓR

Lokomotywa wypluwała z siebie kłęby pary prosto w niebo usiane białymi chmurami, spomiędzy których błyskały smużki czystego błękitu. Kredowe wzgórza North Downs, które wiosną przypominały mi lśniący w słońcu sznur szmaragdów, teraz przyodziały się w woal jesiennych mgieł i w płowe barwy gasnącego lata. Odwieczny cykl natury, cykl narodzin i umierania, z wolna zataczał koło. Wszystko to, co zaczęło się wiosną, teraz miało znaleźć swoje dopełnienie.

Tak samo jak zagadka śmierci Claire.

W pociągu wymienialiśmy zdawkowe uwagi. Jednak już sama trasa z Farnham upłynęła nam w całkowitym milczeniu. Kiedy powóz wiozący nas ze stacji zatrzymał się na podjeździe przed dworem Verinderów, byłam tak przejęta, że prawie bałam się oddychać. Jonathan wysiadł pierwszy i podał mi dłoń. Zebrałam suknię i stanęłam na białym żwirze, który zachrzęścił mi pod obcasami. Odruchowo zadarłam głowę. Fronton wypełniony szaleńczymi płaskorzeźbami sprawiał wrażenie, jakby miał na nas runąć. Zbudowany z szarego kamienia zamek wywierał zaskakująco przytłaczające wrażenie – niczym grobowiec w gąszczu miedzianych i rdzawych drzew. Bluszcz pnący się po wschodniej stronie fasady zaczerwienił się na jesień – przypominał teraz krwawe pęknięcia na powierzchni murów. Część podjazdu zasypały żołądź i kasztany. W oddali samotny ogrodnik zgrabiał opadłe liście w nieforemne, szeleszczące kopce, rzucające wyzwanie coraz gwałtowniejszym podmuchom wiatru. Miałam wrażenie, że park jest zaniedbany – jak gdyby właściciele nagle stracili do niego serce... Stary zegar słoneczny z metalowym gnomonem, który piorun stopił w noc śmierci Claire, z wolna dusił się w gęstych splotach wybujałych pnących róż. Charty i smoki uformowane z bukszanów domagały się pilnego przycięcia. Nawet kamienne jelenie o porożach uwikłanych w trujące bluszcze jakby niżej pochylały smukłe głowy.

Detektyw Crowley jako ostatni opuścił powóz, który miał na nas zaczekać. Mężczyzna poprawił czarny melonik i podkreślił sumiaste wąsy. Chwyciwszy

elegancki skórzany neseser, zakołatał do drzwi. Trzy stuknięcia metalowego pierścienia, który zwieszał się z rozdziawionej wilczej paszczy, zburzyły otaczającą zamek ciszę. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Nie przywitał nas jednak lokaj.

Na progu zjawiła się *lady* Verinder we własnej osobie.

– *Milady*... – skłonił się detektyw.

– Pan Crowley! Akurat stałam przy oknie i zobaczyłam, jak pan wysiada z powozu. Co pan tu robi? – Jej ton był dosyć szorstki.

Detektyw znów lekko się skłonił.

– Czyżbym był niemile widziany?

– Niemile widziany? – Hrabina zmarszczyła brwi. – Ależ skąd! Tutaj nie chodzi o pańską osobę. Raczej o to, że razem z panem powracają bolesne wspomnienia, o których wszyscy w tym domu próbują zapomnieć. Rozumie pan, prawda?

– Przykro mi, że po raz wtóry muszę państwa niepokoić.

– Musi pan? – powtórzyła znowu stara dama. Jej usta zwęziły się i zacisnęły. – Jesteśmy panu ogromnie wdzięczni, że rozwiązał pan straszną zagadkę śmierci narzeczonej mojego syna. Wdzięczność całej rodziny Verinderów wyraziła się w postaci sutego honorarium. Odebrał je pan i sądziłam, że nie spotkamy się już nigdy więcej.

– *Milady*, to nie zostało ujęte w naszej umowie.

– Pewne zasady wynikają same z siebie, czyż nie? Ale do rzeczy. W czym mogę panu pomóc?

Aleister Crowley zmrużył oczy.

– Chodzi właśnie o kwestię mego honorarium – rzekł powoli. – Prawdopodobnie będę zmuszony je pani zwrócić. Obawiam się, że w toku śledztwa popełniłem fatalny błąd. Zagadka śmierci panny Claire Evans została rozwiązana tylko połowicznie. Jako że jestem profesjonalistą, przyjechałem, by to naprawić.

Stara dama lekko się wzdygnęła.

– Błąd? Jaki błąd pan popełnił? – Potrząsnęła głową. – I mówi mi pan o tym tak spokojnie? Minęło pół roku! – Postąpiła jeszcze krok za próg, jak gdyby chciała zrzucić detektywa z kamiennych stopni ganku niczym gramolącego się żuka albo innego robaka. – Chce pan zabić mojego syna? Tak, to go zabije! Nawet pan nie wie, jak on straszliwie cierpi od wiosny! Hrabia zmienił się nie do poznania! A teraz pan chce zburzyć kruchy spokój, który on stara się odzyskać? Czy pan kompletnie oszalał?

Detektyw głośno odchrząknął.

– Za pozwoleniem, *milady*... Pragnę zaznaczyć, że hrabia Derek został

poinformowany o moim przyjeździe. Odpisał na mój telegram i zaprosił nas tutaj. Czyżby pani o tym nie wiedziała? – W tym momencie detektyw odwrócił się w bok i wskazał lekko na mnie i na Jonathana, jak gdyby pytał nie tylko o zaproszenie od Dereka, ale również o naszą obecność. Cios był celny. Po minie *lady* Verinder pojęłam, że aż do tej chwili nawet nie zauważyła, że detektyw Crowley nie przybył sam, do tego stopnia przejęła się jego wizytą. Ponadto przed jej wzrokiem częściowo chroniła nas marmurowa kolumna z boku ganku.

Jonathan skłonił się, a ja dygnęłam.

– *Milady...*

Stara dama lekko rozchyliła usta, ale moment zawahania szybko minął. Hrabina odzyskała zimną krew i sztywno wyprostowała plecy:

– Panna Hyde! Pan Evans! Cóż za zaskoczenie! Derek nic mi nie powiedział o telegramie! Natychmiast zapraszam wszystkich państwa do środka!

W przepastnym holu czuć było jesiennym chłodem. Lokaj odebrał ode mnie płaszcz, kapelusz oraz parasolkę. Echo przyniosło odgłos czyichś kroków. Odwróciłam się i w tym momencie zobaczyłam nadchodzącego ku nam hrabiego Dereka Verindera.

W pierwszej chwili prawie go nie poznałam. Młodzieńcza sylwetka, błysk w oku, czysty i głęboki ton głosu – to wszystko gdzieś przeminęło. Hrabia miał wychudłą twarz i ciało. Jego oczy podbijały ciemne cienie. Nadal był bardzo reprezentacyjnym mężczyzną – ale ja poznałam go wcześniej, zanim umarła Claire, i byłam świadkiem tego, jak jej odejście diametralnie go przeistoczyło...

– Cieszę się, że państwo już jesteście. – Derek się skłonił. – Droga Madeline, jak zawsze wyglądasz cudownie.

– Dziękuję. – Pomyślałam, że chciałabym móc to samo rzec o nim, ale oczywiście milczałam. Pokryłam smutne przemyślenia bladym uśmiechem.

– Dereku! Nie uprzedziłeś mnie, że będziemy mieli gości – odezwała się *lady* Verinder z wyraźną nutą zakłopotania, której nigdy dotąd u niej nie słyszałam. Derek ujął jej dłoń i pogładził ją przelotnie.

– Nie chciałem cię denerwować. Wiedziałem, jak zareagujesz.

– Wiedziałaś? Wiedziałaś, że wszystko, czego chcę, to cię chronić? – Brwi starej damy lekko się uniosły. – Więc po prostu podjąłeś decyzję za mnie?

Ton głosu Dereka nagle stał się stanowczy. Puścił matczyną rękę.

– Wydawało mi się, że to ja w tym domu podejmuję decyzje. Czyż nie po to noszę tytuł hrabiego Surrey?

Lady Verinder jakby struchlała.

– Zaproś więc naszych gości do salonu.

– To właśnie zamierzałem uczynić. Alice i Dexter już tam czekają.

Widziałam, że te kolejne rewelacje wyprowadzają hrabinę z wewnętrznej równowagi. Jej rola wyroczni i strażniczki domowego porządku przez ostatnie miesiące najwyraźniej została naruszona.

Ruszyliśmy za Derekiem amfiladą mrocznych pokojów. Lokaje w liberiach otwierali przed nami kolejne pary drzwi. Za którymś razem, przepuszczając mnie w progu, Jonathan przelotnie ścisnął moją dłoń. Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że jest tak samo niespokojny jak ja. Ale pragnął dodać mi otuchy.

W ogromnym salonie wyłożonym dębową boazerią, w którą wkomponowano biblioteczkę obitych skórą książek i książeczek, trzaskał niski ogień. Alice Verinder wpełzała na szeszlengu, zapatrzona w tańczące płomienie. Po pamiętnym wypadku i przebytej wiosną chorobie jej dawna uroda wybuchła ze zdwojoną siłą. Rozpuszczone włosy spływały na ramiona i plecy dziewczyny ciemną kaskadą, połyskując niczym polerowany heban. Panna Verinder ocknęła się z zadumy i oderwała wzrok od płonącego kominka.

– Panna Madeline! – Poderwała się z szeszlengu z cichym, swiergotliwym śmiechem, żeby delikatnie mnie uściskać.

– Dobrze znów zobaczyć kogoś spoza rodziny – dobiegł głos Dextera Verindera.

Szybko poszukałam go spojrzeniem. Z krzesła pogrążonego w cieniu przy zaciągniętych zasłonach błysnęła ku mnie para różnobarwnych oczu. Garbata sylwetka częściowo rozmywała się w półmroku, który litościwie zmiękczał jej karykaturalny kontur. Wsparta o podłogę laska udawała piątą nogę krzesła, pod którym skryła się czarna kotka o intensywnie żółtych, nicujących mnie ślepiach. Przesunęła się, kiedy kaleki mężczyzna wstał, a ja podeszłam, żeby ucisnąć mu rękę.

– Cieszę się, że pana widzę, Dexterze.

– Ja cieszę się z pani widoku jeszcze bardziej. Może dlatego, że prawie zawsze spotykam panią w nadzwyczaj ciekawych okolicznościach. – Mrugnął.

– Zjawia się pani i przepędza nudę. Tak samo ma być i tym razem, podobno pan Crowley ma dla nas jakąś intrygującą historię.

– Jest ona nie tylko intrygująca... jest tragiczna – wtrącił detektyw z lekkim ukłonem.

– Nie ma suspense bez groźby realnej tragedii – skwitował Dexter z ironicznym błyskiem w oku.

– Usiądźmy – rzekł hrabia Derek. – Czego się państwo napijecie? Brandy? Herbaty? Wina?

– Wolałbym od razu przejść do rzeczy – rzekł na to detektyw Crowley.

Jonathan i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenie. Mężczyzna odchrząknął.

– My również.

Powietrze odrobinę stężało. Dexter Verinder zatarł dłonie i wygodnie rozparł się na kanapie.

– W takim razie: zaczynajmy! – rzekł, nieznacznie skinąwszy łaską, niczym dyrygent dający batutą znak orkiestrze. – Tak, Dereku?

– Zgodnie z życzeniem.

Wszyscy zebrani zajęli miejsca na obitych skórą kanapach, na aksamitnych szeslongach, w głębokich fotelach i na rzeźbionych misternie krzesłach. Lokaj zatrasnął od zewnątrz dwuskrzydłowe, ciężkie drzwi – dobrze wiedziałam, że w domu Verinderów tajemnice trzyma się w ścisłym zamknięciu.

Wszystkie oczy skierowały się na detektywa. Pan Crowley westchnął głęboko i wygładził poły marynarki. Poznałam po jego minie, że jest gotów.

– Kiedy gościłem tu ostatnim razem, panna Hyde zadała mi przy śniadaniu pewne ciekawe pytanie. Pytanie owo tkwi mi w pamięci po dziś dzień. Właściwie to jego adresatami byliśmy zarówno ja, jak i pan Dexter... Brzmiało ono: czy może istnieć dwóch identycznych, niespokrewnionych ze sobą ludzi?

Poczułam, jak mój puls lekko przyspiesza.

– Pan Dexter odparł, iż zgodnie z zasadami fizjonomiki jest to możliwe. Ludzie ci jednak musieliby pochodzić z tej samej klasy społecznej i odebrać jednakowe wykształcenie... Słowem, musiałyby istnieć okoliczności, które podtrzymywałyby i ujawniły ich podobieństwo. Lecz jak ujawnić fizyczne podobieństwo osób, które pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego? – zapytał z naciskiem detektyw Crowley. Powiódł swoimi kocimi oczyma po twarzach zebranych. – Odpowiedź na moje pytanie brzmi: żeby wyraźnie dostrzec fizyczne podobieństwo, najlepiej ubrać obie osoby w taki sam strój – zawiesił głos. – Kiedy dwóch ludzi przyodzianych jest jednakowo, porównanie ze sobą poszczególnych cech ich wyglądu staje się znacznie łatwiejsze.

W powietrzu zawisła dziwna, duszna cisza, jakby chmury zwieszające się coraz niżej nad wzgórzami za oknem zaczęły przenikać do środka.

– Czy ma pan na myśli zieloną suknię? – spytałam cicho nieswoim, ochrypłym głosem.

Poczułam skupiony na sobie wzrok ludzi zasiadających wokół.

Detektyw spojrział na mnie z zaskoczeniem i z aprobatą.

– W istocie, panno Hyde.

Lady Verinder jęknęła.

– A więc wracamy do tematu zatrutej sukni? Kiedy niemal uporaliśmy się z tamtym strasznym wypadkiem?! – spytała zbolalym tonem stara dama. – Przecież już raz wyjaśnił pan tamto nieszczęście. Nie rozumiem, po co pan do tego wraca!

– Wyjaśnię natychmiast, *milady* – odrzekł pan Crowley. – Uważam, że nieprzypadkowo wpadła pani na pomysł sportretowania niedoszłej synowej w tej samej sukni, którą nosiły niegdyś damy z tej rodziny.

– To nasza rodzinna tradycja! – obruszyła się hrabina. – Przecież pan wie, że suknia stanowiła pamiątkę! Wszystkie damy z rodu Verinderów były od lat portretowane w tym stroju!

– Właśnie! – Detektyw Crowley zniechęca pstryknął palcami, jak gdyby dokładnie w tej sekundzie zaskoczyły trybiki tajemniczej, precyzyjnej maszyny, którą wzniósł w swoim umyśle. – Pomyślcie państwo! Młode kobiety z rodu Verinderów – co do jednej w identycznym stroju... Właśnie dlatego potrzebowała pani portretu panny Claire Evans – żeby porównać jej wygląd z pozostałymi obrazami! Żeby zweryfikować swoje straszliwe podejrzenie, iż uroczą narzeczoną pani syna może być jego przyrodnią siostrą! Nieślubną córką pani zmarłego męża!

– Co takiego?! – Panna Alice poderwała się z miejsca. Jej ciemne oczy błyszczały jak w gorączce. – Jak pan śmie rzucać te bezwstydną podejrzenia?!

– Te listy – detektyw wydobyl z neseseru gruby plik pożółkłych kopert i białych kartek – stanowią wyznanie pani Elizabeth Evans, matki panny Claire i pana Jonathana, skierowane do córki na łożu śmierci. Claire miała otrzymać je w dniu swego ślubu. – W oczach detektywa odbiło się współczucie, kiedy spojrzał w twarz Dereka Verindera. Ściszył głos. Teraz mówił tylko do niego. – *Sir*, Elizabeth Evans i pańskiego ojca, Jamesa Verindera, połączył pozamałżeński romans. W jego wyniku na świat przyszła córka, Claire. Teraz, kiedy ona oraz jej rodzice już nie żyją, trzeba powiedzieć o tym otwarcie. Pańska tragicznie zmarła narzeczoną była zarazem pana przyrodnią siostrą. Uważam, że to właśnie z tej przyczyny któraś z obecnych tu osób nie dopuściła do waszego ślubu.

Hrabina ze świstem wciągnęła powietrze.

– Co pan sugeruje?

– Ktoś umyślnie pozbawił życia tę młodą damę.

Przez chwilę trwaliśmy w nieodwracalnym szoku. Oczy hrabiego Dereka załśniły chorobliwie. Coś w nich zgasło, a potem znów zapłonęło – zimnym, fanatycznym, karzącym ogniem.

– Matko... czy to prawda? – zapytał w końcu z lodowatym spokojem. Jakaś

wibracja w jego głosie sprawiła, że moje ramiona pokryły się gęsią skórką. – Wiedziałaś o tym?

– Oczywiście, że nie wiedziała! – zawołała zapalczywie panna Alice. – Panie Crowley, nie wiem, co jest w tych listach, ale nawet jeśli to, o czym pan mówi, to nie jest przecież żaden dowód na morderstwo! Jak może pan rzucać tak ohydne oskarżenia? Zresztą skąd nasza matka miałaby znać treść tych listów?!

– Nie znała jej – odezwał się cicho Jonathan.

– Co takiego? – Jego słowa zbiły pannę Alice z tropu.

– Nie mogła jej poznać. Przez wszystkie te lata listy leżały ukryte w mym domu.

Detektyw Crowley odchrząknął.

– Macie państwo rację. *Lady Verinder* prawdopodobnie nie znała treści listów ani wyznania, które przed śmiercią spisała matka panny Evans. Ale miała swoje podejrzenia. Jako kobieta niezwykle dumna i spostrzegawcza z pewnością była świadoma romansu męża. I kiedy po latach jej syn zaręczył się z dziewczyną, która mogła być owocem tamtego związku, straszne domysły spędzały jej sen z powiek. Na próżno jednak szukała twardych dowodów. Kiedy pani Evans zaszła w ciążę z Jamesem Verinderem, kochankowie zniszczyli dowody swojej relacji, zaś pani Evans zabrała wszystkie wymienione przez nich listy. W tej sytuacji *lady Verinder* mogła posłużyć się wyłącznie fizjonomiką, żeby spróbować odkryć pochodzenie panny Claire... Wykorzystała w tym celu pana Dextera.

Różnobarwne oczy brata hrabiego Verindera błysnęły z zainteresowaniem.

– Co pan sugeruje?

– Sugeruję, *sir*, że to pan, ze swoim darem wnikliwej obserwacji, otrzymał zadanie ustalenia, czy panna Claire Evans jest spokrewniona z pańską rodziną.

– Więc obejrzałem sobie jej portret w zielonej sukni, żeby porównać go z podobiznami własnych prababek? Gdyby był pan lepiej poinformowany, panie Crowley, wiedziałby pan, jak przesądna bywa moja matka. Do dnia planowanego ślubu Dereka i Claire nikt oprócz samego malarza nie miał prawa oglądać portretu.

– Nikt oprócz malarza... – powtórzył cicho detektyw. – Tyle tylko, że tym malarzem był pan!

– To jakieś szaleństwo. – Panna Alice z niedowierzania szeroko otworzyła oczy.

– Wcale nie! – Głos detektywa nabrał nieustępliwych tonów. – Pani brat ma świetnie wytrenowaną rękę, a przy tym talent aktorski. Posłużył się

sztuczną brodą, żeby przed panną Evans udawać staruszka, który przez większość czasu żył już w świecie własnych rojeń i alkoholowych oparów. A kiedy porównał pan ze sobą drobiazgowo wszystkie portrety, prawda o pochodzeniu panny Evans wyszła na jaw!

– Posiadam opinię wystawioną przez Królewską Akademię Sztuk Pięknych, która potwierdza, że to nie pan Dubois jest autorem obrazu zatytułowanego *Dama ze szmaragdami* – odezwał się Jonathan zimnym głosem.

Kocie oczy detektywa Crowleya świdrowały Dextera.

– Wyjście z sytuacji było jedno. Pozbyć się panny Evans. Kiedy straszenie jej historiami o duchach oraz o rodzinnej klątwie nie pomogło, ktoś w tym pokoju postanowił ją zgładzić.

– To bzdura! – zawołała znów Alice. Jej ciemne oczy jarzyły się gniewem jak węgle. – Nie zna pan naszej rodziny! Gdyby matka chciała rozbić związek Dereka, nie zawahałaby się ani przez moment. Zrobiłaby to tak samo, jak uczyniła z jego poprzednim narzeczeństwem.

– Alice! – zawołała z rozpaczą hrabina. Po tym okrzyku zapadła grobowa cisza.

– Matka wiedziała, że drugi raz bym jej tego nie darował – odezwał się hrabia śmiertelnie zmęczonym głosem. Jego oczy były nieruchome, patrzył gdzieś niewidzącym wzrokiem. Miałam wrażenie, że cała energia tego niegdyś pełnego życia człowieka została wessana przez czarną pustkę.

– Gdyby matka naprawdę chciała się pozbyć Claire, tym razem działałaby w ukryciu – mruknał.

Hrabina drgnęła.

– Dereku! Chyba nie wierzysz w te insynuacje! Nie miałam pojęcia, że ona... że Claire była twoją przyrodnią siostrą!

Młody hrabia nieoczekiwanie ujął jej dłoń.

– Nic nie mów, matko – wychrypiał. – To wina ojca, nie twoja. Potraktował cię wyjątkowo okrutnie. Wiem, jak ślepą miłością go darzyłaś. Jeżeli stałaś się zła, to właśnie przez niego. Przez jego zdradę.

– Nie, Dereku. – Hrabina sztywno wyprostowała plecy. – Nie wolno mówić w ten sposób o twoim ojcu. W tym domu nie wolno kłaść jego pamięci. Nigdy. Nikomu! – Wycelowano w detektywa wyciągnięty palec. – Odpowiedz pan za te oskarżenia, panie Crowley – syknęła lodowato. – Pana kariera jest skończona. Dopilnuję, żeby w Londynie został pan pogrążony. Doprawdy, jeszcze pan nie wie, z kim zadarł. Pozna pan smak zemsty Verinderów!

– To nie nastąpi, jeśli udowodnię państwu winę – odpowiedział pan Crowley z nieprzeniknioną miną gracza w karty.

– Winę? Winę za co? Za suknię zabarwioną arsenikiem? Przecież pan sam

udowodnił, że śmierć Claire to był nieszczęśliwy wypadek.

– Myliłem się.

– Czyżby? Nikt z nas nie wiedział o arseniku w sukni.

Detektyw Crowley powiódł kocimi oczyma po naszych twarzach.

– Tyle tylko, że panna Evans nie zginęła od arseniku – powiedział dobitnie.

Wszyscy zamilkli. Zapadł ów przejmujący rodzaj ciszy, który domaga się wypełnienia, a z braku słów zdaje się zmuszać zmysły do tego, by same tworzyły omamy niespokojnych szeptów.

– Panna Evans nie zginęła od arseniku – powtórzył wyraźnie Aleister Crowley, ucinając głosy rozbrzmiewające w moich myślach. – Zielona suknia podtruwała ją i nadwątłała jej zdrowie, lecz to nie ona była bezpośrednią przyczyną zgonu.

Wstrzymałam oddech. Srebrny medalion na mojej piersi ciążył mi niczym uwiązana do szyi bryłka ołowiu.

– A co nią było? – zapytał Dexter.

– Trucizna bardziej podstępna niż arsenik. Dająca podobne jak on objawy, ale o wiele bardziej zabójcza. Wystarczyła tylko jedna dawka... To był tal.

– Tal?

– Tal. Pierwiastek odkryty w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku przez *sir* Williama Crookesa jako zielony prążek w analizie widmowej. Jego nazwa pochodzi od greckiego słowa *thallos*, które oznacza zieloną gałązkę. W formie pyłu tal wygląda niewinnie: to jasny proszek.

Przez kolejne sekundy nikt się nie odzywał, aż wreszcie ogólne milczenie przerwał Dexter.

– Pana historia jest niezwykle interesująca, detektywie. Bardziej nawet, niż na to liczyłem. Muszę przyznać, że znakomicie się bawiłem. Wysłuchałem jej jak pasjonującej opowieści, obawiam się jednak, że może zabraknąć puenty. A wówczas wszystko, co pan powiedział, będzie na nic.

– Jaką puentę ma pan na myśli, *sir*?

– Konkretnie dowody. Jak dowiedzie nam pan tego, co powiedział? Może mieć pan listy nieżyjącej matki Claire Evans, a nawet listy naszego ojca... Może dysponować pan opinią konesera sztuki na temat autorstwa portretu. Ale ani przebrzmiały romans zmarłego hrabiego, ani malowanie czyimiś farbami nie są zbrodnią w świetle angielskiego prawa. Musiałby udowodnić pan, że Claire Evans podano tal, a tego uczynić nie jest pan w stanie. Jej ciało od ponad pół roku spoczywa w ziemi. To trochę za długo, żeby móc wykazać cokolwiek, nawet biorąc pod uwagę nikłą możliwość, że jakimś cudem uzyskałby pan zgodę na ponowne otwarcie grobowca i przeprowadzenie

sekcji na nowo. Rozkład zwłok posunął się już za daleko.

Wzdrygnęłam się.

– Mam jeszcze pytanie – kontynuował Dexter. – Oczywiście jest ono czysto hipotetyczne... Intryguje mnie, jak wpadł pan na pomysł z talem.

– Podsunął mi go *monsieur* Dubois.

Obserwowałam, jak oczy wszystkich zaokrągliły się z niedowierzania. Ja sama byłam całkowicie zaskoczona.

– Jak to? – wyrwało mi się ciche pytanie.

Detektyw Crowley rzucił mi smutne spojrzenie.

– Pamięta pani sprawę zaginionej farby?

– Niebieska farba. – Skinęłam głową. – Oczywiście. Ale... przecież doktor Watson powiedział, że ta substancja nie mogła być trucizną!

– Miał rację. Błękit pruski, stosowany w malarstwie, a także w więzieniach do wykonywania tatuaży, to nie trucizna. Ale może stanowić antidotum. Antidotum na śmiertelnie trujący tal.

– Nic nie rozumiem! – rzekła na wydechu panna Alice.

– Tal jest na tyle toksyczny, że wszelki kontakt z nim stanowi zagrożenie dla życia. Ten, kto podał truciznę pannie Evans, wiedział o tym i zabezpieczył się, zabierając antidotum. Pomysł był sprytny. Jako że błękit pruski to także pigment malarski... Nikt raczej nie wiązałby artystycznych przyborów nieszkodliwego staruszka, jakim był *monsieur* Dubois, ze sprawą otrucia Claire Evans – wyjaśniał powoli detektyw. – Ale zabójca popełnił jeden istotny błąd. Nie odłożył niebieskiego pigmentu na miejsce.

W miarę, jak toczyła się ta dziwaczna rozmowa, niebo za oknami ciemniało. Rozległ się pierwszy grzmot jesiennej burzy.

Mój umysł znowu zalewały podejrzenia, których bałabym się wypowiedzieć na głos.

– Nie może pan niczego udowodnić – powtórzył cicho Dexter Verinder.

– I tu się pan myli – odrzekł powoli i spokojnie detektyw Crowley.

Miałam wrażenie, że celowo przeciąga zgłoski każdego słowa, delektując się nimi jak zwycięstwem. Zauważyłam, jak oczy Dextera rozbłysły – odmalowało się w nich zaskoczenie, ciekawość, a wreszcie podziw oraz nieskrywana fascynacja.

– Objawy zatrucia talem utrzymują się bardzo długo we włosach ofiary. Mieszki włosowe ciemnieją, w całym włosie wytrąca się charakterystyczny czarny barwnik – oznajmił pan Crowley. – Panna Evans sama dostarczyła nam dowodu na to, co ją spotkało. Kilka dni przed śmiercią podarowała pannie Hyde medalion z puklem swoich włosów. Medalion, który panna Madeline ma na szyi.

Na te słowa hrabia Derek nagle wyciągnął rozcapierzoną dłoń ku mojej piersi, jak gdyby chciał wyrwać stamtąd moje łomocące serce... Jednakże jego smukłe palce tylko musnęły zimną powierzchnię medalionu.

– Jest pusty – szepnęłam. Derek drgnął. – Pan Crowley zabrał pukiel włosów do analizy. Na tej podstawie lekarze potwierdzili zatrucie talem. – Choć głos mi nie drżał, to zatrzęsły mi się dłonie.

Oczy Dereka zgasły. Cofnął rękę.

– Przepraszam, ale muszę na chwilę wyjść – rzekł lodowato. – Wybaczę państwo... Po prostu muszę ochłonać.

– Oczywiście – wyszeptałam.

Drzwi zamknęły się za młodym hrabią. Nikt inny się nawet nie poruszył. Wszyscy zastygli niczym grupa kamiennych posągów.

– Czy ułatwię mi państwo zadanie – podjął cicho pan Crowley – i wyjawia, kto z was jest mordercą? Nikt z państwa nie jest bez winy, to pewne. Ale kto podał Claire Evans truciznę? Podejrzewam, że była to kobieta.

– Nikt nie jest bez winy? – szepnęła głucho panna Alice. – A ja? Czym aż tak bardzo zawiniłam?

Detektyw ze smutkiem pokręcił głową.

– Wprawdzie nie jestem w stanie tego dowieść, lecz podejrzewam, że wiedziała pani o planach matki i brata. Wtajemniczyli panią w to, kim naprawdę jest Claire.

Panna Verinder spuściła głowę. Po jej policzkach spłynęły nieoczekiwanie dwie wielkie łzy. Oddech zmienił rytm, stał się nierówny – w jej piersi narastały spazmy płaczu.

– Naprawdę ją lubiłam. Zawsze chciałam mieć siostrę, a ona... była nią. Ale matka nie pozwoliłaby jej żyć w spokoju. Ani Dexter. Miał obsesję na punkcie tego, że w rodzinie znów dojdzie do kazirodztwa. Powtarzał, że skoro Derek jako hrabia musi spłodzić dziedzica, to nie możemy dopuścić, żeby na świat przyszedł dzieci kalekie jak on... Oboje mówili, że w rodzinie nie może być kolejnych garbusów. Tak mnie zaszczuli! – Alice jęknęła. – Musiałam... Powtarzali, że to dla dobra Dereka!

Pan Crowley skinął głową.

– Więc to pani podała pannie Claire truciznę.

– Tak – jęknęła znów Alice, wycierając dłońmi mokre oczy. – Tak był wymieszany z perłowym pudrem. Tamtego dnia wykonałam Claire makijaż. Później matka kazała mi wypić niebieską miksturę, żebym sama się nie otruła.

Alice płakała, hrabina i Dexter milczeli. Z tej trójki to zawsze silna i niezależna panna Verinder okazała się najślabszym ogniwnem... I to ogniwo

pociągnęło za sobą resztę łańcucha.

– Dexter namalował obraz i odkrył pochodzenie Claire, prawda? – dopytywał detektyw Crowley.

– Tak.

– To on zdobył antidotum na tal.

– Tak. Matka mu kazała. To nie jego wina – rzekła Alice łamiącym się głosem. Nagle zapragnęła bronić brata. – Matka od dziecka wmawiała mu, że jest szkaradnym, chorym garbusem. Nawet pan nie wie, jakie wiódł wcześniej nieszczęsne życie. A teraz... Apelowwała do jego sumienia, mówiła mu, że na świat przyjdą kolejne chore dzieci. Nic dziwnego, że w końcu jej uległ. On tylko przebrał się za malarza. Ma prawdziwy talent. Zabrał antidotum. On nic nie zrobił – powtarzała mechanicznie panna Alice.

– Myli się pani – odezwał się z bólem Jonathan. Moje serce zamarło na dźwięk jego głosu. – Pani brat dokonał oszustwa, które wpłynęło na życie starego malarza. Możliwe, że również na jego śmierć.

– Śmierć kogo?! – Alice przetarła kąciki oczu, z których ciurkiem spływały różańce łez.

– Śmierć pana Maurice'a Dubois. Artysta popełnił samobójstwo. – Jonathan wolno wypuścił powietrze z płuc, jakby oddychanie sprawiało mu ból. – Zabił się po tym, jak odkryłem, że to nie on namalował *Damę ze szmaragdami*.

Lady Verinder, która nie odzywała się przez cały ten czas, gwałtownie wstała. Naszyjnik z pereł zalśnił na tle czarnej sukni. Zawsze przenikliwe oczy hrabiny patrzyły tępo w odległy i nieznany punkt.

– Biorę na siebie wszystkie winy moich dzieci. Jako matka chciałam wyłącznie ich dobra. I dlatego... – Nie dokończyła, bo nagle powietrze przeciął huk.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to burza, że znowu w drzewo nad potokiem uderzył piorun, tak samo jak w noc śmierci Claire. Potem pojęłam, że to nie piorun, lecz odgłos wystrzału.

Detektyw Crowley zerwał się z miejsca jako pierwszy. Wybiegliśmy z salonu i minęliśmy przerażonego lokaja. Klucz w drzwiach gabinetu Dereka był przekrecony od wewnątrz.

– Proszę się odsunąć! Szybko! – Pan Crowley wyciągnął zza paska rewolwer i wycelował w punkt przy zamku. Prysnęły drzazgi i iskry. Grube drzwi ustąpiły. Detektyw schował broń, z rozpędu uderzył drzwi barkiem i wpadł do środka.

Młody hrabia Verinder leżał na podłodze przy szeroko otwartym oknie, którego zasłonami wściekle szarpał wiatr.

Pistolet wciąż znajdował się w jego zaciśniętej dłoni.

W nozdrzach zawirował mi gryzący zapach prochu.

Podmuch burzowego wiatru zza okna cisnął na mą twarz garść kropel deszczu.

EPILOG: OBIETNICA

Derek Verinder zginął w wyniku postrzału, który w rozpacz sam sobie zadał. Choć gdy weszliśmy do gabinetu, na podłogę jeszcze nie opadł rozgrzany proch, ciało hrabiego już zaczynało stygnąć.

Jestem przekonana, że śmierć Dereka była dla hrabiny najgorszą karą, jaką los mógł wymierzyć jej za życia. Strata ubóstwianego syna oraz aresztowanie panny Alice uczyniły spustoszenie w tej mrocznej duszy, która nie była przecież pozbawiona matczynych uczuć. Hrabina zmarła we własnym łóżku kilka dni później – była zbyt słaba, by można było przewieźć ją do aresztu.

Na łożu śmierci *lady* Verinder wyznała ostatnią ze swych skrzętnie skrywanych rodzinnych tajemnic. To Dexter, a nie Derek, był jej pierworodnym synem, a więc i prawowitym dziedzicem szlacheckiego tytułu. Nikt poza hrabiną o tym nie wiedział – okazało się, że bracia urodzili się jako bliźniacy. To prawdopodobnie wyjaśniało, dlaczego podobizny Dereka brakowało wśród portretów kolejnych hrabiów z rodu Verinderów...

Dostrzegałam znaczący paradoks w tym, iż jedynym, który uniknął ponurego losu pozostałych Verinderów, był właśnie Dexter. Tylko jego oszczędziła tajemnicza klątwa, która po śmierci Claire zdawała się ciążyć nad tą rodziną. Nieraz myślałam o tym, że w pewnym sensie jej źródłem, tak jak chciała legenda, stał się naszyjnik ze szmaragdami. Gdyby nie obsesyjna chęć odzyskania go przez pannę Alice, gdyby nie anonim i opowieść o damie w zielonej sukni, być może nic nie wzbudziłoby podejrzeń ani nie zburzyło planu zbrodni...

Musiałam zeznawać przed sądem w procesie Alice, co było dla mnie niezwykle trudnym przeżyciem. Na szczęście przez cały czas wspierał mnie Jonathan – a raczej wspieraliśmy się nawzajem. Byłam świadkiem tego, jak Dexter Verinder do ostatniej chwili starał się bronić siostry, zaprzęgając do tego celu całą swą niesłychaną erudycję. Prawdopodobnie pierwszy raz występował publicznie – i to na sali sądowej wypełnionej po brzegi obcymi, wściekłymi ludźmi. Tym razem nie bał się pokazać swojego kalectwa. Każdy człowiek jest dla nas zagadką, dopóki los nie zagrozi odebraniem mu

wszystkiego, co – świadomie lub nie – kochał. Wówczas okazuje się, do czego naprawdę jest zdolny.

Dwa dni po procesie pożegnałam się na stacji kolejowej z Jonathanem. On wracał do Londynu, a ja do Torquay. Zabierałam ze sobą czarną, żółtooką kotkę, którą zaopiekowałam się po śmierci hrabiny.

Staliśmy naprzeciw siebie w gęstych kłębach pary, które unosiły się wokół lokomotywy. Zatłoczony do niedawna peron z każdą chwilą coraz bardziej się wyludniał. W końcu zostaliśmy na nim sami. Wśród bladych oparów, niczym we mgle, Jonathan tak mocno przypominał Gabriela, że było to dla mnie niemal fizycznie raniące...

– Wiesz, co do ciebie czuję, Madeline. Ale jeśli tego właśnie chcesz, poczekam – rzekł miękko, nachylając się ku mnie. Odgarnął z mojej twarzy kosmyk włosów, który wymknął się spod mego ogromnego kapelusza. Dławiło mnie dziwne, słodko-gorzkie uczucie, które pulsowało w moim wnętrzu, sprawiając wrażenie, jakby powoli rozdzierało mi się serce.

– Dziękuję – szepnęłam i spuściłam wzrok. – Ty także nie jesteś mi obojętny. Ale wydarzyło się tak wiele... Czasem myślę, że to wszystko zaciemnia mój osąd. Może dlatego, że tak bardzo mi kogoś przypominasz... – wyznałam.

Mężczyzna delikatnie przyciągnął mój podbródek, żeby zajrzeć mi w oczy.

– Kogoś, kogo kochałaś?

– Tak – szepnęłam i wstrzymałam oddech.

Sądziłam, że me wyznanie go zasmuci, ale on tylko lekko się uśmiechnął.

– W takim razie jest dla mnie nadzieja. I teraz rozumiem niektóre twoje zachowania... Nie jestem tamtym mężczyzną, Madeline. – Przycisnął do ust moją dłoń. – Ale być może kiedyś będziesz mogła obdarzyć mnie podobnym uczuciem. Chcę, żebyś była go pewna. Tak jak ja jestem. Poczekam.

W powietrzu rozległ się gwałtowny świst gwizdka parowego.

Pod wpływem impulsu uniosłam woalkę i musnęłam wargami jego usta – w odpowiedzi mocno przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Nie wiem, jak w końcu wysunęłam się z jego obejmujących mnie ramion. W tamtej chwili wszystko na moment stało się snem. Zarumieniona i zdyszana, zachłyśnięta nagłą rozkoszą oraz niespodziewanym szczęściem, wbiegłam po żelaznych schodkach do pociągu, który miał unieść mnie do Torquay.

– Napiszę list! – zawołał za mną Jonathan.

Wiedziałam, że dotrzyma obietnicy.



KONIEC

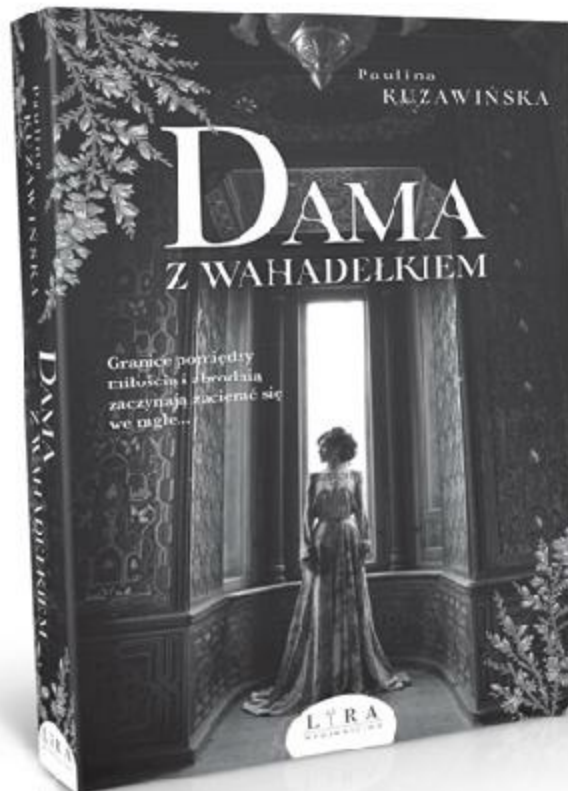
Przypisy

[1] Czyż nie, mój drogi panie?

[2] Szlachectwo zobowiązuje. Również: Szlachta wydaje rozkazy.

[3] Fragmenty poematu Pani z Shalott w przekładzie Anny Bańkowskiej.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

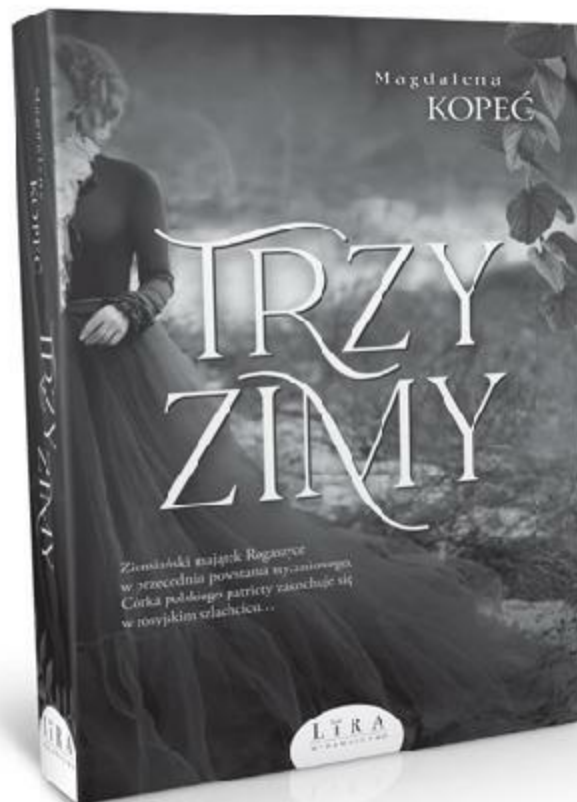


Tajemniczy wiktoriański dom w epoce popularności seansów spirytystycznych... Młoda arystokratka, Madeline Hyde, bierze udział w seansie wywoływania duchów, kiedy niespodziewanie dochodzi do tragedii. Granice między miłością i zbrodnią zaczynają zacierać się we mgle...

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Wielowątkowa opowieść o miłości i o dojrzewaniu do podejmowania niełatwych decyzji, rozgrywająca się w trudnych czasach zaborów. Społeczne stereotypy, narodowe uprzedzenia, naciski rodziny... i walka Marianny i Andrzeja o osobiste szczęście.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO



Zagadkowa śmierć niedoszłej panny młodej, tajemniczy obraz i zamożna rodzina Verinderów, która zdaje się coś ukrywać... Pewnej burzowej nocy w starej rodowej posiadłości niespodziewanie umiera młoda dziewczyna. Czy śmierć Claire ma jakiś związek z olejnym portretem, do którego pozowała? A może zadziałała legendarna klątwa związana z pięknym szmaragdowym naszyjnikiem, również uwiecznionym na obrazie?

Młoda arystokratka Madeline Hyde próbuje odkryć przyczynę śmierci ukochanej przyjaciółki. Zagłębia się w gąszcz niebezpiecznych tajemnic, które zdają się coraz mocniej oplatać Dwór pod Cisami i jego mieszkańców.

Sensacyjna intryga w stylu retro, subtelny wątek romantyczny i zbrodnia, która budzi starą rodzinną legendę...

PAULINA KUZAWIŃSKA

– absolwentka romanistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Właścicielka uroczego mopsa Bazyla, miłośniczka gier planszowych oraz podróży. Chciałaby móc przeżyć wiele różnych żyć – na szczęście znalazła na to wspaniały sposób, czyli wymyślanie opowieści.

Jej „Dama z wahadłkiem” została uznana przez blog literacki Wielki Buk za jedną z najlepszych książek 2019 roku.



www.wydawnictwolira.pl

Patronat medialny

LIRA
WYDAWNICTWO

granice.pl

XX Kawiarenka
Kryminalna.pl



cena: 36,99 zł
(w tym 5% VAT)